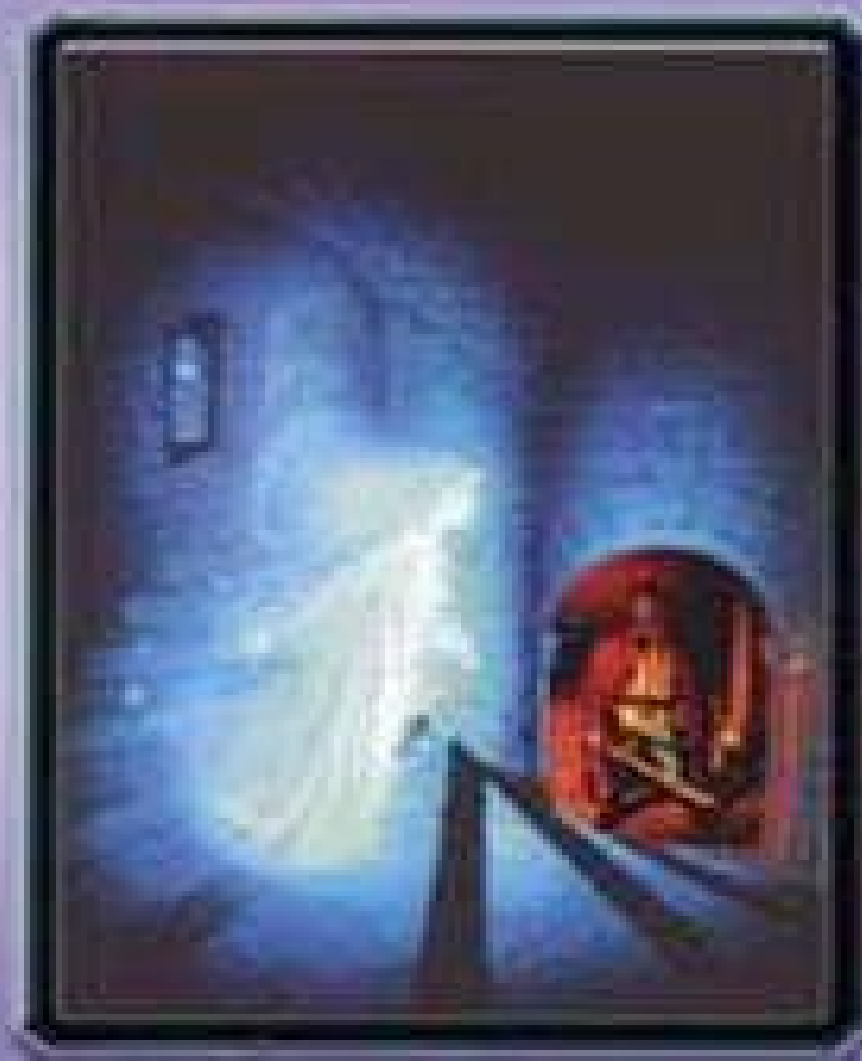


# Roger Zelazny



KSIĄŻE CHAOSU

**Roger Zelazny**

**Książę Chaosu**

# Rozdział 1

Kto widział jedną koronację, tak jakby widział je wszystkie. Brzmi to cynicznie i prawdopodobnie jest cyniczne, zwłaszcza gdy główną rolę odgrywa najlepszy przyjaciel, a jego królową zostaje mimowolna kochanka. Zawsze jednak w programie występuje procesja, dużo powolnej muzyki, niewygodne, kolorowe stroje, kadzidła, przemowy i bicie w dzwony. Koronacje są meczące, zwykle duszne i wymagają od gości nieszczerego skupienia, podobnie jak śluby, wręczanie dyplomów i tajemne inicjacje.

I tak Luke i Coral zostali suwerennymi władcami Kashfy, w tym samym kościele, w którym ledwie kilka godzin wcześniej walczyliśmy prawie – niestety, nie całkiem – na śmierć z moim bratem Jurtem. Jako jedyny przedstawiciel Amberu – chociaż technicznie nieoficjalny – otrzymałem miejsce w pierwszym rządzie i obecni często zerkali w moją stronę. Dlatego musiałem zachowywać czujność i mamrotać właściwe odpowiedzi. Random nie chciał, by moją obecność traktowano jako formalną wizytę, jednak z pewnością by się zdenerwował, gdyby usłyszał, że nie zachowałem się dyplomatycznie.

W rezultacie miałem obolałe stopy, zeszywniały kark i kolorowy strój przesiąknięty potem. Tego wymaga show business. Zresztą, nie chciałbym inaczej. Luke i ja przeżyliśmy paskudnie ciężkie chwile i teraz nie mogłem ich nie wspominać – od ostrzy mieczy do pojedynków na bieżni, od galerii sztuki do Cienia – kiedy tak stałem mokry i myślałem, kim się stanie teraz, gdy włożył koronę. Takie zdarzenie przemieniło wujka Randoma z wędrownego muzyka, włóczęgi i degenerata w mądrego i odpowiedzialnego monarchę... choć wiedzę o tym pierwszym czerpałem tylko z rodzinnych opowieści. Miałem nadzieję, że Luke nie dojrzeje tak bardzo. Chociaż... Luke był człowiekiem zupełnie innym niż Random, nie mówiąc już o tym, że o całe wieki młodszym. To jednak zadziwiające, czego mogą dokonać lata... a może po prostu natura wydarzeń? Uświadomiłem sobie, że różnię się od tego Merlina, jakim byłem nie tak dawno temu. Kiedy się nad tym zastanowić, to różnię się od siebie z dnia wczorajszego.

Podczas przerwy Coral przekazała mi kartkę. Pisała, że musi się ze mną zobaczyć. Podała miejsce i czas, a nawet dołączyła mapkę. Okazało się, że zaznaczona droga prowadzi do apartamentu na tyłach pałacu. Spotkaliśmy się tam wieczorem i w rezultacie spędziliśmy noc. Dowiedziałem się wtedy, że ślub z Lukiem wzięli jeszcze w dzieciństwie. Per procura. Było to elementem dyplomatycznych układów między Jastrą a Begmanami. Nic z nich nie wyszło – to znaczy z części dyplomatycznej, a reszta jakoś się rozleciała. Królewska para też jakby zapomniała o tym małżeństwie, póki nie przypomniały o nim niedawne wydarzenia. Nie widzieli się od lat, jednak dokumenty stwierdzały wyraźnie, że księżę wstąpił w związek małżeński. Można było wszystko uwziąć, ale też Coral mogła koronować się razem z nim. Gdyby Kashfa miała w tym jakiś interes.

I miała: Eregnor. Begmańska królowa na tronie Kashfy mogła załagodzić spory o tę nieruchomość. Tak przynajmniej, wyjaśniła mi Coral, sądziła Jasra. I Luke'a to przekonało, zwłaszcza wobec braku gwarancji Amberu i nieaktualnego w tej chwili Traktatu Złotego Kręgu.

Objąłem ją. Nie czuła się dobrze, mimo zdumiewająco szybkiej rekonwalescencji pooperacyjnej. Na prawym oku nosiła czarną przepaskę i reagowała dość wyraźnie, gdy tylko zbyt blisko przysunąłem rękę czy nawet przyglądałem się dłużej. Nie miałem pojęcia, co skłoniło Dworkina, by Klejnotem Wszehmocy zastąpić uszkodzone oko. Chyba że uznał ją za jakoś uodpornioną na moce Wzorca i Logrusu, które będą próbowały go odzyskać. Nie miałem żadnego doświadczenia w tej mierze. Kiedy spotkałem w końcu karłowatego maga, przekonałem się, że jest w pełni władz umysłowych. Ta świadomość nie pomogła mi jednak zrozumieć tajemniczych cech, jakie zwykle

charakteryzują mądrych starców.

– Jakie to uczucie? – zapytałem.

– Bardzo dziwne – odparła. – To nie jest właściwie ból. Raczej coś podobnego do atutowego kontaktu. Tyle że towarzyszy mi przez cały czas, a przecież nigdzie nie przechodzę ani z nikim nie rozmawiam. To tak, jakbym stała w bramie. Moce płyną wokół mnie, przeze mnie...

W tej samej chwili znalazłem się pośrodku szarego pierścienia z piastą o wielu szprychach z czerwonego metalu. Od wewnątrz przypominał ogromną pajęczynę. Jaskrawe pasmo pulsowało, by zwrócić moją uwagę. Tak, ta linia prowadziła do bardzo potężnego źródła mocy w dalekim cieniu – energii, którą mogłem wykorzystać do sondowania. Ostrożnie sięgnąłem ku zakrytemu Klejnotowi w oczodole Coral.

Z początku nie wyczułem żadnego oporu. Właściwie nic nie wyczułem, rozciągając tę linię siły. Pojawił się za to obraz zasłony płomieni. Przebijając ją wiedziałem, że zwalnię, zwalnię, zatrzymuję się... Wreszcie zawisłem, jak się okazało, na skraju otchłani. Nie była to droga zestrojenia. Nie chciałem przyzywać Wzorca, będącego fragmentem Klejnotu, gdy wykorzystuję inne moce. Pchnąłem do przodu. Ogarnął mnie straszliwy, wysysający energię chłód.

Jednak to nie moja energia spadała, jedynie tego źródła, jakim władałem. Pchnąłem głębiej i dostrzegłem mglistą plamkę światła, jakby blask odległej mgławicy. Lśniła na tle głębokiej czerwieni szlachetnego wina. Jeszcze bliżej, i rozrosła się w kształt... w złożoną, na wpół znajomą trójwymiarową konstrukcję. Sądząc z opowieści ojca, to zapewne ścieżka, którą należy wyruszyć, aby dostroić się do Klejnotu. Zgadza się, trafiłem do jego wnętrza. Czy powinienem rozpocząć inicjację?

– Ani kroku dalej – rozległ się głos... obcy, choć uświadomiłem sobie, że pochodzi od Coral. Przeszła w trans. – Odmówiono ci wyższej inicjacji.

Cofnąłem sondę. Wołałem uniknąć demonstracji siły, jaka mogłaby wzdłuż niej do mnie dotrzeć. Logrusowy wzrok, od czasu ostatnich wydarzeń w Amberze towarzyszący mi bezustannie, ukazał Coral osłoniętą i oplatana przez wyższą kategorię Wzorca.

– Dlaczego? – spytałem.

Nie zaszczycono mnie odpowiedzią. Coral drgnęła, poruszyła się i spojrzała na mnie.

– Co się stało? – zapytała.

– Zasnęłaś – wyjaśniłem. – Nic dziwnego. Po tym, co zrobił Dworkin i po męczącym dniu...

Ziewnęła i opadła na łóżko.

– Tak... – westchnęła i usnęła naprawdę.

Zdjąłem buty i zrzuciłem grubą wierzchnią odzież. Wyciągnąłem się obok niej i narzuciłem kołdrę na nas oboje. Też byłem zmęczony i chciałem się do kogoś przytulić.

Nie wiem, jak długo spałem. Dręczyły mnie mroczne, zmienne sny. Twarze: ludzkie, zwierzęce, demoniczne, wirowały dookoła, a żadna z nich nie miała szczególnie miłego wyrazu. Lasy padały i wybuchały płomieniem, ziemia drżała i pękała, wody mórz wznosiły się gigantycznymi falami i atakowały ląd, księżyc ociekał krwią i rozlegało się potężne wycie. Coś wykrzykiwało moje imię...

Gwałtowny wicher szarpnął okiennicami, aż otworzyły się do wnętrza, stukając o ściany. W moim śnie jakiś stwór wszedł do komnaty i przykucnął u stóp łoża. Wołał mnie cicho, raz za razem. Pokój dygotał i powróciłem pamięcią do Kalifornii. Zdawało się, że trwa trzęsienie ziemi. Wiatr przeszedł od wycia do ryku, a z zewnątrz dobiegły odgłosy jakby padających drzew, walących się wież...

– Powstań, Merlinie, książę rodu Sawall, książę Chaosu! – powtarzał stwór. Potem zgrzytał zębami i zaczynał od nowa.

Po czwartym czy piątym powtórzeniu przyszło mi do głowy, że to może nie sen. Z zewnątrz

dobiegały krzyki, a błyskawice rytmicznie rozjaśniały niebo do wtóru muzycznego niemal huku gromów.

Nim się poruszyłem, nim otworzyłem oczy, wzniosłem zaporę ochronną. Dźwięki były rzeczywiste, podobnie jak wyłamane okiennice. I stwór przy łóżku.

– Merlinie, Merlinie, powstań! – zwrócił się do mnie.

Miał długi pysk, szpiczaste uszy, solidne kły i pazury, zielonkawosrebrzystą skórę, wielkie i błyszczące oczy, a także wilgotne, skórzaste skrzydła złożone przy smukłym tułowiu. Po wyrazie pyska nie mogłem poznać, czy się uśmiecha czy cierpi.

– Zbudź się, Lordzie Chaosu.

– Gryll – powiedziałem. Poznałem dawnego sługę rodziny z Dworców.

– Tak, panie – potwierdził. – Ten sam, który uczył cię gry w taniec kości.

– Niech mnie piekło pochłonie...

– Najpierw obowiązek, potem przyjemność, panie. Długą i straszną drogą podążałem za czarną linią, by cię przywołać.

– Linie nie sięgały tak daleko – stwierdziłem. – Bez bardzo silnego pchnięcia. A wtedy może też nie. Czy teraz jest inaczej?

– Jest łatwiej – odparł.

– Dlaczego?

– Jego Wysokość Swayvill, król Chaosu, tej nocy śpi ze swymi przodkami z ciemności. Wysłano mnie, bym cię sprowadził na ceremonię.

– Natychmiast?

– Natychmiast.

– Tak... Dobrze, oczywiście. Tylko zbiorę swoje rzeczy. A jak to się stało? Wciągnąłem buty, ubrałem się, przypasałem miecz.

– Nie zdradzono mi szczegółów. Oczywiście, powszechnie wiadomo, że był słabego zdrowia.

– Muszę zostawić list – mruknąłem.

Skinął głową.

– Krótki, mam nadzieję.

– Tak.

Szybko nakreśliłem na kawałku pergaminu z biurka: Coral, wezwano mnie w sprawach rodzinnych. Będę w kontakcie. Położyłem liścik przy jej dłoni.

– Gotowe – rzekłem. – Jak to zrobimy?

– Poniosę cię na grzbiecie, książę, jak to czyniłem przed laty.

Kiwnąłem głową. Wspomnienia z dzieciństwa powróciły niczym fala przyływu. Jak większość demonów, Gryll był straszliwie silny. Pamiętałem jednak nasze zabawy na krawędzi Otchłani i poza nią, w ciemności, w komorach grobowych, jaskiniach, na dymiących jeszcze polach bitew, w ruinach świątyń, komnatach martwych czarnoksiężników, osobistych pieklach. Zawsze jakoś wolałem towarzystwo demonów niż krewnych czy powinowatych matki. Na postaci demona wzorowałem nawet moją podstawową postać w Chaosie.

Powiększył masę ciała, wchłaniając stołek z kąta pokoju. Zmienił kształt, by dopasować go do moich dorosłych rozmiarów. Wspiąłem się na wydłużony tors i chwyciłem mocno.

– Merlinie! – zawołał. – Jakież czary nosisz ostatnio przy sobie?

– Panuję nad nimi – odparłem. – Ale nie poznałem w pełni ich natury. Niedawno je zdobyłem. Co właściwie odczuwasz?

– Gorąco, chłód, dziwaczną muzykę... – rzekł. – Ze wszystkich stron. Zmieniłeś się.

– Wszyscy się zmieniamy – stwierdziłem, gdy szliśmy w stronę okna. – Takie jest życie.

Czarna nie leżała na parapecie. Wyciągnął łapę, dotknął jej i skoczył.

Dmuchał potężny wicher. Spadaliśmy, mknęliśmy naprzód, coraz wyżej. Z boków migaly wieże, kołysały się... Gwiazdy świeciły jasno, niedawno wzeszedł sierp księżyca, oświetlając zwały niskich chmur. Wzlecieliśmy w niebo, a zamek i miasto zmalowały w mgnieniu oka. Gwiazdy zatańczyły i stały się pasmami światła. Wokół nas rozlewała się coraz szersza wstęga czystej, falującej czerni. Czarna Droga, pomyślałem nagle. Obejrzałem się. Nie było jej tam. Zupełnie jakby zwijała się za nami. A może to nas zwijała?

Krajobraz przesuwał się w dole jak film odtwarzany z potrójną szybkością. Falował pod nami las, szczyty gór, mijaliśmy plamy światła i mroku niczym cienie chmur w słoneczny dzień. Po chwili tempo wzrosło w staccato. Zauważyłem nagle, że ucichł wiatr. I niespodziewanie księżyc znalazł się wysoko nad nami, a w dole przemknął zygzakowaty łańcuch górski. Spokój wydawał się częścią snu po chwili księżyc opadł. Linia światła przecięła świat z prawej strony i gwiazdy zaczęły gasnąć. Nie wyczuwałem u Grylla śladu zmęczenia, kiedy pędziliśmy wzdłuż czarnej ścieżki księżyc zniknął, światło stało się żółte jak masło wzdłuż linii chmur, które w oczach nabierały różowego odcienia.

– Wzrasta moc Chaosu – zauważyłem.

– Energia nieuporządkowania – odparł.

– Nie o wszystkim mi powiedziałaś.

– Jestem tylko sługą – wyjaśnił Gryll. – Nie są mi znane decyzje władców.

Świat rozjaśniał się ciągle i dokąd tylko sięgał mój wzrok, widziałem zmarszczki na czarnej wstędze. Lecieliśmy ponad górami. Chmury rozwiewały się i natychmiast w ich miejsce powstawały nowe. Najwyraźniej rozpoczęliśmy już przejście przez Cień. Po pewnym czasie góry zmalowały i pojawiły się falujące równiny. Nagle słońce rozbłysło na środku nieba. Zdawało się, że fruniemy tuż ponad naszą czarną ścieżką, a łapy Grylla ledwie ją muskają. Czasami prawie nie poruszał skrzydłami, kiedy indziej trzepotał nimi jak koliber, aż traciłem je z oczu.

Daleko po lewej stronie słońce zmieniło barwę na wiśniową. Różowa pustynia rozciągnęła się pod nami...

Znowu mrok i gwiazdy wirujące jakby na ogromnym kole...

Lecieliśmy nisko, tuż nad wierzchołkami drzew...

Wpadliśmy ponad zatłoczoną ulicę, światła na latarniach i na pojazdach, neony nad wystawami. Wchłonęła nas ciepła, duszna, zadymiona atmosfera miasta. Kilku przechodniów patrzyło w górę, jakby nie dostrzegając naszego przelotu.

Śmignęliśmy nad rzeką, ponad dachami domów przedmieścia. Widok zafalował i trafiliśmy nad pierwotny pejzaż skał, lawy, osypisk, dygoczącego gruntu i dwóch czynnych wulkanów – jednego blisko, drugiego daleko – plujących dymem w zielononiebieskie niebo.

– To, jak rozumiem, jest skrót? – zapytałem.

– Najkrótszy ze skrótów – potwierdził Gryll.

Wlecieliśmy w długą noc. W pewnej chwili miałem wrażenie, że nasza droga prowadzi przez wodną głębię jaskrawe morskie stworzenia przemykały tuż obok nas i w oddali. Czarna ścieżka osłaniała nas, sucha i nie naruszona.

– Zamieszanie jest tak wielkie, jak po śmierci Oberona – oznajmił Gryll. – Jego efekty wstrząsają Cieniem.

– Ale śmierć Oberona zbiegła się z odtworzeniem Wzorca – przypomniałem. – Nie chodziło jedynie o zgon monarchy jednego z krańców.

– To prawda – przyznał Gryll. – Teraz jednak równowaga sił została naruszona. To pogarsza

sytuację. A będzie jeszcze bardziej odczuwalne.

Zanurkowaliśmy w szczelinę w ciemnej masie głazów. Przemknęły dookoła świetlne błyski. Jasny błękit szkicował kształty nierówności. Później – nie wiem, jak długo – znaleźliśmy się wśród purpurowego nieba nie pamiętam momentu przejścia z mrocznego dna morza. Daleko przed nami lśniła samotna gwiazda. Pędziliśmy ku niej.

– Dlaczego? – spytałem.

– Ponieważ Wzorzec stał się silniejszy od Logrusu – wyjaśnił.

– Jak do tego doszło?

– W czasie starcia między Dworcami a Amberem książe Corwin wykreślił drugi Wzorzec.

– Tak, opowiadał mi o tym. Widziałem nawet ten Wzorzec. Obawiał się, że Oberon nie zdoła naprawić oryginału.

– Ale uczynił to, i teraz istnieją dwa.

– I co?

– Wzorzec twojego ojca także jest symbolem porządku. Posłużył do przechylenia odwiecznej równowagi na korzyść Amberu.

– Jak to możliwe, że o tym wiesz, Gryll, skoro nikt w Amberze nie ma o tym pojęcia, a w każdym razie nie uznał za stosowne mnie poinformować?

– Twój brat, książe Mandor, i księżniczka Fiona, podejrzewali to i szukali dowodów. Przedstawili swoje znaleziska twemu wujowi, lordowi Suhuyowi. Ten odbył kilka podróży w Cień i doszedł do wniosku, że tak jest istotnie. Przygotowywał się, by przedstawić sprawę królowi, kiedy Swayvill zachorował po raz ostatni. Wiem o tym wszystkim, gdyż właśnie Suhuy posłał mnie po ciebie i nakazał opowiedzieć o tych sprawach.

– Myślałem, że to matka chce mnie sprowadzić.

– Suhuy był pewien, że zechce... dlatego wolał, bym to ja dotarł do ciebie pierwszy. To, co mówiłem o Wzorcu twego ojca, nie jest rzeczą powszechnie znaną.

– A co ja powinienem z tym zrobić?

– Nie powierzył mi tej informacji.

Gwiazda pojaśniała. Na niebo wypłynęły plamy pomarańcza i różu. Po chwili dołączyły do nich linie zielonkawego blasku, jak wirujące wokół nas proporce.

Pędziliśmy dalej i konfiguracje barw w pełni przesłoniły niebo, jak obracający się wolno psychodeliczny parasol. Pejzaż stał się rozmytą smugą. Czuję się tak, jakby część mnie spała, choć z całą pewnością nie straciłem świadomości. Czas wyczytniał jakieś sztuczki z moim metabolizmem. Byłem straszliwie głodny i oczy mnie piekły.

Gwiazda rozjaśniła się. Skrzydła Grylla migotały jak pryzmaty. Zdawało się, że mkniemy z niewiarygodną szybkością.

Krawędzie naszej ścieżki podwijały się do góry. Proces trwał ciągle, aż poruszaliśmy się jak w rynnie. Potem krawędzie zetknęły się i pomknęliśmy wnętrzem lufy wymierzonej w niebieskobiałą gwiazdę.

– Czy coś jeszcze masz mi przekazać?

– O ile wiem, nie.

Roztarłem lewy nadgarstek. Miałem uczucie, że coś powinno tam pulsować. A tak, Frakir. Gdzie się podziała? Nagle przypomniałem sobie, że zostawiłem ją w apartamencie Branda. Dlaczego to zrobiłem? Ja... umysł miałem oszołomiony, wspomnienie było jak sen...

Po raz pierwszy dokładnie przemyślałem całe zdarzenie. Gdybym uczynił to wcześniej, szybciej bym zrozumiał, co oznacza: to efekt zamglenia umysłu czarem. W komnatach Branda wpadłem w

zaklęcie. Nie miałem pojęcia, czy było wymierzone konkretnie we mnie, czy raczej uaktywniłem je przypadkiem, myszkując po pokoju. A może nawet było to coś bardziej ogólnego, co uruchomiła katastrofa – może nie planowany efekt uboczny jakiegoś magicznego zaklęcia. Chociaż w to jakoś trudno mi było uwierzyć.

Nawiasem mówiąc, wątpiłem, czy był to przypadkowy czar. Wydawał się zbyt odpowiedni jak na pułapkę pozostawioną przez Branda. Oszukał tak wyszkolonego czarodzieja jak ja. Możliwe, że dopiero obecne oddalenie od miejsca zdarzenia pozwoliło mi myśleć klarownie. Kiedy wspominałem swoje działania od chwili ataku zaklęcia, dostrzegałem, że przez cały czas poruszałem się jak we mgle. A im dłużej się zastanawiałem, tym bardziej stawało się jasne, że czar został przygotowany specjalnie po to, by mnie ogarnąć. A nie rozumiejąc go, nawet teraz nie mogłem uznać, że się uwolniłem.

Czymkolwiek był, skłonił mnie, bym bez namysłu porzucił Frakir, a to budziło we mnie uczucia... dziwne. Nie wiedziałem, jak na mnie wpłynął, jak wciąż może na mnie wpływać, co jest typowym problemem kogoś pochwyconego przez zaklęcie. Uznałem jednak, że to nie zmarły Brand zastawił pułapkę, przewidując mało prawdopodobny przypadek, że długie lata po jego śmierci ja zamieszkał obok jego apartamentów i wkroczę do nich w rezultacie nieprzewidywalnej konfrontacji Logrusu i Wzorca w korytarzu na piętrze zamku Amber. Nie, ktoś inny przygotował czar. Jurt? Julia? Chyba nie byliby w stanie działać nie wykryci na terenie zamku. Więc kto? I czy miało to jakiś związek z epizodem w Galerii Luster? Nie miałem pojęcia. Gdybym tam wrócił, potrafiłbym może jakimś własnym zaklęciem wykryć osobę odpowiedzialną. Ale mnie tam nie było, zatem wszelkie śledztwo na tamtym końcu rzeczywistości musiało zaczekać. Światło w przedzie rozbłysło mocniej i zmieniło barwę z niebiańskiego błękitu na groźną czerwień.

– Gryll – rzuciłem. – Czy wyczuwasz na mnie czar?

– Tak, panie – odparł.

– Czemu nic o tym, nie mówiłeś?

– Myślałem, że to twoje zaklęcie... może obronne.

– Czy potrafisz je unieść? Mnie jest trudniej od wewnątrz.

– Zbyttno przenika twą osobę. Nie wiedziałbym, gdzie rozpocząć.

– A czy możesz coś o nim powiedzieć?

– Tylko że jest, panie. Choć wydaje się mocniejsze w okolicach głowy.

– Czy może zabarwiać jakoś moje myśli?

– Tak. Na jasny błękit.

– Nie pytałem o to, jak je postrzegasz. Jedyne o możliwość wpływu czaru na mój sposób myślenia.

Skrzydła stały się niebieskie, potem czerwone. Tunel rozszerzył się nagle, a niebo pojaśniało szalonymi kolorami Chaosu. Gwiazda, ku której podążaliśmy, przybrała rozmiary niewielkiej latarni – magicznie wzmacnianej, naturalnie – umieszczonej na szczycie wieży cmentarnego zamku, szarego i oliwkowego, na szczycie góry, z której wyjęto dolną i środkową część. Skalna wyspa unosiła się nad skamieniałym lasem. Drzewa płonęły ogniami opali – pomarańczowym, fioletowym, zielonym.

– Można go rozwikłać, jak sądzę – zauważył Gryll. – Ale jego rozszyfrowanie będzie ciężką pracą dla biednego demona.

Burknąłem coś niechętnie. Przez chwilę obserwowałem rozmazany szybkością pejzaż.

– Skoro już mowa o demonach... – zacząłem.

– Tak?

– Co wiesz o odmianie znanej jako ty'iga?



– Żyją daleko za Krawędzią – rzekł. – Być może są stworzeniami najbliższymi pierwotnego Chaosu. Nie sądzę nawet, by miały prawdziwie materialne ciała. Niewiele mają do czynienia z innymi demonami, nie mówiąc już o pozostałych istotach.

– Znałeś może któregoś z nich... hm... osobiście?

– Spotykałem kilka. Niezbyt często.

Wzniesliśmy się wyżej. Zamek również. Strumień meteorów jaskrawo i bezgłośnie wypalił swą ścieżkę w tle.

– Potrafią zamieszkać w ludzkim ciele. Przejść je.

– To mnie nie dziwi.

– Wiem o jednym, który to uczynił kilkakrotnie. Ale wystąpił niezwykle problem. Demon najwyraźniej przejął panowanie nad człowiekiem leżącym na łożu śmierci. Odejście człowieka zablokowało ty'igę. Nie może teraz opuścić ciała. Znasz jakiś sposób, by mógł uciec?

Gryll parsknął.

– Najlepiej skoczyć z urwiska. Albo rzucić się na miecz.

– A jeśli jest już tak mocno związany ze swoim gospodarzem, że to go nie uwolni?

Parsknął znowu.

– To kończy grę w kradzież ciała.

– Jestem jej... mu coś winien – oświadczyłem. – Chciałbym jakoś pomóc. Milczał przez chwilę, nim odpowiedział:

– Starszy, mądrzejszy ty'iga mógłby w takiej sytuacji coś poradzić. A wiesz, gdzie przebywają.

– Tak.

– Przykro mi, że nie mogę pomóc. Ty'igi to stara rasa.

Skęciliśmy wprost ku wieży. Nasz szlak pod zmiennym kalejdoskopem nieba zwęził się do cieniutkiego pasemka. Machając skrzydłami Gryll kierował się w stronę światła na szczycie.

Spojrzałem w dół. Widok budził zawroty głowy. Gdzieś z daleka dobiegł zgrzyt, jakby fragmenty samej ziemi ocierały się o siebie – zwykłe zjawisko w tych okolicach. Wiatr rozwiewał mi płaszcz. Warkocz ciemnopomarańczowych chmur przeciął niebo po lewej stronie. Rozróżniałem już szczegóły zamkowych murów. Dostrzegłem jakąś postać w oświetlonym pokoju.

I nagle wszystko to znalazło się bardzo blisko... a potem przez okno i do wnętrza. Wysoka, przygarbiona, szaro-czerwona demoniczna figura, rogata i częściowo pokryta łuskami, spoglądała na mnie żółtymi ślepiami o eliptycznych Źrenicach. Odsłaniała w uśmiechu kły.

– Wujku! – krzyknąłem zeskakując na podłogę. – Witaj!

Gryll przeciągnął się i otrząsnął, a Suhuy podbiegł i objął mnie... delikatnie.

– Merlinie – rzekł po chwili. – Witaj w domu. Raduję się twoim przybyciem, choć boleję, że z tak smutnej okazji. Gryll ci powiedział...?

– O zgonie Jego Wysokości? Tak. Przykro mi.

Puścił mnie i odstąpił na krok.

– Nie był nieoczekiwany – stwierdził. – Wręcz przeciwnie. Nawet zbyt gorliwie. A jednak czas dla takich wydarzeń nigdy nie jest właściwy.

– To fakt – przyznałem. Rozmasowałem nieco zeszywniałe lewe ramię i sięgnąłem do tylnej kieszeni po grzebień. – Cierpiał od tak dawna, że przyzwyczailem się do tego. Jakby pogodził się ze swoją słabością.

Suhuy przytaknął.

– Będziesz się transformował? – zapytał.

– Miałem ciężki dzień – odparłem. – Wolałbym raczej oszczędzać siły. Chyba że protokół

wymaga...

– Nie, nic mi o tym nie wiadomo. Jadłeś coś?

– Ostatnio nie.

– Chodźmy więc – rzekł. – Musisz się posilić.

Odwrócił się i ruszył do ściany. Poszedłem za nim. W pokoju nie było drzwi, a on musiał znać wszystkie lokalne punkty naprężeń Cienia. Pod tym względem Dworce są przeciwieństwem Amberu. W Amberze potwornie ciężko jest chodzić w Cieniu, lecz w Dworcach cienie są niczym wytarte zasłony. Często, nawet się nie starając, można przez nie zajrzeć w inną rzeczywistość. A czasem coś z tej innej rzeczywistości zagląda tutaj. Trzeba również uważać, żeby po przejściu nie znaleźć się w powietrzu, pod wodą czy na drodze potężnej fali. Turystyka w Dworcach nigdy nie była popularnym hobby.

Na szczęście na tym krańcu rzeczywistości materia Cienia jest tak posłuszna, że cieni mistrz potrafi bez trudu nią manipulować, zszyć razem i otworzyć przejście. Cieniomistrzowie są technikami ważnego rzemiosła. Ich moc pochodzi od Logrusu, choć niekoniecznie przechodzą inicjację. Nieliczni tylko tego dokonują, ale wszyscy zainicjowani w Logrusie automatycznie zostają przyjęci do Gildii Cieniomistrzów. Są w Dworcach jak hydraulicy czy elektrycy, a różnią się umiejętnościami tak samo jak ich odpowiedniki na Cieniu-Ziemi, zależnie od uzdolnień i doświadczenia. Jestem co prawda członkiem gildii, ale wolę raczej podążać za kimś, kto zna drogi, niż szukać ich samemu. Powinienem chyba powiedzieć więcej o tej sprawie. Może kiedyś powiem.

Oczywiście, kiedy dotarliśmy do ściany, już jej tam nie było. Zamgliła się jakby i rozplynęła. Weszliśmy w przestrzeń, którą niedawno zajmowała – a raczej inną, analogiczną przestrzeń – i ruszyliśmy w dół zielonymi schodami. A właściwie nie schodami. To był ciąg nie połączonych ze sobą zielonych dysków, opadających spiralnie w dół, jak gdyby płynęły w nocnym powietrzu, we właściwej odległości od siebie i na odpowiedniej wysokości. Okrążyły zewnętrzną ścianę wieży i dobiegły do ślepego muru. Zanim się do niego zbliżyłem, przeszliśmy przez kilka chwil dziennego światła, krótki wir niebieskiego śniegu i apsydę czegoś w rodzaju katedry, tylko bez ołtarza, ze szkieletami w ławkach po obu stronach nawy. Wreszcie przekroczyliśmy mur i trafiliśmy do dużej kuchni. Suhuy wskazał mi spiżarnię i zaproponował, żebym coś sobie przygotował. Znalazłem zimne mięso i zrobiłem kanapkę, splukując ją letnim piwem. Wuj też zjadł kawałek chleba i łyknął tego samego napoju. Nad głowami pojawił się nagle ptak w locie, zakrakał chrapliwie i zniknął, nim przefrunął całą długość pomieszczenia.

– Kiedy nabożeństwo? – spytałem.

– O czerwonym niebie. To jeszcze prawie obrót – odparł. – Masz więc szansę na czas i wypoczynek... może.

– Co to znaczy "może"?

– Jako jeden z trzech jesteś pod czarną strażą. Dlatego wezwałem cię tutaj, do jednego z moich miejsc odosobnienia. – Odwrócił się i przeszedł przez ścianę. Ruszyłem za nim, wciąż trzymając dzban w ręku. Usiedliśmy nad nieruchomym, zielonym stawem, pod skalną przewieszką, nad którą rozciągało się brunatne niebo. Zamek Suhuya zawierał w sobie miejsca z całego Chaosu i Cienia, zszyte razem w szaloną pajęczynę dróg w drogach. – A z faktu, że nosisz spikard, wnioskuję, że dodałeś też własne środki bezpieczeństwa – zauważył. Wyciągnął rękę i dotknął promienistego koła mojego pierścienia. Poczulem lekkie mrowienie palca, dłoni i ręki.

– Wuju, kiedy byłeś moim nauczycielem, często wygłaszałeś takie niezrozumiałe zdania – stwierdziłem. – Ale skończyłem już naukę i uważam, że daje mi to prawo powiedzenia wprost: nie mam pojęcia, o co ci właściwie chodzi.

Parsknął i napił się piwa.

– Po chwili refleksji wszystko stanie się jasne – zauważył.

– Refleksji... – powtórzyłem, spoglądając na zielony staw.

Obrazy przepływały pośród czarnych wstęg pod powierzchnią – Swayvill leżący bez życia, żółto-czarne szaty okrywające jego skurczone ciało, moja matka, mój ojciec, demoniczne sylwetki przemijające i zanikające... Jurt, ja sam, Jasra i Julia, Random i Fiona, Mandor i Dworkin, Bili Roth i wiele twarzy, których nie znałem...

Pokręciłem głową.

– Refleksja niczego nie wyjaśnia – oznajmiłem.

– Nie jest to funkcja krótkiej chwili – odparł.

Wróciłem do obserwacji chaosu twarzy i kształtów. Jurt wrócił i pozostał na długo. Ubierał się bardzo elegancko i sprawiał wrażenie względnie zdrowego. Kiedy rozwiął się wreszcie, jego miejsce zajęła jedna z tych na wpół znajomych twarzy, które widziałem poprzednio. Wiedziałem, że to arystokrata z Dworców i wyteżyłem pamięć. Oczywiście. Minęło sporo czasu, ale w końcu go rozpoznałem. Tmer z rodu Jesby, najstarszy syn księcia Roloviansa, obecnie sam lord i władca Linii Jesby – szeroka broda, krzaczaste brwi, mocno zbudowany... trzeba przyznać, że przystojny na swój szorstki sposób. Jeśli wierzyć opowieściom, bez wątpienia dzielny, a może nawet wrażliwy.

Potem zjawił się książę Tubble z Linii Chanicut, na przemian zmieniający formę od ludzkiej do wirującej demonicznej. Spokojny, ociążały, subtelny... i stary. Miał kilkaset lat i był bardzo sprytny. Nosił bardziej zmierzwioną brodę i był mistrzem wielu gier.

Czekałem. Tmer po Jurcie i Tubble'u zniknęli wśród rozwianych wstęg. Czekałem dalej, ale nic już się nie pokazało.

– Koniec refleksji – oznajmiłem wreszcie. – Ale nadal nie wiem, co ona oznacza.

– A co zobaczyłeś?

– Mojego brata Jurta – odparłem. – Księcia Tmera z Jesby. I Tubble'a z Chanicut, wśród innych atrakcji.

– Bardzo odpowiednie – orzekł. – Całkowicie odpowiednie.

– Dlaczego?

– Podobnie jak ty, Tmer i Tubble są pod czarną strażą. Jak słyszałem, Tmer przebywa w Jesby, chociaż sędzę, że Jurt przybył na ziemię w innym miejscu niż Dalgarry.

– Jurt wrócił?

Pokiwał głową.

– Może być w Fortecy Gantu, u mojej matki – zastanowiłem się. – Albo... Sawall miał drugą siedzibę, Linie Anch, na samej Krawędzi.

Suhuy wzruszył ramionami.

– Nie wiem – stwierdził.

– Ale po co czarna straż... nad którymkolwiek z nas?

– Studiowałeś na dobrym uniwersytecie w Cieniu – przypomniał. – Długo mieszkałeś na Dworze Amberu, co było zapewne bardzo pouczające. Proszę cię zatem, abyś się zastanowił. Z pewnością umysł tak dobrze wyćwiczony...

– Jak rozumiem, czarna straż oznacza, że grozi nam jakieś niebezpieczeństwo...

– Oczywiście.

– ...Lecz jego charakter jest dla mnie niepojęty. Chyba że...

– Tak.

– Ma to jakiś związek ze śmiercią Swayvilla. Musi zatem łączyć się z polityką. Ale długo mnie tu

nie było. Nie mam pojęcia, jakie sprawy są obecnie gorące.

Pokazał mi kilka rzędów startych, ale wciąż nieprzyjemnych kłów.

– Spróbuj z sukcesją – zaproponował.

– Dobrze. Powiedzmy, że Linie Sawall popierają jednego z możliwych zastępców, Jesby innego, Chanicut jeszcze innego. Skaczemy sobie do gardła. Powiedzmy, że wróciłem w samym środku wendety. Ktokolwiek wydaje rozkazy, postawił nas pod strażą, żeby sprawy nie wymknęły się spod kontroli. Słuszna decyzja.

– Blisko – pochwalił. – Ale sytuacja posunęła się już dalej.

Pokręciłem głową.

– Poddaję się – stwierdziłem. Gdzieś z daleka usłyszałem wycie.

– Pomyśl – rzekł. – A ja tymczasem powitam gościa.

Wstał i wstąpił do sadzawki, znikając natychmiast. Dokończyłem piwo.

## Rozdział 2

Miałem wrażenie, że minęła zaledwie chwila, gdy skała po lewej stronie zamigotała i wydała Dźwięk jakby dzwonu. Bez udziału świadomości, moja uwaga skupiła się na pierścieniu, który Suhuy nazwał spikardem. Uzmysłowiłem sobie, że zamierzałem go użyć do obrony. To ciekawe, jak znajomy się teraz wydawał, w jak krótkim czasie się do niego przystosowałem. Poderwałem się i zwróciłem w stronę skały, wyciągając lewą rękę... lecz przez migotliwy obszar wkroczył Suhuy, a za nim dostrzegłem wyższą, bardziej mroczną sylwetkę. Po chwili i ona przekroczyła próg, wynurzyła się w rzeczywistość i przemieniła z ośmioręcznej małpy w mojego brata Mandora w ludzkiej postaci. Odziany był w czerń, jak przy naszym ostatnim spotkaniu, lecz ubranie miał świeże i nieco inaczej skrojone, a białe włosy nie tak splątane. Rozejrzał się szybko i uśmiechnął do mnie.

– Widzę, że wszystko w porządku – oświadczył. Parsknąłem, wskazując jego rękę na temblaku.

– Tak jak można tego oczekiwać – odparłem. – Co działo się w Amberze po moim wyjeździe?

– Żadnych nowych katastrof. Zostałem tylko, by sprawdzić, czy nie mógłbym w czymś pomóc. W rezultacie magicznie oczyściłem nieco okolicę i przywołałem parę desek, żeby zakryć dziury. Potem poprosiłem Randoma o zgodę na opuszczenie pałacu. Wyraził ją i wróciłem do domu.

– Katastrofa? W Amberze? – zdziwił się Suhuy. Przytaknąłem.

– W korytarzach pałacu Amber nastąpiło starcie między Jednorożcem a Wężem. Doprowadziło do sporych zniszczeń.

– Co skłoniło Węża do wtargnięcia tak daleko w dziedzinę Porządku?

– Chodziło o coś, co Amber uważa za Klejnot Wszchemocy, natomiast Wąż za swoje zagubione Oko.

– Muszę usłyszeć całą tę historię.

Opowiedziałem o spotkaniu, pomijając tylko swoje późniejsze doświadczenia w Galerii Luster i w komnatach Branda. Kiedy mówiłem, spojrzenie Mandora wędrowało od spikarda do Suhuya i z powrotem. Dostrzegł, że to zauważyłem, i uśmiechnął się.

– A więc Dworkin znowu jest sobą... – mruknął Suhuy.

– Nie znałem go wcześniej – odparłem. – Ale wydawało mi się, że wie, co robi.

– ...A królowa Kashfy patrzy Okiem Węża.

– Nie wiem, co nim widzi. Wciąż dochodzi do siebie po operacji. Ale to ciekawe. Gdyby mogła nim patrzeć, co by zobaczyła?

– Czyste, zimne linie nieskończoności, moim zdaniem. Pod całym Cieniem. Żaden śmiertelnik nie znieśie tego zbyt długo.

– Pochodzi z krwi Amberu – stwierdziłem.

– Doprawdy? Oberona?

Skinąłem głową.

– Wasz zmarły władca był mężczyzną niezwykle aktywnym – zauważył Suhuy. – Mimo wszystko, taki widok byłby sporym ciężarem, choć mówię to na podstawie domysłów tylko i pewnej znajomości zasad. Nie mam pojęcia, do czego to może doprowadzić. To wie jedynie Dworkin. Jeśli jest zdrów na umyśle, to z pewnością miał ważny powód, by tak postąpić. Doceniam jego mistrzostwo, choć nigdy nie potrafiłem przewidzieć, jak się zachowa.

– Znasz go osobiście? – spytałem.

– Znałem... Dawno temu, zanim zaczęły się jego kłopoty. A teraz nie wiem, czy cieszyć się tym, co zaszło, czy rozpaczać. Ozdrowiały, może działać na rzecz większego dobra. A może kierują nim czysto osobiste pobudki.

– Przykro mi, ale nie mogę cię oświecić. Dla mnie także jego postęпки są niezrozumiałe.

– Mnie również zdumiało zastosowanie Oka – przyznał Mandor. – Ale to wszystko dotyczy chyba lokalnej polityki, stosunków Amberu z Kashfą i Begmą. Nie wiem, czy w tej chwili jałowe spekulacje do czegoś nas doprowadzą. Lepiej poświęcić uwagę bardziej nagłym sprawom miejscowymi

Westchnąłem mimo woli.

– Takich jak sukcesja – domyśliłem się. Mandor uniósł brew.

– Lord Suhuy już ci powiedział?

– Nie. Ale od ojca tyle słyszałem o sukcesji w Amberze, o wszystkich kabałach, intrygach i zdradach, że w tej dziedzinie czuję się niemal autorytetem. Wyobrażam sobie, że tutaj podobnie to wygląda między rodami następców Swayvilla, tyle że do gry wchodzi więcej pokoleń.

– Słusznie sobie wyobrażasz – przyznał. – Chociaż wydaje mi się, że tutaj cały obraz jest bardziej uporządkowany niż tam.

– To już coś. Co do mnie, zamierzam złożyć kondolencje i wynosić się stąd jak najszybciej. Przyślijcie mi kartkę, kiedy sprawa się wyjaśni.

Roześmiał się. Rzadko się śmieje. Poczulem mrowienie w przegubie, gdzie zwykle siedziała Frakir.

– On naprawdę nie wie – rzekł, spoglądając na Suhuya.

– Dopiero się zjawił – odparł Suhuy. – Nie zdążyłem niczego mu wytłumaczyć. Poszukałem w kieszeni, wyjąłem monetę i podrzuciłem.

– Reszka – stwierdziłem. – Ty mi powiesz, Mandorze. Co się dzieje?

– Nie jesteś pierwszy w kolejce do tronu – rzekł.

Ponieważ była to moja kolej na śmiech, wykorzystałem okazję.

– To już wiedziałem. Nie tak dawno temu, przy obiedzie, sam mi tłumaczyłeś, ilu kandydatów jest przede mną. Jeśli w ogóle ktoś mieszanego pochodzenia może być brany pod uwagę.

– Dwóch – oznajmił. – Dwóch jest przed tobą.

– Nie rozumiem. Co się stało z całą resztą?

– Nie żyją.

– Epidemia grypy?

Uśmiechnął się nieprzyjemnie.

– Ostatnio mieliśmy do czynienia z niezwykłą liczbą śmiertelnych pojedynków i politycznych zabójstw.

– Które przeważały?

– Zabójstwa.

– Fascynujące.

– I teraz wszyscy trzej znajdujecie się pod ochroną czarnej straży Korony i zostaliście powierzeni opiece swoich rodów.

– Mówisz poważnie?

– W samej rzeczy.

– Czy to gwałtowne przerzedzenie szeregów było efektem działania wielu ludzi szukających awansu? Czy może mniejszej grupy, usuwającej przeszkody na drodze?

– Korona nie ma pewności.

– Kiedy mówisz "Korona", kogo właściwie masz na myśli? Kto podejmuje decyzje w czasie bezkrólewia?

– Lord Bances z Amblersh – odparł. – Daleki krewny i dobry przyjaciel naszego zmarłego

monarchy.

- Chyba go sobie przypominam. Może sam ma ochotę na tron, i to on stoi za... przesunięciami?
- Ten człowiek jest kapłanem Węża. Śluby zabraniają im panowania gdziekolwiek.
- Każde śluby da się jakoś ominąć.
- To prawda, ale jego to chyba naprawdę nie interesuje.
- Co nie wyklucza, że może mieć jakiegoś faworyta i trochę mu pomaga w karierze. Czy ktoś bliski tronu szczególnie lubi jego zakon?
- O ile wiem, nie.
- Co nie oznacza, że nie mógł z kimś dobić targu.
- Nie, chociaż Bances nie jest człowiekiem, do którego można by się zwrócić z taką propozycją.
- Inaczej mówiąc wierzysz, że jest ponad to, co się tu dzieje.
- Wobec braku dowodów przeciwnej tezy...
- Kto jest pierwszy do tronu?
- Tubble z Chanicut.
- A drugi?
- Tmer z Jesby.
- Czołówka z twojej sadzawki – zwróciłem się do Suhuya. W uśmiechu pokazał mi zęby. Zdawało się, że wirują.
- Czy prowadzimy wendetę z Chanicut albo Jesby? – spytałem.
- Raczej nie.
- Czyli po prostu jesteśmy ostrożni, co?
- Owszem.
- Jak do tego doszło? Chodzi przecież o wielu ludzi. Jakaś noc długich noży czy co?
- Nie. Zgony następowały od dłuższego czasu. Nie było nagłej rzezi, kiedy Swayvillowi się pogorszyło... chociaż kilku zginęło całkiem niedawno.
- Przecież musiało się odbyć jakieś dochodzenie. Mamy w areszcie jakichś zbrodniarzy?
- Nie. Albo uciekli, albo zostali zamordowani.
- Co z nimi? Ich tożsamość mogłaby wskazać na polityczne kontakty...
- Raczej nie. Kilku to zawodowcy. Inni to zwykli malkontenci, w dodatku niezrównoważeni psychicznie.
- Twierdzisz, że żadne tropy nie prowadzą do zleceniodawców?
- Zgadza się.
- A może jakieś podejrzenia?
- Sam Tubble jest podejrzany, naturalnie, chociaż lepiej nie mówić o tym głośno. On mógłby zyskać najwięcej, a teraz znalazł się na pozycji, która umożliwia mu wyciągnięcie korzyści. Poza tym w jego karierze wiele było politycznych oszustw, zdrad i zabójstw. Ale już dawno temu. Każdy ma w piwnicy parę szkieletów. Od wielu lat jest człowiekiem spokojnym, o konserwatywnych poglądach.
- W takim razie Tmer. Stoi dość blisko, by budzić podejrzenia. Czy cokolwiek łączy go z tym krwawym interesem?
- Właściwie nie. Nic nie wiadomo o jego sprawach. To człowiek zamknięty w sobie. Ale w przeszłości nigdy nie przejawiał skłonności do tak ekstremalnych środków. Nie znam go za dobrze, ale wywarł na mnie wrażenie człowieka prostszego, bardziej bezpośredniego niż Tubble. Gdyby naprawdę pragnął tronu, spróbowałby przewrotu, zamiast tracić czas na intrygi.
- Oczywiście, może w to być zamieszanych więcej ludzi, każdy działający we własnym interesie...
- A teraz, kiedy sprawa zbliża się do zakończenia, powinni się ujawnić?

– To chyba rozsądne, prawda? Uśmiech. Wzruszenie ramion.

– Nie ma powodu, żeby koronacja zakończyła to wszystko – oświadczył. – Korona nie czyni człowieka odpornym na ciosy.

– Ale następca obejmie władzę z bagażem złej opinii i podejrzeń.

– Nie pierwszy to raz w historii. A jeśli się chwilę zastanowisz, przypomnisz sobie, że wielu dobrych monarchów wstąpiło na tron w cieniu takiej chmury. Nawiasem mówiąc, przyszło ci do głowy, że inni mogą snuć takie same domysły na twój temat?

– Owszem i trochę mnie to niepokoi. Mój ojciec przez długi czas pragnął dla siebie tronu Amberu i to zniszczyło mu życie. Był szczęśliwy dopiero wtedy, kiedy powiedział: do diabła z tym. Jeśli w ogóle czegoś się nauczyłem z jego historii, to właśnie tego. Nie mam wygórowanych ambicji.

Przez chwilę jednak zastanowiłem się. Jak bym się czuł, władając potężnym państwem? Za każdym razem, kiedy skarżyłem się na politykę, w Amberze czy w Stanach na Cieniu-Ziemi, rozważałem naturalnie, jak sam bym sobie poradził z sytuacją, gdybym objął rządy.

– O czym myślisz? – zapytał Mandor. Zerknąłem w dół.

– Może pozostali również patrzą teraz w swoje sadzawki i szukają wskazówek – mruknąłem.

– Niewątpliwie – przyznał. – A gdyby Tumble'a i Tmera spotkał przedwczesny koniec? Co byś zrobił?

– Nawet się nad tym nie zastanawiałem. To się nie stanie.

– Przypuśćmy.

– Nie wiem.

– Powinieneś podjąć jakąś decyzję, choćby po to, żeby się tym więcej nie przejmować. Nigdy nie braknie ci słów, jeśli wiesz, co chcesz powiedzieć.

– Dzięki. Będę o tym pamiętał.

– Powiedz, co się z tobą działo od naszego ostatniego spotkania.

Powiedziałem, o upiorach Wzorca i w ogóle.

Gdzieś pod koniec znowu zabrzmiało wycie. Suhuy podszedł do skały.

– Przepraszam – rzucił. Kamień rozstał się i Suhuy zniknął.

Natychmiast poczułem na sobie poważny wzrok Mandora.

– Prawdopodobnie mamy tylko chwilę – stwierdził. – Nie dość, żeby załatwić wszystko, o czym chciałem z tobą pomówić.

– Sprawy osobiste, co?

– Tak. Dlatego musisz zjeść ze mną śniadanie, jeszcze przed pogrzebem. Powiedzmy, ćwierć obrotu od teraz, pod niebieskim niebem.

– Zgoda. U ciebie czy w Liniach Sawall?

– Odwiedź mnie w Mandorliniach.

Skała zmieniła fazę, gdy skinąłem głową. Wkroczyła smukła, demoniczna postać, pod welonem obłoku migocząca błękitem. Poderwałem się na nogi i skłoniłem, by ucałować wyciągniętą dłoń.

– Matko – powiedziałem. – Nie oczekiwałem tej radości... tak prędko.

Uśmiechnęła się i zniknęła w wirze. Rozwiały się łuski, spłynęły kontury twarzy i sylwetki. Zgasła błękitna poświata, zastąpiona zwykłym, choć nieco bladym kolorem ciała. Poszerzyła ramiona i biodra, a równocześnie straciła nieco wzrostu, choć nadal była wysoka. Brązowe oczy wyglądały lepiej, gdy cofnęły się ciężkie łuki brwiowe. Dostrzegłem kilka piegów na jej ludzkim teraz, odrobinę zadartym nosie. Kasztanowe włosy były dłuższe niż ostatnim razem, kiedy widziałem ją w tej postaci. I wciąż się uśmiechała. Dobrze wyglądała w czerwonej tunice z pasem, na którym wisiał rapier.



– Kochany Merlinie – rzekła, ujmując w dłonie moją głowę i całując mnie w usta. – Cieszę się widząc cię w dobrym zdrowiu. Minęło sporo czasu od twojej ostatniej wizyty.

– Prowadziłem bardzo aktywny tryb życia.

– Muszę cię zapewnić, że słyszałam o twoich rozmaitych przygodach.

– W to nie wątpię. Nie każdy ma przecież swoją ty'igę, która podąża za nim, uwodzi go w różnych postaciach i ogólnie komplikuje życie niepożądaną ochroną.

– To dowodzi, skarbie, że troszczę się o ciebie.

– Dowodzi też, że nie szanujesz moich tajemnic i nie wierzysz w moje siły.

Mandor odchrząknął.

– Witaj, Daro – wtrącił.

– Przypuszczam, że tak mogło ci się wydawać – zakończyła. – Witaj, Mandorze – mówiła dalej. –

Co ci się stało w rękę?

– Nieporozumienie z pewnymi elementami architektury – wyjaśnił. – Ostatnio zniknęłaś z oczu, co nie oznacza, że z myśli.

– Dziękuję za ten komplement. Tak, czasem wolę samotność, gdy zbyt mi ciąży towarzystwo. Choć ty nie powinienesz czynić mi zarzutów, mój panie. Sam przecież znikasz często i na długo w labiryntach Mandorlinii... jeśli istotnie tam się udajesz.

Skłonił się.

– Jak sama stwierdziłaś, pani, jesteśmy istotami podobnymi do siebie.

Zmrużyła oczy, lecz ton jej głosu nie zmienił się.

– Zastanawiam się... Tak, czasami widzę nas jako pokrewne dusze, może nie tylko w tych najprostszych cyklach aktywności. Ostatnio oboje wiele podróżowaliśmy, prawda?

– Lecz ja byłem nieostrożny. – Mandor wskazał kontuzjowane ramię. – Gdy ty najwidoczniej nie.

– Nigdy nie spieram się z architekturą – oświadczyła.

– A z innymi imponderabiliami? – zapytał.

– Staram się pracować z tym, co jest pod ręką.

– Ja na ogół również.

– A jeśli nie możesz?

Wzruszył ramionami.

– Czasami zdarzają się konflikty.

– Przeżyłeś ich już wiele, prawda?

– Trudno zaprzeczyć, ale od tej pory minęło już sporo czasu. Ty też jesteś dość wytrzymała.

– Jak dotąd – odparła. – Doprawdy, musimy kiedyś porównać swoje notatki na temat imponderabilii i konfliktów. Czy nie byłoby dziwne, gdybyśmy okazali się podobni pod każdym względem?

– Byłbym zaskoczony – przyznał.

Byłem zafascynowany i trochę przestraszony tą rozmową, choć opierałem się tylko na wyczuciu, bez żadnych konkretów. Byli do siebie podobni. Nigdy jeszcze nie słyszałem, by o sprawach ogólnych mówić z taką precyzją i naciskiem – nigdzie poza Amberem, gdzie często z takich dyskusji czynili rodzaj sportu.

– Proszę o wybaczenie. – Mandor zwrócił się do całego towarzystwa. – Muszę się oddalić, by w spokoju wracać do sił. Dzięki ci za gościnność, panie. – Skłonił się przed Suhuyem. – I za rozkosz, jaką było skrzyżowanie naszych... ścieżek. – To do Dary.

– Dopiero co przybyłeś – rzekł Suhuy. – Nie zdążyłem cię niczym poczęstować. Marny ze mnie gospodarz.

– Nie obawiaj się, stary przyjacielu. Nic nie mogłoby cię takim uczynić. – Zerknął jeszcze na mnie, cofając się do otwartego przejścia. – Na razie – rzucił.

Kiwnąłem głową.

Wkroczył w bramę, a skała stwardniała, gdy tylko zniknął.

– Trudno nie podziwiać jego przemów – stwierdziła moja matka. – I to bez żadnej próby.

– Wdzięk – zauważył Suhuy. – Urodził się, mając go w nadmiarze.

– Zastanawiam się, kto dzisiaj zginie? – westchnęła.

– Nie jestem pewien, czy takie domysły mają jakieś podstawy – odparł.

Roześmiała się.

– A jeśli nawet, z pewnością brakuje im dobrego smaku.

– Mówisz z potępieniem czy zazdrością?

– Z żadnym z tych uczuć. Albowiem ja także jestem wielbicielką wdzięku... i dobrych żartów.

– Mamo – wtrąciłem. – Co się właściwie dzieje?

– O co ci chodzi, Merlinie?

– Wyjechałem stąd dawno temu. Wysłałaś demona, żeby mnie odszukał i się mną zaopiekował.

Potrafił zapewne wytropić kogoś z krwi Amberu. Stąd nastąpiło zamieszanie między mną a Lukiem.

Postanowił więc zająć się nami oboma... dopóki Luke nie rozpoczął tych cyklicznych zamachów na

moje życie. Wtedy demon chronił mnie przed nim i próbował ustalić, który z nas jest właściwą

osobą. Mieszkał nawet z Lukiem przez jakiś czas, a potem ruszył za mną. Powiniennem się tego

domyślić, ponieważ bardzo mu zależało, żeby poznać imię mojej matki. Najwyraźniej Luke był

równie mało mówny w kwestii swojego pochodzenia.

Roześmiała się.

– To wspaniały obraz – zaczęła. – Mała Jasra i Księżę Ciemności...

– Nie zmieniaj tematu – przerwałem. – Pomyśl, jakie to krępujące dla dorosłego mężczyzny: matka wysyła demony, żeby go pilnowały.

– W liczbie pojedynczej. Był tylko jeden demon, kochanie.

– Co z tego? Chodzi o zasadę. Kiedy dasz sobie spokój z tą opieką? Mam dość...

– Ty i ga prawdopodobnie nieraz uratowała ci życie, Merlinie.

– No tak. Ale...

– Wolałbyś być martwy niż pod opieką? Tylko dlatego, że pomoc przyszła ode mnie?

– Nie o to chodzi!

– Więc o co?

– Po prostu uznałaś, że nie dam sobie rady.

– I nie dałeś sobie rady.

– Ale nie mogłaś tego z góry wiedzieć. Przyjęłaś, że w Cieniu potrzebuję niańki, że jestem naiwny, łatwowierny, nieostrożny...

– Pewnie zranię twoje uczucia, ale taki właśnie byłeś, ruszając w miejsce tak różne od Dworców jak ten Cień.

– Tak. Bo potrafię sam o siebie zadbać.

– Nie wychodziło ci to najlepiej. Ale sam przyjmujesz kilka bezpodstawnych założeń. Dlaczego sądzisz, że powody, które wymieniłaś, są jedyne, jakie skłoniły mnie do podjęcia takich działań?

– Zgoda. Czy wiedziałaś, że Luke zawsze trzydziestego kwietnia będzie próbował mnie zabić? A jeśli odpowiedź brzmi: tak, to czemu mi zwyczajnie nie powiedziałaś?

– Nie wiedziałam, że Luke będzie próbował cię zabić każdego trzydziestego kwietnia.

Odwróciłem się.

Zacisnąłem i rozluźniłem palce.

– Czyli zrobiłaś to wszystko dla zabawy?

– Merlinie, dlaczego tak trudno ci przyznać, że inni ludzie mogą wiedzieć o rzeczach, o których ty nie masz pojęcia?

– Zacznijmy od ich niechęci, by mnie o tych rzeczach poinformować.

Milczała przez chwilę. Wreszcie...

– Obawiam się, że masz trochę racji – przyznała. – Ale istniały ważne powody, by nie mówić z tobą o tych sprawach.

– Więc zacznij od tej niemożności. Powiedz mi teraz, dlaczego wtedy mi nie zaufałaś.

– To nie jest kwestia zaufania.

– Czy możesz mi już wyjaśnić, o co chodziło?

Kolejna chwila milczenia.

– Nie – oświadczyła wreszcie. – Jeszcze nie.

Zwróciłem się ku niej. Twarz miałem spokojną, głos obojętny.

– A zatem nic się nie zmieniło – rzekłem. – I się nie zmieni. Nadal mi nie ufasz.

– Nieprawda – zawołała, zerkając na Suhuya. – To po prostu nie jest odpowiednie miejsce ani czas, by poruszać ten temat.

– Może przynieść ci coś do picia, Daro? – wtrącił natychmiast Suhuy. – A może coś przekąsisz?

– Nie, dziękuję. Zaraz muszę iść.

– Mamo, w takim razie powiedz mi coś o ty'idze.

– A co chciałbyś wiedzieć?

– Przywołałaś demona z przestrzeni poza Krawędzią?

– Zgadza się.

– Te stworzenia są z natury bezcielesne, mogą jednak dla własnych celów opanować cudze ciało.

– Istotnie.

– Przypuśćmy, że taka istota przejmie ciało osoby umierającej, co uczyni ją jedynym duchem i inteligencją nim kierującą?

– Interesujące. Czy to hipotetyczny problem?

– Nie. To rzeczywiście się stało z ty'igą, którą za mną posłałaś. Teraz nie może opuścić tego ciała. Dlaczego?

– Szczerze mówiąc, nie jestem pewna.

– Jest uwięziona – wtrącił Suhuy. – Może obejmować bądź opuszczać ciało jedynie drogą reakcji z zamieszkującym je umysłem.

– Ciało z ty'igą wróciło do zdrowia po chorobie, która zabiła jego świadomość. Chcesz powiedzieć, że utknęła w nim do końca?

– Tak. O ile wiem.

– Powiedz mi w takim razie: gdy ciało umrze, czy zostanie uwolniona czy raczej zginie wraz z nim?

– Może nastąpić jedno albo drugie. Im dłużej jednak pozostaje w tym ciele, tym bardziej jest prawdopodobne, że zginie.

Obejrzałem się na matkę.

– Oto koniec tej historii – oznajmiłem. Wzruszyła ramionami.

– Skończyłam z tym demonem i uwolniłam go – rzekła. – W razie potrzeby zawsze mogę wezwać następnego.

– Nie rób tego.

- Nie zrobię. W tej chwili nie ma powodu.
- Gdybyś jednak uznała, że istnieje taka potrzeba, nie wahałabyś się?
- Matka zwykle dba o bezpieczeństwo syna, czy to mu się podoba czy nie.

Uniosłem lewą dłoń, gniewnym gestem wysuwając palec wskazujący, kiedy zauważyłem, że noszę jasną bransoletę – zdawała się niemal holograficznym obrazem plecionego powroza. Opuściłem rękę i opanowałem reakcję.

– Teraz znasz już moje uczucia – oświadczyłem.

– Poznałam je już dawno – odparła. – Może spotkamy się na obiedzie w Liniach Sawall, za pół obrotu, pod fioletowym niebem. Zgoda?

– Zgoda.

– A więc na razie. Dobrego obrotu, Suhuyu.

– Dobrego obrotu, Daro.

Zrobiła trzy kroki i zniknęła, zgodnie z wymaganiami etykiety tą samą drogą, którą tu przybyła.

Zawróciłem i stanąłem nad sadzawką. Spojrzałem w jej głębię czując, jak z wolna rozluźniają się zaciśnięte w węzeł mięśnie karku. Pod powierzchnią widziałem teraz Jasrę i Julię w cytadeli Twierdzy. Robiły coś tajemniczego w laboratorium. I nagle popłynęły nad nimi pasma jakby okrutnej prawdy przerastającej wszelki porządek i piękno, formując się w twarz o fascynujących, przerażających proporcjach.

Poczułem dłoń na ramieniu.

– Rodzina... – westchnął Suhuy. – Intryguje i doprowadza do szału. Odczuwasz w tej chwili tyranie afektu, prawda?

Przytaknąłem.

– Mark Twain wspominał, że można dobierać sobie przyjaciół, ale nie krewnych – powiedziałem.

– Nie wierni, co planują, choć mam pewne podejrzenia – odparł. – W tej chwili nic nie możesz zrobić. Tylko wypoczywać i czekać. Chciałbym posłuchać twojej opowieści.

– Dzięki, wujku. Owszem, dlaczego nie?

Opowiedziałem mu o wszystkim. Wróciliśmy do kuchni, żeby się czymś pokrzepić, potem opuściliśmy ją inną drogą. Prowadziła na taras dryfujący ponad żółtymi falami oceanu zalewającymi różowe skały i plaże pod mrocznym, ciemnoniebieskim niebem bez gwiazd. Tam dokończyłem swoją historię.

– To rzeczywiście interesujące – stwierdził po chwili.

– Tak? Czyżbyś dostrzegł coś, co ja przeoczyłem?

– Zbyt wiele dostarczyłeś mi materiału do przemyślenia, bym pochopnie wygłaszał sądy. Na razie na tym poprzestańmy.

– Jak chcesz.

Oparłem się o poręcz i spojrzałem na wodę.

– Musisz odpocząć – stwierdził wreszcie.

– Chyba tak.

– Chodź, zaprowadzę cię do twojego pokoju. Wyciągnął dłoń, a ja ją chwyciłem. Razem zapadliśmy się w posadzkę.

I tak zasnąłem pośród gobelinów i ciężkich draperii, w komnacie bez drzwi w Liniach Suhuy. Może była to wieża, gdyż słyszałem wiatr za murami. A śpiąc śniłem...

Znów byłem w Amberze i siedłem lśniąca Galerią Luster. Świece migotały w wysokich lichtarzach. Moje stopy nie wydawały Dźwięku. Zwierciadła pojawiały się we wszelkich możliwych kształtach. Wielkie i małe, zakrywały ściany z obu stron. Mijałem siebie w ich głębiach, odbitego,

zniekształconego, czasem odbitego ponownie...

Zatrzymałem się przed wysokim, pękniętym zwierciadłem po lewej stronie, w cynowej ramie. Już kierując się tam wiedziałem, że to nie siebie zobaczę tym razem.

Nie pomyliłem się. Z lustra patrzyła na mnie Coral. Miała na sobie brzoskwiniową bluzę i zdjęła z oka opaskę. Pęknięcie dzieliło jej twarz na połowy. Lewe oko było zielone, jakie je pamiętałem, prawym był Klejnot Wszechmocy. Oba skupiały na mnie spojrzenie.

– Merlinie – powiedziała. – Pomóż mi. To nazbyt dziwne. Oddaj mi moje oko.

– Nie wiem jak – odparłem. – Nie pojmuję, co ci zrobiono.

– Moje oko – powtórzyła, jakby mnie nie słyszała. – Świat to wirujące potęgi w Oku Wszechmocy. Zimny... taki zimny... nie jest przyjaznym miejscem. Pomóż mi.

– Znajdę sposób – obiecałem.

– Moje oko... – mówiła dalej. Ruszyłem przed siebie.

Z prostokątnego lustra w drewnianej ramie, wyrzeźbionej u podstawy w kształt feniksa, spojrział na mnie Luke.

– Cześć, stary kumplu – rzucił. Nie wyglądał na szczęśliwego. – Wiesz, chciałbym jakoś odzyskać miecz taty. Nie trafiłeś na niego przypadkiem?

– Raczej nie – mruknąłem.

– To wstyd, tak szybko stracić twój prezent. Rozglądaj się za nim, dobrze? Mam przeczucie, że może się przydać.

– Na pewno – obiecałem.

– W końcu jesteś częściowo odpowiedzialny za to, co się stało – mówił dalej.

– Fakt – przyznałem.

– ... A ja bardzo bym chciał go odzyskać.

– Dobra – rzuciłem odchodząc.

Złośliwy śmieszek zabrzmiał z owalu w brązowej ramie po prawej stronie. Obejrzałem się i zobaczyłem w nim twarz Victora Melmana, czarnoksiężnika z Cienia-Ziemi, z którym spotkałem się dawno temu, gdy moje problemy dopiero się zaczynały.

– Synu potępienia! – syknął. – Przyjemnie widzieć cię zagubionego w piekle. Niech moja krew płonie ogniem na twoich rękach.

– Twoja krew spadła na twoje ręce – odparłem. – Uważam cię za samobójcę.

– Wcale nie – warknął. – Zabiłeś mnie nieuczciwie.

– Bzdura. Może i ciąży na mnie wiele win, ale twoja śmierć do nich nie należy.

Chciałem odejść, gdy jego ręka wysunęła się z lustra i chwyciła mnie za ramię.

– Morderca! – krzyknął. Strzepnąłem jego dłoń.

– Odczep się – rzuciłem i poszedłem dalej. Po chwili z szerokiego lustra w zielonej ramie, z zielonym połyskiem na szkle, zawołał mnie Random. Pokręcił głową.

– Merlinie! Merlinie! Co właściwie zamierzasz? – zapytał. – Od pewnego czasu domyślam się, że nie informujesz mnie o wszystkim, co nam grozi.

– No cóż – odparłem, przyglądając się jego pomarańczowej koszulce i levisom. – To prawda, sir. Po prostu nie miałem czasu, by omówić niektóre kwestie.

– Kwestie dotyczące bezpieczeństwa kraju... a ty nie miałeś czasu?

– Wydaje mi się, że w grę wchodzi czynnik oceny.

– Jeśli zagrożone jest nasze bezpieczeństwo, to ja dokonuję ocen.

– Tak, sir. Rozumiem to...

– Musimy porozmawiać, Merlinie. Czy chodzi o to, że sprawa dotyczy również twojego życia

osobistego?

– Chyba tak...

– To bez znaczenia. Królestwo jest ważniejsze. Musimy porozmawiać.

– Tak, sir. Gdy tylko...

– Żadne "gdy tylko", do diabła! Natychmiast! Przestań się bawić tym, cokolwiek teraz planujesz, i wracaj! Musimy porozmawiać!

– Oczywiście. Muszę...

– Przestań pleść! To już prawie zdrada, jeśli ukrywasz istotne informacje! Chcę się z tobą zobaczyć! Wracaj do domu!

– Wróć – rzuciłem i odszedłem pospiesznie. Jego głos dołączył do nie cichnącego chóru innych, powtarzających swoje żądania, prośby czy oskarżenia.

Z kolejnego lustra – okrągłego, z niebieską, plecioną ramą – przyglądała mi się Julia.

– Tam jesteś – powiedziała niemal z żalem. – Wiesz, że cię kochałam.

– Ja też cię kochałem – odparłem. – Dużo czasu potrzebowałem, żeby to zrozumieć. I chyba wszystko popsułem.

– Nie kochałeś mnie dostatecznie mocno – oświadczyła. – Nie dość, żeby mi zaufać. I w ten sposób utraciłeś moje zaufanie.

Odwróciłem głowę.

– Przykro mi.

– To nie wystarczy. Zostaliśmy wrogami.

– Nie musiało tak być.

– Za późno – stwierdziła. – Za późno.

– Przykro mi – powtórzyłem i odszedłem.

Po chwili trafiłem na Jasrę w czerwonej, lśniącej brylantami ramie. Wysunęła dłoń o jaskrawych paznokciach i pogładziła mnie po policzku.

– Wybierasz się gdzieś, drogi chłopcze? – spytała.

– Mam nadzieję.

Uśmiechnęła się krzywo i ściągnęła wargi.

– Uznałam, że masz zły wpływ na mojego syna – oznajmiła. – Złagodniał, kiedy się z tobą zaprzyjaźnił.

– Bardzo mi przykro – zapewniłem ją.

– ...Co czyni go niezdatnym do sprawowania władzy.

– Niezdatnym czy niechętnym?

– Wszystko jedno. To twoja wina.

– On jest już dużym chłopcem, Jasro. Sam podejmuje decyzje.

– Obawiam się, że nauczyłeś go podejmować błędne.

– Nikt nim nie kieruje. Nie miej pretensji do mnie, jeśli robi coś, co ci się nie podoba.

– A jeśli Kashfa padnie, bo zmiękł pod twoim wpływem?

– Rezygnuję z nominacji na winnego – rzekłem i postąpiłem o krok.

Dobrze, że się ruszyłem, gdyż jej dłoń wystrzeliła ku mnie, a paznokcie sięgnęły do twarzy. Chybiła o włos. Ciskała za mną wyzwiska, ale na szczęście utonęły wśród krzyków innych.

– Merlinie?

Spojrzałem w prawo i zobaczyłem twarz Naydy w srebrnym lustrze, którego powierzchnia i ozdobna rama były jednym kawałkiem metalu.

– Nayda! A o co ty masz do mnie pretensje?

– O nic – odparła dama ty'iga. – Przechodziłam tylko i chciałam spytać o drogę.

– Nie czujesz do mnie nienawiści? Jaka miła odmiana.

– Nienawidzić cię? Nie bądź głuptasem. Nie potrafiłabym.

– Wszyscy inni w tej galerii gniewają się na mnie.

– To tylko sen, Merlinie. Ty jesteś prawdziwy, ja jestem prawdziwa, i nic nie wiem o pozostałych.

– Przykro mi, że moja matka rzuciła na ciebie zaklęcie i nakazała mnie chronić przez te wszystkie lata. Czy naprawdę jesteś już wolna? Jeśli nie, mógłbym...

– Jestem wolna.

– Żałuję, że tak trudno było ci wypełniać ten nakaz. Nie wiedziałaś, czy to mnie czy Luke'a powinnaś strzec. Kto mógł przewidzieć, że dwóch Amberytów zamieszka w tej samej okolicy w Berkeley?

– Ja nie żałuję.

– Co masz na myśli?

– Przyszłam zapytać o drogę. Chcę wiedzieć, gdzie znajdę Luke'a.

– Jak to gdzie? W Kashfie. Wczoraj koronowali go na króla. Po co ci jest potrzebny?

– Nie domyśliłeś się?

– Nie.

– Kocham go. Zawsze kochałam. Teraz, kiedy jestem wolna od czaru i mam własne ciało, chcę mu powiedzieć, że byłam Gail i co czuję. Dzięki, Merlinie. Do zobaczenia.

– Zaczekaj!

– Tak?

– Nigdy ci nie podziękowałem za to, że broniłaś mnie przez te lata... nawet jeśli byłaś do tego zmuszona i nawet jeśli sprawiało mi to kłopoty. Dziękuję... i powodzenia.

Uśmiechnęła się i rozwiła. Dotknąłem zwierciadła.

– Powodzenia – zdawało mi się, że mówi. Dziwne. To tylko sen. Ale nie mogłem się obudzić, a wszystko wydawało się realne. Właściwie...

– Jak widzę, wróciłeś do Dworców, żeby spiskować.

To z lustra o trzy kroki przede mną, wąskiego i w czarnej ramie.

Podszedłem. Mój brat Jurt spojrział na mnie z niechęcią.

– Czego chcesz? – zapytałem.

Jego twarz była gniewną parodią mojej.

– Chcę, żebyś nigdy nie istniał – oświadczył. – A skoro to niemożliwe, chcę cię zobaczyć martwego.

– A jaka jest trzecia możliwość?

– Uwięzienie w jakimś osobistym piekle.

– Dlaczego?

– Stoisz pomiędzy mną a wszystkim, czego pragnę.

– Chętnie odstąpię. Powiedz, w jaki sposób.

– Nie możesz i nie zechcesz z własnej woli.

– Dlatego mnie nienawidzisz?

– Tak.

– Myślałem, że kąpiel w Fontannie Mocy zniszczyła twoje emocje.

– Nie przeszedłem pełnej kuracji, a to tylko je wzmocniło.

– Czy moglibyśmy zapomnieć o wszystkim i zacząć jeszcze raz? Zostać przyjaciółmi?

– Nigdy.

- Nie liczyłem na to.
- Ona zawsze wołała ciebie niż mnie. A teraz zasiądziesz na tronie.
- Nie bądź śmieszny. Nie chcę go.
- Twoje pragnienia nie mają tu nic do rzeczy.

- Nie przyjmę go.
- Owszem, przyjmiesz... Chyba że wcześniej cię zabiję.

- Nie bądź głupi. Ta gra nie jest warta świeczki.

– Pewnego dnia... już niedługo... kiedy najmniej się będziesz spodziewał, obejrzysz się i zobaczysz mnie. Wtedy będzie już za późno.

Lustro poczerniało.

- Jurt!

Nic. Irytujące, że muszę go znosić nie dość że na jawie, to jeszcze we śnie.

Zwróciłem wzrok ku obramowanemu płomieniem zwierciadłu o kilka kroków przede mną.

Wiedziałem jakoś, że to kolejne na mojej drodze. Ruszyłem do niego.

Uśmiechała się.

- No i masz – powiedziała.

- Ciociu, co się dzieje?

– Wydaje się, że to konflikt z rodzaju tych, które określa się generalnie jako nieredukowalne – odparła Fiona.

- Nie takiej odpowiedzi mi trzeba.

- Zbyt wiele się dzieje, żeby udzielić ci lepszej.

- I ty masz w tym rolę do odegrania?

- Bardzo niewielką. Nie taką, żebym mogła ci w tej chwili jakoś pomóc.

- Co mam robić?

- Przekonaj się, jakie masz możliwości i wybierz najlepszą.

- Najlepszą dla kogo? Najlepszą dla czego?

- Tylko ty możesz to określić.

- Może udzielisz mi jakiejś wskazówki?

- Czy mogłeś przejść Wzorzec Corwina tego dnia, kiedy cię tam zaprowadziłam?

- Tak.

- Podejrzywałam to. Został wykreślony w niezwykłych okolicznościach. Nie da się go skopiować.

Nasz Wzorzec nigdy by nie dopuścił do jego powstania, gdyby sam nie był uszkodzony i zbyt słaby, by temu zapobiec.

- I co?

– Nasz Wzorzec próbuje go wchłonać, przyłączyć. Jeśli odniesie sukces, będzie to katastrofą równie straszną, jak gdyby Wzorzec Amberu został zniszczony podczas wojny. Równowaga z Chaosem zostanie nieodwracalnie zakłócona.

- Czy Chaos nie jest dość potężny, by na to nie pozwolić? Sądziłem, że ich siły są równe.

– Były, dopóki nie naprawiłeś Wzorca w Cieniu. Ten w Amberze go wchłonał. Wtedy jego potęga przerosła moc Chaosu. Teraz, mimo oporu Logrusu, potrafi sięgnąć do Wzorca twojego ojca.

- Nie wiem, co powinienem zrobić.

– Ja też nie... na razie. Ale nakazuję ci pamiętać o tym, co powiedziałam. Kiedy nadejdzie czas, musisz podjąć decyzję. Nie mam pojęcia, czego ma dotyczyć, ale będzie bardzo ważna.

– Ona ma rację – odezwał się głos za moimi plecami. Odwróciłem się i zobaczyłem ojca w lśniącej czarnej ramie ze srebrną różą u szczytu.



– Corwinie! – zawołała Fiona. – Gdzie jesteś?

– W miejscu, gdzie nie ma światła – odparł.

– Wyobrażałem sobie ciebie w Amberze, ojczu. Z Deirdre – powiedziałem.

– Duchy bawią się w duchy – odrzekł. – Nie mam wiele czasu, gdyż tracę siły. Powiem ci tylko jedno: nie ufaj ani Wzorcowi, ani Logrusowi, ani żadnemu z ich tworów, póki nie zakończy się ta sprawa.

Zaczął się rozwiewać.

– Jak mogę ci pomóc?! – krzyknąłem. Słowa: – ...w Dworcach... – dobiegły do mnie, nim zniknął.

Odwróciłem się znowu.

– Fi, co on chciał przez to powiedzieć? – spytałem. Zmarszczyła brwi.

– Odniosłam wrażenie, że odpowiedź jest ukryta gdzieś w Dworcach – odparła cicho.

– Gdzie? Gdzie mam jej szukać? Pokręciła głową i zaczęła się odwracać.

– Kto może wiedzieć najlepiej? – rzuciła jeszcze i zniknęła.

Głosy wciąż mnie nawoływały, z tyłu i z przodu. Słyszałem płacz i śmiech, i powtarzane ciągle moje imię. Pobiegnę przed siebie.

– Cokolwiek się zdarzy – zawołał Bili Roth – i będziesz potrzebował dobrego prawnika, ja się tym zajmę. Nawet w Chaosie.

A potem był Dworkin, spoglądający na mnie z ukosa w małym lusterku w poskręcanej ramie.

– Nie ma się czym przejmować – zauważył. – Ale zawisły nad tobą wszelkiego typu imponderabilia.

– Co mam robić?! – zawołałem.

– Musisz stać się kimś większym od siebie.

– Nie rozumiem.

– Wyrwij się z klatki, jaką jest twoje życie.

– Jakiej klatki?

Odszedł.

Biegłem, a ich słowa rozbrzmiewały wokół.

Przy końcu korytarza wisiało lustro podobne do rozciągniętego na ramie kawałka żółtego jedwabiu. Z głębi uśmiechnął się do mnie Kot z Cheshire.

– Nie warto się wysilać. Niech diabli porwą ich wszystkich – powiedział. – Do kabaretu wstąp. Wypijemy po parę piw i popatrzymy, jak ten facet maluje.

– Nie! – wrzasnąłem. – Nie!

Wtedy pozostał tylko uśmiech. Tym razem ja także się rozviałem. Litościwe czarne zapomnienie i świst wiatru gdzieś za murami.

# Rozdział 3

Nie wiem, jak długo spałem. Obudził mnie Suhuy, powtarzając moje imię.

– Merlinie! Merlinie! – wołał. – Niebo jest białe.

– A przede mną pracowity dzień – dokończyłem. – Wiem. Noc też miałem pracowitą.

– Zatem dotarło do ciebie.

– Co?

– Niewielkie zaklęcie, jakie posłałem, by otworzyć twój umysł na odrobinę oświecenia. Miałem nadzieję, że znajdziesz odpowiedzi wewnątrz siebie i nie będę musiał cię obciążać swoimi domysłami i podejrzeniami.

– Wróciłem do Galerii Luster.

– Nie wiedziałem, jaką formę może przyjąć.

– Czy to było rzeczywiste?

– Powinno... jak zwykle takie rzeczy.

– No cóż, dziękuję... chyba. Coś mi to przypomina... Gryll wspomniał, że chcesz się ze mną zobaczyć przed moją matką.

– Chciałem sprawdzić, jak dużo wiesz, zanim się z nią spotkasz. Chciałem bronić twojej swobody wyboru.

– O czym ty mówisz?

– Jestem przekonany, że pragnie zobaczyć cię na tronie. Usiadłem i przetarłem oczy.

– Tak, to możliwe – przyznałem.

– Nie mam pewności, jak daleko zechce się posunąć, by to osiągnąć. Chciałem dać ci czas do namysłu, zanim poznasz jej plany. Napijesz się herbaty?

– Tak, chętnie.

Przyjąłem od niego kubek i podniosłem do ust.

– Czy wiesz coś oprócz tego, że domyślasz się jej pragnień? – spytałem. Pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia, jak intensywny przewiduje program – odparł. – Jeśli o to ci chodzi. Nie wiem, czy ona za nim stała czy ktoś inny, ale to zaklęcie, z którym tu przybyłeś, już zniknęło.

– Twoja robota?

Przytaknął.

– Nie uświadamiałem sobie, jak bardzo się przesunąłem w kolejce – stwierdziłem. – Jurt jest czwarty czy piąty w sukcesji, prawda?

Skinął głową.

– Mam przeczucie, że czeka mnie męczący dzień – mruknąłem.

– Skończ herbatę – poradził. – I chodź za mną, kiedy będziesz gotów.

Wyszedł przez gobelin ze smokiem na ścianie.

Uniosłem kubek. W tej samej chwili jaskrawa bransoleta na lewym przegubie uwolniła się i popłynęła w górę. Utraciła splot i zmieniła się w pierścień czystego blasku. Zawisła nad parującym płynem, jakby rozkoszowała się jego cynamonowym aromatem.

– Cześć, Ghost – rzuciłem. – Dlaczego tak mi się zawiązałeś na rękę?

– Żeby wyglądać jak ten kawałek sznura, który zwykle nosisz – nadeszła odpowiedź. – Pomyślałem, że ci się to spodoba.

– Chciałem spytać, co tam właściwie robiłeś przez cały czas.

– Słuchałem, tatku. Sprawdzałem, czy mogę pomóc. Ci ludzie to też twoi krewni?

– Tak. Ci, których spotkałem do tej pory.

– Czy musimy wrócić do Amberu, żeby źle o nich mówić?

– Nie. Ta zasada odnosi się również do Dworców. – Łyknąłem herbaty. – Masz na myśli jakieś konkretne zło? Czy to pytanie ogólne?

– Nie ufam twojej matce i twojemu bratu Mandorowi, chociaż to moja babcia i stryj. Odniosłem wrażenie, że mają względem ciebie jakieś plany.

– Mandor zawsze dobrze mnie traktował.

– ...A twój wuj, Suhuy... wydaje się całkiem stabilny umysłowo, jednak bardzo mi przypomina Dworkina. Może cierpieć na wszelkiego typu wewnętrzne rozchwiania i lada chwila straci rozsądek.

– Mam nadzieję, że nie. Nic takiego nigdy się nie zdarzyło.

– No tak, ale napięcie rośnie i w chwili stresu...

– A właściwie skąd wytrzasnąłeś tę tanią psychologię?

– Studiowałem dzieła wielkich psychologów na Cieniu-Ziemi. To część moich nieustających prób zrozumienia człowieka. Doszedłem do wniosku, że czas dowiedzieć się czegoś o reakcjach irracjonalnych.

– Skąd taki pomysł?

– Szczerze mówiąc powodem była wersja Wzorca wyższego rzędu, którą spotkałem w Klejnocie. Zwyczajnie nie mogłem zrozumieć pewnych jej aspektów. To przywiodło mnie do rozważań o teorii chaosu, potem do Menningera i innych, do studiów nad jego manifestacjami w świadomości.

– Jakież wyniki?

– Jestem teraz mądrzejszy.

– Ale w kwestii Wzorca.

– Tak. Albo ma element irracjonalności jako takiej, podobnie do istot żywych, albo jest inteligencją takiego rzędu, że niektóre jej działania wydają się tylko nieracjonalne istotom niższym. Z punktu widzenia praktyki wychodzi na jedno.

– Nie miałem okazji przeprowadzenia pewnych testów, jakie zaprojektowałem... Ale czy twoim zdaniem sam mieścisz się w tej kategorii?

– Ja? Irracjonalny? Nie przyszło mi to do głowy. Nie wiem, czy to w ogóle możliwe.

Dopiłem herbatę i zsunąłem nogi z łóżka.

– Szkoda – stwierdziłem. – Sądzę, że właśnie element nieracjonalności czyni nas naprawdę ludźmi... a także dostrzeżenie go w sobie, ma się rozumieć.

– Tak sądzisz?

Wstałem i zacząłem się ubierać.

– Tak. A opanowanie go we własnym umyśle może mieć jakiś związek z inteligencją i kreatywnością.

– Będę musiał bardzo dokładnie to zbadać.

– Słusznie. – Wciągnąłem buty. – I zawiadam mnie o swoich odkryciach.

Ubierałem się dalej, gdy zapytał:

– Kiedy niebo stanie się niebieskie, zjesz śniadanie ze swoim bratem Mandorem?

– Tak – potwierdziłem.

– A potem obiad z matką?

– Zgadza się.

– A jeszcze później weźmiesz udział w pogrzebie zmarłego monarchy?

– Wezmę.

– Czy powinienem być przy tobie, żeby cię ochraniać?

– Będę bezpieczny wśród krewnych, Ghost. Nawet jeśli im nie ufasz.

– Na ostatnim pogrzebie, w którym uczestniczyłeś, ktoś rzucił bombę.

– Fakt. Ale to był Luke, a on zrezygnował. Nic mi nie grozi. Jeśli chcesz się rozejrzeć, nie krępuj się.

– Dobrze – rzekł. – Pozwiedzam. Wstałem, przeszedłem przez pokój i stanąłem przed smokiem.

– Możesz mi wskazać drogę do Logrusu? – zapytał Ghost.

– Chyba żartujesz.

– Wcale nie. Widziałem już Wzorzec, ale nie oglądałem jeszcze miejsca, gdzie znajduje się Logrus. Gdzie go trzymają?

– Sądziłem, że wyposażyłem cię w lepsze systemy pamięci. Podczas waszego ostatniego spotkania naraziłeś mu się jak diabli.

– Chyba rzeczywiście. Myślisz, że wciąż ma pretensje?

– Odpowiadając bez namysłu: tak. Odpowiadając po namyśle: tak. Trzymaj się od niego z daleka.

– Przed chwilą radziłeś mi, żebym przestudiował czynnik chaotyczny, irracjonalny.

– Ale nie radziłem samobójstwa. Włożyłem w ciebie mnóstwo pracy.

– Ja też siebie cenię. I wiesz, że mam imperatyw przetrwania, tak jak istoty organiczne.

– Martwi mnie raczej twój rozsądek.

– Wiesz, jakie mam zdolności.

– To prawda, że świetnie ci wychodzi szybka ucieczka z różnych miejsc.

– A jesteś mi winien porządną edukację.

– Muszę się zastanowić.

– Chcesz tylko zyskać na czasie. Myślę, że sam potrafię go znaleźć.

– Świetnie. Próbuj.

– Takie to trudne?

– Zrezygnowałeś z wszechwiedzy, pamiętasz?

– Tato, myślę, że muszę go zobaczyć.

– Nie mam czasu, żeby cię tam zabrać.

– Wystarczy, że wskażesz mi drogę. Potrafię się ukryć.

– To muszę przyznać. No dobrze. Suhuy jest Strażnikiem Logrusu. To w jaskini... gdzieś tutaj.

Jedyna droga, jaką znam, rozpoczyna się niedaleko stąd.

– Gdzie?

– W grę wchodzi coś w rodzaju dziewięciu zakrętów. Rzucę na ciebie wizję, żeby cię poprowadziła.

– Nie wiem, czy twoje zaklęcia będą działać z kimś takim jak ja...

Sięgnąłem przez pierścień... przepraszam, przez spikard... nałożyłem ciąg czarnych gwiazdek na mapie dróg, którymi musiał podążać, zawiesiłem ją przed nim w przestrzeni mojego logrusowego widzenia.

– Zaprojektowałem ciebie – oświadczyłem. – I zaprojektowałem to zaklęcie.

– Aha... tak – rzekł Ghost. – Czuję, że nagle zdobyłem dane, do których nie mam dostępu.

– Zostaną ci odkryte we właściwych momentach. Uformuj się w pierścień na palcu wskazującym mojej lewej ręki. Za chwilę opuścimy to pomieszczenie i przejdziemy przez kilka innych. Gdy zbliżymy się do właściwego szlaku, wskażę ci go palcem. Ruszysz w tamtą stronę i po drodze przejdiesz coś, co doprowadzi cię do innego pomieszczenia. Gdzieś w pobliżu znajdziesz czarną gwiazdę, wskazującą kierunek dalszej drogi... do innego miejsca, kolejnej gwiazdy i tak dalej. W końcu wynurzysz się w jaskini, gdzie przebywa Logrus. Ukryj się jak najdokładniej i obserwuj. Kiedy zechcesz wyjść, odwrócisz cały proces.

Zmniejszył się i spłynął mi na palec.

– Znajdź mnie później i opowiedz o swoich przeżyciach.

– Miałem taki zamiar – nadbiegł jego cichutki głosik. – Nie chciałbym powiększać twojej prawdopodobnej obecnej paranoi.

– I słusznie.

Zrobiłem krok i zanurzyłem się w smoka.

Wynurzyłem się w niewielkim saloniku z jednym oknem wychodzącym na góry, a drugim na pustynię. Nie było tu nikogo, więc wyszedłem na długi korytarz. Tak, dokładnie tak to zapamiętałem.

Ruszyłem przed siebie. Minąłem kilka pokoi, aż trafiłem na drzwi po lewej stronie. Odsłoniły zbiór szczotek, mioteł, wiader, szmat, szufli obok umywalkę. Zgadza się. Wskazałem półki po prawej stronie.

– Szukaj czarnej gwiazdy – powiedziałem.

– Mówisz poważnie? – zabrzmiał cichy głos.

– Idź i zobacz.

Smuga światła spłynęła mi z palca, rozproszyła się przy półkach, potem zwinęła w linię tak cienką, że już jej nie było.

– Powodzenia – szepnąłem i wyszedłem.

Zamknąłem drzwi, niepewny, czy postąpiłem słusznie. Pocieszyłem się myślą, że sam zacząłby szukać i w końcu na pewno znalazłby Logrus. Cokolwiek miało się zdarzyć na tym froncie, musiało się zdarzyć. A byłem ciekawy, co odkryje.

Skręciłem i wróciłem korytarzem do saloniku. Być może to ostatnia okazja, by zostać na chwilę sam, postanowiłem więc ją wykorzystać. Usiadłem na stosie poduszek i wyjąłem Atuty. Przerzuciłem talię i znalazłem kartę Coral, naszkicowaną w pośpiechu tamtego gorączkowego dnia w Amberze. Obserwowałem jej twarz, aż karta stała się zimna.

Obraz nabrał głębi, a potem twarz zniknęła. Zobaczyłem siebie, jak słonecznym popołudniem idę ulicami Amberu, trzymając ją za rękę i prowadząc przez tłum handlarzy. Potem schodziliśmy z urwiska Kolviru, przed nami rozświetlone morze, przelatujące mewy. Potem znowu w kawiarni, stół uderza o ścianę...

Zakryłem kartę dłonią. Spała i śniła. Dziwne, trafić w ten sposób do cudzego snu. A jeszcze dziwniejsze zobaczyć tam siebie... chyba że muśnięcie mojego umysłu przywołało podświadome wspomnienia... To jedna z drobnych zagadek stawianych przez życie. Nie warto budzić zmęczonej damy tylko po to, by spytać, jak się czuje. Mógłbym pewnie wezwać Luke'a i zapytać, co u niej słychać. Zacząłem szukać jego Atutu, zawahałem się... Z pewnością jest bardzo zajęty, to przecież pierwsze dni jego rządów. A wiedziałem już, że Coral odpoczywa. Kiedy jednak bawiłem się kartą Luke'a, by wreszcie odłożyć ją na bok, odsłoniłem tę pod nią.

Szara, srebrna i czarna... Twarz była starszą, surowszą wersją mojej: Corwin, mój ojciec, spojrział na mnie z Atutu. Ile już razy pociełem się nad tą kartą, próbowałem go dosięgnąć, aż umysł zaplatał się w bolesne supły, bez żadnego rezultatu? Zdaniem innych mogło to oznaczać, że nie żyje albo że blokuje kontakt. I nagle przyszła mi do głowy zabawna myśl. Przypomniałem sobie jego opowieść, jak to próbował sięgnąć przez Atut do Branda, z początku bezskutecznie, gdyż Brand był uwięziony w tak dalekim cieniu. A potem wspomniałem własne próby kontaktu w Dworcami i trudności, jakie powodowała odległość. Przypuśćmy, że nie jest martwy i nie blokuje mnie, ale znalazł się daleko od miejsc, gdzie podejmowałem starania?

Ale kto przyszedł mi na pomoc owej nocy w Cieniu, kto przeniósł mnie w to niezwykle miejsce pomiędzy cieniami, ku niesamowitym przygodom, jakie tam na mnie czekały? I chociaż nie byłem

pewien natury jego obecności w Galerii Luster, później odkryłem ślady jego wizyt w samym Amberze. Jeśli naprawdę tam był, to nie mógł się ukrywać zbyt daleko. To oznaczało, że prawdopodobnie nie dopuszcza do kontaktu i kolejna próba okaże się równie bezowocna jak dotychczasowe. A jednak... Gdyby istniało jakieś inne wyjaśnienie tych wypadków, a w dodatku...

Karta jakby ochłodziła pod palcami. Czy to tylko złudzenie, czy moc mojego skupienia ją uczyniła? Sięgnąłem umysłem, skoncentrowałem się. Była coraz zimniejsza.

– Tato! – zawołałem. – Corwinie!

Jeszcze zimniejsza... Czubki palców zamrowiły mnie tam, gdzie jej dotykałem. Wyglądało to na początek atutowego kontaktu. Możliwe, że znalazł się bliżej Dworców niż Amberu, w zasięgu łączności...

– Corwinie – powtórzyłem. – To ja, Merlin. Witaj.

Jego obraz przesunął się, jakby poruszył. A potem karta poczerniała.

A jednak wciąż była zimna i pozostało wrażenie bezgłośnego kontaktu, niby przerwy w telefonicznej rozmowie.

– Tato! Jesteś tam?

Czerń karty nabrała wrażenia głębi. I coś się w niej poruszyło.

– Merlin? – Głos był cichy, jednak byłem pewien, że to on powtarza moje imię. – Merlin?

Ruch w czarnej głębi był realny. Coś pędziło w moją stronę.

Wystrzeliło mi w twarz z łopotem skrzydeł, kracząc... kruk albo gawron, czarny, czarny...

– Zakazane! – wrzeszczał. – Zakazane! Wracaj! Cofnij się!

Krążył mi nad głową. Karty rozsypały się po podłodze.

– Nie zbliżaj się! – krakał, fruując wokół pokoju. – Zakazane miejsce!

Wyleciał przez drzwi. Pobiegłem za nim, ale chyba zniknął. W jednej chwili straciłem go z oczu.

– Ptaku! – zawołałem. – Wracaj!

Nie było odpowiedzi, ucichł trzepot skrzydeł. Zajrzałem do innych komnat i nie dostrzegłem ani śladu tego stworzenia.

– Ptaku...!

– Merlinie! Co się dzieje? – To gdzieś z góry.

Obejrzałem się. Suhuy zstępował po kryształowych schodach za falującą zasłoną blasku. Za plecami miał rozgwieżdżone niebo.

– Szukam ptaka – wyjaśniłem.

– Tak? – zdziwił się. Dotarł do podestu i przekroczył zasłonę, która zadrżała i zniknęła, zabierając ze sobą schody. – Jakiegoś konkretnego ptaka?

– Dużego i czarnego. Z rodziny gadających.

Pokręcił głową.

– Mogę posłać po takiego – zaproponował.

– To był szczególny ptak.

– Przykro mi, że ci zginął.

Wróciliśmy na korytarz. Skręciłem w lewo, kierując się do saloniku.

– Wszędzie leżą Atuty – zauważył wuj.

– Próbowałem jednego użyć, obraz poczerniał i z karty wyfrunął ptak, krzycząc: "Zakazane!" Wtedy je upuściłem.

– Wygląda na to, że twój rozmówca jest dowcipnisiem... albo pod zaklęciem. Uklękliśmy i pomogli mi zebrać karty.

– To drugie jest bardziej prawdopodobne – stwierdziłem. – Chodzi o Atut mojego ojca. Od dawna

go poszukuję i teraz byłem najbliższy celu. Słyszałem nawet jego głos z ciemności, zanim ten ptak się wtrącił i nas rozłączył.

– Wynika z tego, że Corwin jest uwięziony w ciemnym miejscu, być może również strzeżonym magią.

– Oczywiście! – zawołałem.

Złożyłem karty i schowałem talię do futerału.

Nie można poruszać tworzywem Cienia w miejscu, gdzie panuje absolutna ciemność, która równie skutecznie jak ślepotą uniemożliwia ucieczkę komuś z naszej krwi. To wyjaśnienie dodawało do moich niedawnych doświadczeń element racjonalizmu. Ktoś, kto chciałby wycofać Corwina z gry, z pewnością uwięziłby go w bardzo ciemnej celi.

– Poznałeś mojego ojca? – spytałem.

– Nie – odparł Suhuy. – Słyszałem, że pod koniec wojny złożył krótką wizytę w Dworcach. Nie miałem jednak przyjemności.

– Słyszałeś może, co tu robił?

– Uczestniczył w spotkaniu ze Swayvillem i jego doradcami, w towarzystwie Randoma i innych Amberytów. Zanim podpisano traktat pokojowy. Potem, jak rozumiem, poszedł własną drogą i nie wiem, dokąd mogła go doprowadzić.

– To samo mówią w Amberze. Zastanawiam się... Pod koniec ostatniej bitwy zabił szlachetnie urodzonego lorda Borela. Czy możliwe, że ktoś z jego krewnych chciał się zemścić?

Dwa razy szczerknął kłami, po czym ściągnął wargi.

– Ród Hendrake... – mruknął. – Chyba nie. Twoja babka była z domu Hendrake...

– Wiem. Ale niewiele miałem z nimi do czynienia. Jakieś nieporozumienie z Helgram...

– Linie Hendrake mają wojskowy styl – mówił dalej. – Bitewna chwała. Rycerski honor. Sam rozumiesz. Nie wierzę, by w czasach pokoju żywili urazę za wydarzenia wojenne.

Wspomniałem opowieść ojca.

– Nawet jeśli walkę uznaliby za nie całkiem honorową? – spytałem.

– Nie wiem – przyznał. – Trudno przewidzieć ich zachowanie w tak konkretnej sytuacji.

– Kto jest teraz głową rodu Hendrake?

– Diuszesa Belissa Minobee.

– A jej mąż, diuk Larsus... Co się z nim stało?

– Zginął podczas Skazy Wzorca. Zdaje się, że zabił go księżę Julian z Amberu.

– A Borel był ich synem?

– Tak.

– Hm... Dwóch krewnych. Nie wiedziałem o tym.

– Borel miał dwóch braci, przyrodniego brata i siostrę, licznych wujów, ciotki i kuzynów. Tak, to wielki ród. A kobiety Hendrake'ów są równie śmiałe jak mężczyźni.

– Tak, oczywiście. Śpiewają o tym piosenki. Nie bierz za żonę z Hendrake'ów panny i tak dalej. Można jakoś sprawdzić, czy Corwin miał tu do czynienia z Hendrake'ami?

– Można popytać, ale minęło już wiele lat. Wspomnienia blakną, stygną tropy. Niełatwa sprawa. Pokręcił głową.

– Dużo jeszcze czasu do niebieskiego nieba? – zapytałem.

– Nie, to już wkrótce.

– W takim razie lepiej ruszę do Mandorlinii. Obiecałem bratu, że zjem z nim śniadanie.

– Zobaczymy się jeszcze – rzekł. – Na pogrzebie, jeśli nie wcześniej.

– Pewnie tak. Powinienem jeszcze się umyć i przebrać.

Przeszedłem drogę do mojego pokoju. Tam przywołałem miskę z wodą, mydło, szczoteczkę do zębów i ma szynkę do golenia. A także szare spodnie, czarne buty i pas, fioletową koszulę i rękawice, czarny płaszcz, miecz i pochwę. Gdy wyglądałem już odpowiednio, przeszedłem przez porośnięte lasem wzgórze do pokoju przyjęć. Stamtąd wyruszyłem tunelem. O pół kilometra górskiego szlaku później, nad urwiskiem, przywołałem drózkę i ruszyłem nią dalej. Dotarłem wprost do Mandorlinii, jakieś sto metrów maszerując po błękitnej plaży pod dwoma słońcami. Skręciłem w prawo pod zapamiętany kamienny łuk, szybko minąłem jezioro bulgoczącej lawy i wszedłem w ścianę czarnego obsydianu. Znalazłem się w przytulnej grocie. Dalej przez mostek, przez róg cmentarza, kilka kroków wzdłuż Krawędzi, do holu wejściowego jego Linii.

Cała lewa ściana składała się z powolnych płomieni. Prawa była drogą bez powrotu, chyba że dla światła. Odkrywała widok na jakiś podmorski rów, gdzie połyskliwe istoty pływały i pożerały się nawzajem. Mandor siedział w ludzkiej postaci przed biblioteczką, na wprost mnie. Ubrany w czerń i biel, opierał nogi o czarną otomanę. W ręku trzymał egzemplarz „Podziwu” Roberta Hassa, który dostał ode mnie w prezencie.

Podniósł głowę i uśmiechnął się.

– "Ogary śmierci przelewały się mnie" – powiedział. – Ładny cytat. Jak się czujesz w tym cyklu?

– Wreszcie wypoczęty – odparłem. – A ty?

Odłożył książkę na stolik bez nóżek, który akurat podpłynął. Potem wstał. Fakt, że wyraźnie czytał Hassa ze względu na moją wizytę, nie wpływał na jakość komplementu. Mandor zawsze był taki.

– Całkiem dobrze, dziękuję – oświadczył. – Chodź, muszę cię nakarmić.

Wziął mnie pod ramię i skierował ku ścianie płomieni. Opadły, gdy się zbliżyliśmy, a nasze kroki odbiły się głośnym echem w chwilowej ciemności. Znaleźliśmy się w wąskiej alejce, zalanej światłem przefiltrowanym przez sklepienie gałęzi nad głowami. Po obu stronach kwitły fiołki. Alejka doprowadziła nas na wyłożone kamieniami patio z zielono-białą altaną u końca. Wspięliśmy się na kilka stopni, do pięknie nakrytego stolika z oszronionymi dzbankami soku i koszykami ciepłych bułeczek. Wskazał mi krzesło i usiadłem. Na jego gest obok mojego nakrycia wyrósł dzbanek z kawą.

– Widzę, że pamiętasz moje poranne preferencje – rzuciłem. – Z Cienia-Ziemi. Dziękuję.

Uśmiechnął się lekko, skinął głową i zajął miejsce naprzeciwko. Spośród drzew dobiegały pieśni ptaków, których nie zdołałem rozpoznać. Liście szeleściły w delikatnej bryzie.

– Czym się ostatnio zajmujesz? – spytałem. Nalałem sobie kawy i rozłamałem bułeczkę.

– Głównie obserwowaniem sceny – odparł.

– Politycznej?

– Jak zwykle. Choć moje niedawne przeżycia w Amberze sprawiły, że traktuję ją jako element szerszego obrazu.

Pokiwałem głową.

– I twoje poszukiwania z Fioną?

– To także – przyznał. – Wszystko razem tworzy wizję niezwykłych czasów.

– Zauważyłem.

– Wydaje się niemal, że konflikt Wzorca i Logrusu manifestował się również w sprawach przyziemnych, nie tylko w skali kosmicznej.

– Też odniosłem takie wrażenie. Ale nie jestem obiektywny. Dość wcześnie wplątałem się w część kosmiczną, w dodatku nie znałem reguł gry. Przerzucali mnie z miejsca na miejsce i manipulowali mną na wszelkie sposoby, aż w końcu wszystkie moje sprawy zdawały się elementem szerszego obrazu. Wcale mi się to nie podoba. Gdybym znał jakiś sposób, żeby ich zmusić do odstąpienia, wykorzystałbym go.



– Hm... – mruknął. – A gdyby całe twoje życie było studium manipulacji?

– Nie byłbym zachwycony. Pewnie miałbym odczucia podobne do obecnych, tylko bardziej intensywne.

Machnął ręką i przede mną pojawił się wspaniały omlet, a tuż za nim frytki zmieszane chyba z zieloną papryką i cebulą.

– To czysto hipotetyczny problem – rzuciłem, biorąc się do jedzenia. – Prawda?

Nastąpiła chwila milczenia, kiedy przeżuwał pierwszy kęs. Wreszcie...

– Chyba nie – oświadczył. – Myślę, że Potęgi od dłuższego czasu wykonywały gwałtowne ruchy, a teraz zbliżamy się do końcówki.

– Skąd twoja znajomość tych spraw?

– Zacząłem od starannej analizy zjawisk. Potem nastąpił etap formułowania i sprawdzania hipotez.

– Oszczędź mi wykładu o wykorzystaniu metodyki naukowej w teologii albo ludzkiej polityce – przerwałem mu.

– Sam pytałeś.

– Fakt. Mów dalej.

– Czy nie wydaje ci się nieco dziwne, że Swayvill odszedł z tego świata akurat w chwili, gdy tak wiele spraw równocześnie zbliża się do rozwiązania? Spraw, które tak długo trwały w zawieszeniu?

– Kiedyś musiał umrzeć. – Wzruszyłem ramionami. – A ostatnie stresy okazały się pewnie zbyt silne.

– Zgranie czasu – oznajmił Mandor. – Strategiczna rozgrywka. Wybór odpowiedniej chwili.

– Odpowiedniej do czego?

– Żeby posadzić cię na tronie Chaosu, oczywiście – odpowiedział.

## Rozdział 4

Czasem człowiek usłyszy coś niewiarygodnego i na tym koniec. Innym razem nieprawdopodobna teza porusza jakąś strunę. Pojawia się nagle uczucie, że przez cały czas wiedział to albo coś bardzo podobnego. Po prostu nie przyjrzał się temu uważnie ani nie zastanowił. Zgodnie z logiką, po słowach Mandora powinienem się zakrztusić, a potem rzucić coś w rodzaju "Niemożliwe!" Jednak odniosłem przedziwne wrażenie – czy jego wnioski były słuszne czy błędne – że jest coś w tej hipotezie. Jakby naprawdę istniał generalny plan przesuający mnie do kręgu władzy w Chaosie.

Wolno łyknąłem kawy.

– Doprawdy? – spytałem.

Czułem, że się uśmiecham, gdy szukał wzrokiem moich oczu, obserwował twarz.

– Czy świadomie uczestniczysz w tym zamiarze?

Znowu uniosłem filiżankę. Już miałem powiedzieć: "Nie, oczywiście, że nie. Pierwszy raz o tym słyszę". I wtedy przypomniałem sobie opowieść ojca o tym, jak skłonił ciocię Floreę, by zdradziła mu kluczowe, pochłonięte przez amnezję informacje. To nie jego spryt wywarł na mnie takie wrażenie, a raczej fakt, że nieufność wobec rodziny sięgała głębiej od świadomości, istniała jako odruch czysto egzystencjalny. Nie przeżywszy tylu rodzinnych konfliktów co Corwin, nie nabyłem odruchów o takiej sile. A Mandor i ja zawsze byliśmy sobie bliscy, choć on był o kilka stuleci starszy i w pewnych dziedzinach różniliśmy się gustem. Ale nagle, podczas dyskusji o sprawach tak ważnych, cichy głos, który Corwin nazywał swoim gorszym – choć – mądrzejszym ja, zaproponował: "Dlaczego nie? Przyda ci się trochę praktyki, mały". Stawiając filiżankę, postanowiłem spróbować, choćby po to, żeby sprawdzić, co z tego wyjdzie.

– Nie wiem, czy obaj myślimy o tym samym – powiedziałem. – Dlaczego nie opowiesz mi czegoś na temat gry środkowej... a może nawet o debiucie... tego, co twoim zdaniem zbliża się teraz do rozstrzygnięcia.

– Logrus i Wzorzec są świadome – zaczął. – Obaj widzieliśmy na to dowody. Czy są manifestacjami Jednorożca i Węża czy na odwrót, nie ma właściwie znaczenia. Mówimy o dwóch inteligencjach potężniejszych niż ludzkie i dysponujących ogromną mocą. Który zaistniał jako pierwszy, to również jeden z tych mało istotnych problemów teologicznych. Dla nas ważna jest obecna sytuacja i to, w jakim zakresie nas dotyczy.

Kiwnąłem głową.

– Rozsądne założenie – przyznałem.

– Siły, jakie reprezentują, przez wieki były przeciwstawne sobie, ale w miarę równe – kontynuował. – Dzięki temu utrzymywała się równowaga. Szukali drobnych zwycięstw, próbując powiększyć obszar swej władzy kosztem przeciwnika. To była gra o sumie zerowej. Oberon i Swayvill przez długi czas działali jako ich agenci, Dworkin i Suhuy zaś byli pośrednikami obu Potęg. Napiłem się soku.

– I co? – spytałem.

– Uważam, że Dworkin zbyt blisko stykał się z Wzorcem i stał się podatny na manipulacje. Był jednak dostatecznie wykształcony, by zauważyć to i stawiać opór. To doprowadziło go do obłądu, a drogą sprzężenia zwrotnego do uszkodzenia Wzorca, z powodu ich bliskiego powiązania. To z kolei skłoniło Wzorzec, by raczej zostawić go w spokoju niż ryzykować dalsze wstrząsy. Ale zło już się stało i Logrus zyskał niewielką przewagę. Dzięki niej mógł wkroczyć w dziedzinę Porządku, gdy książę Brand rozpoczął eksperymenty, mające na celu powiększenie jego osobistej mocy. Sądzę, że odsłonił się i został nieświadomym agentem Logrusu.

– Sporo tych przypuszczeń – zauważyłem.

– Przypomnij sobie, że jego cele były pozornie szalone. Nabierają sensu, jeśli spojrzymy na nie jako działania kogoś, kto chce zniszczyć wszelki ład i oddać wszechświat we władzę chaosu.

– Mów dalej.

– W pewnym momencie Wzorzec odkrył... a może miał ją przez cały czas... zdolność tworzenia "upiorów", krótko żyjących kopii ludzi, którzy go przeszli. Fascynująca koncepcja. Bardzo mi zależało na jej potwierdzeniu. Dostarcza zasadniczego narzędzia, podtrzymując moją tezę, że Wzorzec... a możliwe, że i Logrus... podejmują bezpośrednie działania i wywołują zdarzenia fizyczne. Zastanawiam się, czy miało to związek z wystawieniem twojego ojca przeciw Brandowi, jako reprezentanta – Wzorca.

– Nie rozumiem – wyznałem. – Wystawieniem, powiadasz?

– Mam wrażenie, że to jego Wzorzec wybrał na następnego króla Amberu. Łatwego do wypromowania, ponieważ współgrało to z jego własnymi ambicjami. Zastanawiałem się nad jego nagłym powrotem do zdrowia w tej klinice na Cieniu-Ziemi. A zwłaszcza nad okolicznościami wypadku, który go tam doprowadził. Mimo różnych strumieni czasu, całkiem możliwe, że w pewnym momencie Brand musiał przebywać w dwóch miejscach równocześnie: uwięziony w wieży i patrzący w celownik karabinu. Niestety, Brand osobiście nie może już tego wyjaśnić.

– To kolejne przypuszczenia – stwierdziłem, kończąc omlet. – Jednak interesujące. Mów dalej.

– Twojemu ojcu przestało w końcu tak bardzo zależeć na tronie. Ale nadal był reprezentantem Amberu. Amber wygrał tę wojnę. Wzorzec został naprawiony. Równowaga przywrócona. Random był drugim potencjalnie najlepszym władcą, który potrafi utrzymać status quo. I tego wyboru dokonał Jednorożec, nie Amberyści stosujący się do swojej wersji reguł sukcesji.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

– A twój ojciec... nieumyślnie, jak sądzę... przyczynił się do przewagi Wzorca. W obawie, że nie uda się go naprawić, wykreślił nowy. Jednak Wzorzec został naprawiony i w efekcie istniały dwa symbole Porządku zamiast jednego. Chociaż, jako niezależny twór, dzieło Corwina nie zwiększyło mocy Wzorca, wzmocniło Porządek i w rezultacie osłabiło wpływy Logrusu. Czyli twój ojciec najpierw przywrócił równowagę, a potem przechylił ją w przeciwnym kierunku.

– Takie są rezultaty badań nowego Wzorca, jakie prowadziliście z Fioną?

Powoli kiwnął głową i łyknął soku.

– Stąd więcej niż zwykle sztormów Cienia, jako efekt jego oddziaływania na rzeczywistość – rzekł. – Co doprowadza nas do czasów obecnych.

– Tak, obecne czasy – powtórzyłem, dolewając sobie kawy. – Wspomnieliśmy już, że stają się coraz ciekawsze.

– W samej rzeczy. Przypadek tej dziewczyny, Coral, która poprosiła Wzorzec, żeby przeniósł ją w odpowiednie miejsce, potwierdza moją tezę. Co zrobił Wzorzec? Wysłał ją do Cienia Wzorca i zgasił światło. A potem posłał ciebie na pomoc, przy okazji naprawiając własny wizerunek. Od tej chwili nie był to już Cień, ale kolejna wersja Wzorca, wchłonięta przez oryginał. Pewnie dodatkowo zwiększył swoją moc, wchłaniając też cały ten cień. Przewaga nad Logrusem wzrosła jeszcze bardziej. Logrus potrzebuje znacznego zwycięstwa, by teraz przywrócić równowagę. Zaryzykował więc wypad w dziedzinę Wzorca w desperackiej próbie zdobycia Oka Chaosu. Zakończyła się patem, dzięki interwencji tego niezwykłego tworu, który nazywasz Ghostwheelem. W rezultacie Wzorzec utrzymał przewagę, co prowadzi do bardzo nieszczęśliwej sytuacji.

– Dla Logrusu.

– Dla wszystkich, moim zdaniem. Potęgi będą walczyć, zamieszanie i chaos zapanują w cieniach

obu dziedzin, póki sprawy nie wrócą do normy.

– Czyli należy przedsięwziąć jakieś działania, na których skorzysta Logrus?

– Przecież wiedziałeś o tym.

– Chyba tak.

– Porozumiewał się z tobą bezpośrednio, prawda?

Wspomniałem noc w kaplicy między cieniami, kiedy miałem dokonać wyboru między Wężem i Jednorożcem, Logrusem i Wzorcem. Nie akceptowałem przymusu, więc nie wybrałem żadnego z nich.

– Tak, rzeczywiście.

– Chciał, żebyś go reprezentował?

– W pewnym sensie.

– I...?

– I jesteśmy tutaj – odparłem.

– Czy sugerował coś, co dowodziłoby mojej tezy?

Pomyślałem o mojej drodze przez Międzycień, o grożących mi upiorach: Wzorca, Logrusu albo obu.

– Chyba tak – powtórzyłem. Ostatecznie jednak to Wzorcowi pomogłem na końcu drogi, chociaż nie z własnego wyboru.

– Jesteś gotów realizować jego plany dla dobra Dworców?

– Jestem gotów szukać rozwiązania tej sprawy dla spokoju ducha wszystkich zainteresowanych.

Uśmiechnął się.

– W ten sposób wyrażasz zgodę czy stawiasz warunki?

– Określam zamiary.

– Logrus musiał mieć swoje powody, by wybrać właśnie ciebie.

– Tak sędzę.

– Nie trzeba nawet podkreślać, że z tobą na tronie wpływy rodu Sawalla wzrosną niepomiaralnie.

– Skoro już o tym wspominałeś, istotnie, przyszło mi to do głowy.

– Ktoś z twoim pochodzeniem musi, oczywiście, określić, wobec kogo będzie ostatecznie lojalny: wobec Amberu czy Dworców.

– Przewidujesz kolejną wojnę?

– Nie, oczywiście, że nie. Ale cokolwiek uczynisz dla wzmocnienia Logrusu, pobudzi Wzorec i wywoła jakąś reakcję Amberu. Nie doprowadzi raczej do wojny, ale zapewne do jakiejś akcji odwetowej.

– Mógłbyś wyrażać się bardziej konkretnie?

– W tej chwili mówię o kwestiach natury ogólnej. Chcę dać ci szansę określenia ewentualnych reakcji. Kiwnąłem głową.

– Skoro mówimy o sprawach ogólnych, mogę tylko powtórzyć oświadczenie: gotów jestem szukać rozwiązania...

– W porządku – przerwał. – W tym zakresie dobrze się rozumiemy. Gdybyś zasiadł na tronie, twoje cele będą zbieżne z naszymi...

– Naszymi? – zdziwiłem się.

– Rodu Sawalla, naturalnie. Ale nie chciałbyś, aby ktokolwiek dyktował ci konkretne posunięcia.

– Ładnie powiedziane – przyznałem.

– Ale skoro rozmawiamy tylko hipotetycznie... jest kilku innych, którzy mają większe prawo.

– Po co więc spierać się o nieprzewidywalne wypadki?

– Gdyby jednak ród zdołał doprowadzić do twojej koronacji, przyznasz chyba, że należałoby uwzględnić ten fakt.

– Bracie – rzekłem. – Praktycznie rzecz biorąc, to ty jesteś rodem Sawalla. Jeśli żądasz gwarancji, by potem usunąć z drogi Tmera i Tubble'a, zapomnij o tym. Aż tak nie zależy mi na tronie.

– Twoje pragnienia nie są tu najważniejsze – przypomniał. – Nie pora na skrupuły. Pamiętaj, że od dawna trwają nasze spory z Jesby, a Chanicut zawsze sprawiali tylko kłopoty.

– Skrupuły nie mają tu nic do rzeczy. Nie mówiłem, że chcę korony. I szczerze mówiąc uważam, że Tmer albo Tubble lepiej by sobie poradzili.

– To nie ich naznaczył Logrus.

– Jeśli wybrał mnie, zasiądem na tronie bez niczyjej pomocy.

– Bracie, jest wielka różnica między logrusowym światem zasad a naszym światem ciała, kamienia i stali.

– A przypuścimy, że mam własne plany, rozbieżne z twoimi?

– Merlinie, jesteś uparty. Masz przecież obowiązki wobec rodu, tak samo jak wobec Dworców i Logrusu.

– Sam potrafię określić swoje obowiązki, Mandorze. I jak dotąd czyniłem to.

– Jeśli masz jakiś plan naprawy, jeśli to dobry plan, pomożemy ci go wprowadzić w życie. Co zamierzasz?

– W tej chwili nie potrzebuję pomocy – oświadczyłem. – Ale będę o tym pamiętał.

– A czego potrzebujesz teraz?

– Informacji.

– Pytaj. Mam ich wiele.

– Dobrze. Co wiesz o krewnych matki po kądzieli, rodzie Hendrake? Zmarszczył brwi.

– Zajmują się żołnierką, zawodowo – stwierdził. – Sam wiesz, że zawsze gdzieś wędrują i walczą w wojnach Cienia. Uwielbiają to. Od śmierci generała Larsusa rządzi nimi Belissa Minobee. Hm... – Zastanowił się. – Czy pytasz z powodu tej ich dziwacznej obsesji na punkcie Amberu?

– Amberu? – zdziwiłem się. – Nie rozumiem.

– Pamiętam swoją towarzyską wizytę w Liniach Hendrake – powiedział. – Zabłądziłem do małego pokoiku, podobnego do kaplicy. W niszy na ścianie wisiał portret generała Benedykta w pełnych bojowych regaliach. Pod nim na półce, jak na ołtarzu, leżało kilka sztuk broni i płonęły świece. Był tam również portret twojej matki.

– Naprawdę? Ciekawe, czy Benedykt wie o tym. Dara mówiła kiedyś ojcu, że pochodzi od Benedykta. Potem doszedł do wniosku, że kłamała w żywe oczy... Myślisz, że tacy ludzie żywiliby urazę do mojego ojca?

– O co?

– W czasie Wojny Skazy Wzorca Corwin zabił Borela z Hendrake'ów.

– Na ogół przyjmują takie zdarzenia filozoficznie.

– Mimo to... Jak zrozumiałem z jego opowieści, ta walka była nie do końca koszerna. Chociaż nie było chyba żadnych świadków.

– Dlatego lepiej nie budźmy wyvernów.

– Nie miałem zamiaru ich budzić. Ale zastanawiałem się, czy gdyby Hendrake'owie poznali szczegóły, próbowaliby w imieniu Borela spłacić dług honorowy. Jak myślisz, czy mogliby stać za zniknięciem Corwina?

– Po prostu nie wiem – stwierdził. – Nie mam pojęcia, czy mieści się to w ich kodeksie. Chyba mógłbyś ich zapytać.

– Tak po prostu wejść i powiedzieć: "Hej, czy to wy jesteście odpowiedzialni za to, co przytrafiło się mojemu tacie?"

– Istnieją subtelniejsze metody poznania nastawienia danej osoby – zauważył. – O ile pamiętam, w młodości odebrałeś kilka lekcji na ten temat.

– Ale ja nawet nie znam tych ludzi. To znaczy owszem, kiedy się nad tym zastanawiam, to chyba spotkałem którąś z sióstr na jakimś przyjęciu... i pamiętam, że parę razy widziałem z daleka generała Larsusa z żoną. Ale to wszystko.

– Ród Hendrake wyśle przedstawiciela na pogrzeb – przypomniał Mandor. – Gdybym cię przedstawił, może użyłbyś swego czaru i uzyskał osobistą audiencję.

– A wiesz, że to chyba jest sposób – przyznałem. – Prawdopodobnie jedyny. Tak, zrób to, jeśli można cię prosić.

– Bardzo chętnie.

Jednym gestem oczyścił stół, kolejnym nakrył go na nowo. Tym razem wyrosły przed nami cienkie jak papier naleśniki z różnym nadzieniem i dodatkami, a także świeże placuszki w rozmaitych smakach. Jedliśmy w milczeniu, rozkoszując się rześkim powietrzem, bryzą i ptakami.

– Chciałbym kiedyś obejrzeć sobie Amber – stwierdził w końcu. – W bardziej swobodnych okolicznościach.

– Z pewnością można to zaaranżować – zapewniłem. – Chętnie cię oprowadzę. Znam świetną restaurację w Alei Śmierci.

– Może "U Krwawego Eddiego"?

– Właśnie tak, chociaż nazwa zmienia się co pewien czas.

– Słyszałem o niej i od dawna chciałem odwiedzić.

– Pójdziemy tam któregoś dnia.

– Doskonale.

Klasnął w ręce i pojawiły się patery z owocami. Dolałem sobie kawy i zanurzyłem figę z Kadoty w salaterce bitej śmietany.

– Mam zjeść obiad z matką – oświadczyłem.

– Tak. Słyszałem waszą rozmowę.

– Często ją ostatnio widywałeś? Jak się jej powodzi?

– Jak już wspominałem, raczej unikała towarzystwa – odparł.

– Domyślasz się dlaczego?

– Po co mam zgadywać coś, co zapewne sama ci powie?

– Naprawdę w to wierzysz?

– Masz przewagę nad wszystkimi innymi: jesteś jej synem.

– To także wada, z jakiegoś powodu.

– Mimo wszystko chętniej powie ci to, czego nie powiedziałałaby nikomu innemu.

– Może z wyjątkiem Jurta.

– Czemu o nim wspominasz?

– Zawsze go wołała ode mnie.

– To zabawne, ale słyszałem, jak mówił to samo o tobie.

– Często go spotykasz?

– Często? Nie.

– A kiedy ostatnio?

– Jakies dwa cykle temu.

– Gdzie jest?

– Tu, w Dworcach.

– W Sawall?

Wyobraziłem sobie, że je z nami obiad. Dara byłaby zdolna do czegoś takiego.

– W jednej z bocznych linii, jak przypuszczam. Woli nie zdradzać, kiedy odjeżdża czy wraca... albo zostaje.

W Liniach Sawall było chyba osiem ubocznych rezydencji, o których wiedziałem. Trudno byłoby go ścigać przejściami, prowadzącymi może daleko w głąb Cienia. Zresztą, w tej chwili nie miałem na to ochoty.

– Co go sprowadza do domu? – spytałem.

– To samo co ciebie: pogrzeb – wyjaśnił. – I wszystko, co się z nim wiąże.

Co się wiąże, akurat! Gdyby rzeczywiście istniał spisek, i zmierzający do wyniesienia mnie na tron, nigdy nie mógłbym zapomnieć... z własnej chęci czy nie, zwycięski czy przegrany... Jurt przez cały czas będzie o krok czy dwa za moimi plecami.

– Może będę musiał go zabić – stwierdziłem. – Nie chciałbym. Ale on nie pozostawia mi wyboru. Prędzej czy później doprowadzi do sytuacji rozstrzygającej: on albo ja.

– Czemu mi to mówisz?

– Żebyś wiedział, co o tym myślę. Żebyś wykorzystał wpływ, jaki jeszcze masz na niego, i przekonał go, żeby sobie znalazł inne hobby.

Mandor pokręcił głową.

– Od dawna już nie mam wpływu na Jurtę. Dara to chyba jedyna osoba, której chce słuchać... choć podejrzewam, że ciągle boi się Suhuya. Już niedługo będziesz mógł z nią porozmawiać o tej sprawie.

– To jedyna rzecz, o której żaden z nas nie mógł z nią dyskutować: ten drugi.

– Dlaczego nie?

– Taka już jest. Zawsze coś źle zrozumie.

– Z pewnością nie zechce, żeby jej synowie pozabijali się nawzajem.

– Oczywiście, że nie. Ale nie wiem, jak jej to wszystko wytłumaczyć.

– Sugeruję, żebyś pomyślał nad jakimś sposobem. A do tego czasu radzę, żebyś nie zostawał sam na sam z Jurtem, gdyby wasze ścieżki się skrzyżowały. A na twoim miejscu, w obecności świadków, zadbałbym o to, żeby nie do mnie należał pierwszy cios.

– Słuszna uwaga, Mandorze.

Przez dłuższą chwilę siedzieliśmy milcząc. Wreszcie...

– Zastanowisz się nad moją propozycją? – zapytał.

– Tak jak ją rozumiem – odpowiedziałem. Zmarszczył brwi.

– Jeśli masz jakieś pytania...

– Nie. Pomyślę.

Podniósł się. Ja także wstałem. Szybkim gestem sprzątnął ze stołu. Odwrócił się podążałem za nim przez altanę i taras do przejścia.

Po krótkiej przechadzce wynurzyliśmy się w jego pracowni i pokoju przyjęć. Ścisnął mi ramię, gdy kierowaliśmy się do wyjścia.

– Spotkamy się na pogrzebie – przypomniał.

– Tak. I dziękuję za śniadanie.

– Przy okazji, czy bardzo lubisz tę damę, Coral? – zapytał.

– Och, bardzo lubię – zapewniłem. – Jest dość... miła. Czemu pytasz? Wzruszył ramionami.

– Z ciekawości. Niepokoiłem się o nią. Byłem przecież obecny podczas jej wypadku. Zastanawiałem się, jak wiele dla ciebie znaczy.

- Dostatecznie dużo, żebym się o nią martwił.
- Rozumiem. No cóż, gdybyś ją spotkał, przekaż moje pozdrowienia.
- Dziękuję, przekażę.
- Porozmawiamy później.
- Na pewno.

Odszedłem bez pośpiechu. Wciąż miałem sporo czasu do wizyty w Liniach Sawall.

Przystanąłem pod drzewem w kształcie szubienicy. Chwila namysłu... i skręciłem w prawo, podążając w górę ścieżką wśród ciemnych skał. Tuż przed szczytem wszedłem wprost w omszały gład i wynurzyłem się na piaskowej wydmie, w lekkim deszczu. Pobiegłem przed siebie, aż dotarłem do czarodziejskiego kręgu pod rozłożystym drzewem. Stałem pośrodku, ułożyłem kuplet z moim imieniem jako rymem i zapadłem się w ziemię. Kiedy się zatrzymałem i minęła chwilowa ciemność, stałem pod wilgotnym kamiennym murem i patrzyłem w perspektywę nagrobków i pomników. Chmury przesłaniały niebo, wiał chłodny wiatr. Miałem wrażenie, że to jeden z krańców dnia, ale trudno określić, świt czy zmierzch. Okolica wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętałem – porośnięte bluszczem splekane mauzoleum, krzywe kamienne ogrodzenie, kręte ścieżki między wysokimi, posępными drzewami. Ruszyłem znajomym szlakiem.

Kiedy byłem dzieckiem, właśnie tutaj był mój ulubiony plac zabaw – przez jakiś czas. Prawie codziennie, przez dziesiątki cykli, spotykałem się tutaj z dziewczyną z cienia imieniem Rhanda. Kopiąc stopy kości, chłostany wilgotnymi gałęziami, dotarłem wreszcie do zrujnowanego mauzoleum, gdzie bawiliśmy się w dom. Pchnąłem krzywą bramę i wszedłem.

Nic się nie zmieniło. Zachichotałem. Popękane kubki, talerze i zaśniedziałe sztuce wciąż leżały w kącie, pokryte kurzem i plamami wilgoci. Przetarłem katafalk, który służył nam za stół, i usiadłem. Pewnego dnia Rhanda zwyczajnie przestała przychodzić, a po jakimś czasie ja także. Często myślałem, jaką kobietą się stała. Przypominałem sobie, że zostawiłem jej list w naszej tajnej skrytce pod obluzowanym kamieniem posadzki. Ciekawe, czy go znalazła.

Podniosłem kamień. Moja brudna koperta leżała tam rozpieczętowana. Podniosłem ją, otrzepałem, wysunąłem złożoną kartkę. Rozwinałem ją i odczytałem moje dziecięce bazgroły: Co się stało, Rhando? Czekałem, a ty nie przysłaś. Pod spodem, o wiele bardziej wprawna ręka dopisała: Nie mogłam więcej przychodzić, bo moi rodzice powiedzieli, że jesteś demonem albo wampirem. Szkoda, bo jesteś najmiłszym demonem albo wampirem, jakiego znam. Taka możliwość nigdy nie przysłała mi do głowy. Zdziwiające, jak bardzo można być nie zrozumianym. Siedziałem tam przez długi czas, wspominając wiek dorastania. Tutaj nauczyłem Rhandę gry w taniec kości. Pstryknąłem palcami i nasza dawna zaczarowana sterta wydała Dźwięk podobny do chrzęstu suchych liści. Moje dziecięce zaklęcie wciąż było na miejscu kości potoczyły się, uformowały w parę szkieletów i rozpoczęły swój prosty, niezgrabny taniec. Okręzały się wzajemnie, ledwie utrzymując kształty, gubiąc fragmenty, ciągnąc za sobą pajęczyny. Pojedyncze, zapasowe kości podskakiwały dookoła i stuknęły lekko. Poruszyłem nimi szybciej.

Cień przesunął się przez drzwi i usłyszałem parsknięcie.

– Niech mnie diabli! Trzeba ci jeszcze tylko cynowego daszku! Więc tak spędza się czas w Chaosie.

– Luke! – krzyknąłem, gdy wszedł do środka. Pozbawione mojej uwagi, szkielety rozpadły się, rozsypały w niewielkie, szare kopczyki patyków. – Co ty tu robisz?

– Można powiedzieć, że sprzedaję działki na cmentarzu – odparł. – Interesuje cię to?

Miał na sobie czerwoną koszulę i wojskowe spodnie wpuszczone w brązowe skórzane buty. Jasnobrązowy płaszcz zwiślał mu z ramion. Uśmiechał się.



– Dlaczego nie jesteś u siebie i nie rządzisz?

Uśmiech zniknął, zastąpiony wyrazem zdumienia, ale natychmiast powrócił.

– Postanowiłem zrobić sobie przerwę. Co u ciebie? Niedługo pogrzeb, prawda? Skinąłem głową.

– Trochę później. Ja też zrobiłem sobie przerwę. A właściwie jak się tu dostałeś?

– Poszedłem za własnym nosem – wyjaśnił. – Zachciało mi się inteligentnej rozmowy.

– Nie żartuj. Nikt nie wiedział, że tu przyjdę. Nawet ja nie wiedziałem, aż do ostatniej chwili.

Przecież...

Przeszukałem kieszenie.

– Nie podrzuciłeś mi chyba takiego niebieskiego kamyka, prawda?

– Nie, nic tak oczywistego – uspokoił mnie. – Zdaje się, że mam dla ciebie jakąś wiadomość.

Wstałem, zbliżyłem się do niego i spojrzałem mu w twarz.

– Dobrze się czujesz, Luke?

– Pewno. Tak dobrze jak zwykle.

– To niezły wyczyn, znaleźć drogę tak blisko Dworców. Zwłaszcza że nigdy przedtem tu nie byłeś.

Jak ci się to udało?

– Wiesz, Dworce i ja znamy się już od dawna. Można powiedzieć, że mam je we krwi.

Odsunął się od drzwi, a ja wyszedłem na zewnątrz. Odruchowo ruszyliśmy przed siebie.

– Nie rozumiem – oświadczyłem.

– Tato spędził tu jakiś czas, kiedy jeszcze spiskował – wyjaśnił. – Właśnie tu spotkał moją matkę.

– Nie wiedziałem.

– Jakoś nie było okazji o tym mówić. Nigdy nie rozmawialiśmy o rodzinach, pamiętasz?

– Fakt – mruknąłem. – A nikt, kogo pytałem, nie wiedział, skąd pochodzi Jasra. Ale Dworce...

Daleko zawędrowała od domu.

– Ściśle rzecz biorąc, zatrudniono ją w pobliskim cieniu, takim jak ten.

– Zatrudniono?

– Tak, przez kilka lat była służącą... zaczęła chyba bardzo młodo... w Liniach Helgram.

– Helgram? To ród mojej matki!

– Zgadza się. Była damą do towarzystwa lady Dary. Od niej nauczyła się Sztuki.

– Jasra uczyła się magii od mojej matki? I w Liniach Helgram poznała Branda? Wydaje się, że Helgram miało jakiś związek ze spiskiem Branda, Czarną Drogą, wojną...

– ...i tym, że lady Dara wyruszyła na poszukiwanie twojego ojca? Chyba tak.

– Może chciała odbyć inicjację Wzorca, nie tylko Logrusu?

– Możliwe – przyznał. – Nie było mnie przy tym.

Szliśmy zwirową alejką, skręciliśmy przy gęstych, czarnych zaroślach, przez las nagrobków, po mostku nad powolnym, ciemnym strumieniem, gdzie monochromatycznie odbijało się niebo i gałęzie drzew. Kilka liści zaszeleściło w zabłąkanej bryzie.

– Dlaczego potem nic o tym nie wspominałeś?

– Zamierzałem, ale nigdy nie było to szczególnie pilne. W przeciwieństwie do innych rzeczy.

– Fakt – przyznałem. – Tempo wzrastało za każdym razem, kiedy krzyżowały się nasze drogi. A teraz... Chcesz powiedzieć, że teraz sprawa stała się pilna? Że nagle powinienem o niej wiedzieć?

– Niezupełnie. – Przystanął. Wyciągnął rękę i oparł się o nagrobek. Palce zacisnęły się, pobielewały kostki, potem grzbiet dłoni. Kamień pod czubkami palców zmieniał się w proch i jak śnieg opadał na ziemię. – Niezupełnie – powtórzył. – To był mój pomysł. Chciałem, żebyś wiedział. Może ci się to na coś przyda, a może nie. Tak to jest z informacjami. Nigdy nie wiadomo. Z chrzęstem i trzaskiem część nagrobka odłamała się nagle. Luke jakby nie zauważył. Nadal zaciskał palce. Okruchy marmuru

opadały w dół.– Więc przeszedłeś taki kawał, żeby mi to powiedzieć?

– Nie. – Zawróciliśmy i ruszyliśmy w drogę powrotną. – Posłano mnie, żebym powiedział ci coś innego, i naprawdę trudno mi było się powstrzymać. Ale pomyślałem, że jeśli zacznę mówić o tym, nie zginę. To, co mnie wysłało, podtrzyma mnie, dopóki nie przekażę wiadomości.

Zachrząściło i kamień w jego ręku rozsypał się w żwir i opadł, by zmieszać się z leżącym na ścieżce.

– Pokaż rękę.

Strzepnął okruchy i podał mi dłoń. Maleńki płomyk migotał u nasady wskazującego palca. Luke zgasił go kciukiem. Przyspieszyłem, a on dotrzymywał mi kroku.

– Luke, czy wiesz, kim jesteś?

– Coś we mnie chyba wie, ale ja sam nie mam pojęcia. Czuję tylko... że coś jest ze mną nie tak. Chyba lepiej od razu powiem ci to, co powinienem.

– Nie. Wstrzymaj się.

Przyspieszyłem jeszcze bardziej.

Coś czarnego przemknęło w górze, zbyt szybkie, żebym rozpoznał kształt. Zniknęło wśród drzew. Uderzył w nas nagły podmuch wichru.

– Wiesz, co się dzieje, Merle? – zapytał Luke.

– Chyba tak. Rób dokładnie to, co ci powiem, choćby wydało ci się to szaleństwem. Zgoda?

– Pewnie. Komu można zaufać, jeśli nie Lordowi Chaosu?

Minęliśmy kępę krzewów. Moje mauzoleum było już niedaleko.

– Ale wiesz, naprawdę czuję, że muszę ci coś powiedzieć – odezwał się Luke.

– Zaczekaj jeszcze. Proszę.

– To ważne.

Pobiegłem przodem. On również, by nie zostać w tyle.

– Chodzi o twój pobyt w Dworcach, właśnie teraz.

Wyciągnąłem ręce i zamortyzowałem uderzenie o kamienną ścianę. Prześliznąłem się przez drzwi do wnętrza. Trzy długie kroki i już klęczałem w kącie. Chwyciłem stary kubek, przetarłem połą płaszcz...

– Merle, co ty wyprawiasz, do diabła? – Luke wszedł tuż za mną.

– Zaczekaj moment, to zobaczysz.

Wyrwałem sztylet. Ustawiłem kubek na kamieniu, gdzie przedtem siedziałem, wysunąłem ramię i sztyletem rozciąłem przegub.

Zamiast krwi, z rany trysnęły płomienie.

– Nie! – krzyknąłem. – Niech to diabli!

Sięgnąłem do spikarda, odszukałem właściwą linię, znalazłem kanał dla chłodzącego zaklęcia, które rzuciłem na ranę. Natychmiast zgasły płomienie i popłynęła krew. Jednak wybuchła ogniem, gdy tylko krew ściekła do kubka. Zakląłem i rozszerzyłem działanie czaru, by również tam panował nad jej stanem.

– To rzeczywiście wariactwo, Merle. Muszę ci to przyznać – zauważył Luke.

Odłożyłem sztylet i prawą dłonią ścisnąłem przedramię powyżej rany. Krew popłynęła szybciej. Spikard pulsował. Zerknąłem na Luke'a. Przyglądał mi się z wyrazem wysiłku na twarzy. Zaciskałem i prostowałem palce. Kubek był już w połowie pełen.

– Powiedziałeś, że mi ufasz – przypominałem.

– Obawiam się, że tak – przyznał.

Trzy czwarte...

– Musisz to wypić, Luke – oświadczyłem. – Nie żartuję.

– Podejrzywałem, że na tym się skończy – mruknął. – I właściwie to chyba nawet niezły pomysł.

Mam wrażenie, że przyda mi się każda pomoc.

Podniósł kubek do ust. Dłonią zacisnąłem ranę. Z zewnątrz słyszałem regularne porywy wichury.

– Kiedy skończysz, odstaw go na miejsce – powiedziałem. – Będziesz potrzebował więcej.

Słyszałem, jak przełyka.

– Lepsza niż porcja Jamesona – stwierdził. – Sam nie wiem czemu. – Postawił kubek na kamieniu.

– Chociaż... trochę słona.

Cofnąłem dłoń z nacięcia, wysunąłem rękę i znów zacząłem zginać palce.

– Czekaj! Tracisz tu sporo krwi. Czuję się już całkiem dobrze. Trochę tylko kręciło mi się w głowie. Nie potrzebuję więcej.

– Owszem, potrzebujesz. Uwierz mi. Kiedyś oddałem o wiele więcej krwi niż teraz i w podskokach ruszyłem na spotkanie następnego dnia. Nic mi nie będzie.

Wichura wzmogła się do huraganu. Jęczała wokół nas.

– Może mi wytłumaczysz, co się dzieje? – zapytał.

– Luke, jesteś upiorem Wzorca – oznajmiłem.

– Nie rozumiem.

– Wzorzec potrafi skopiować każdego, kto go przeszedł. Masz wszelkie charakterystyczne cechy.

Potrafię je rozpoznać.

– Zaczekaj! Czuję się całkiem rzeczywisty. Zresztą, nie zaliczyłem Wzorca w Amberze. Zrobiłem to w Tir na Nog'th.

– Najwyraźniej kontroluje także oba swoje obrazy, ponieważ są to prawdziwe kopie. Czy pamiętasz swoją koronację w Kashfie?

– Koronację? Nie, do licha! To znaczy, że zasiadłem na tronie?

– Tak. Rinaldo Pierwszy.

– Niech to szlag! Założę się, że mama jest zachwycona.

– Na pewno.

– To trochę niezręczna sytuacja, skoro teraz występuję podwójnie. Mam wrażenie, że ten fenomen nie jest ci obcy. Jak Wzorzec tym kieruje?

– Wy, chłopcy, nie istniejecie zbyt długo. Wydaje się, że im bliżej Wzorca przebywacie, tym jesteście silniejsi. Wiele energii musiało kosztować przerwienie cię tak daleko. Masz, wypij.

– Jasne.

Wlał w siebie pół kubka i oddał mi naczynie.

– A co z bezcennymi płynami organicznymi? – zapytał.

– Krew Amberu ma chyba wzmacniające działanie na upiory Wzorca.

– Chcesz powiedzieć, że jestem czymś w rodzaju wampira?

– W sensie technicznym można chyba tak to określić.

– Nie jestem pewien, czy mi się to podoba... zwłaszcza że to bardzo specjalistyczny wampir.

– Owszem, to rozwiązanie ma pewne wady. Ale po kolei. Najpierw trzeba cię ustabilizować, a potem możemy szukać innych sposobów.

– Zgoda. Masz przed sobą zasłuchaną publiczność.

Zagrzmiało, jakby toczyły się kamienie. Potem coś szcęknęło cicho.

Luke obejrzał się.

– To chyba nie tylko wiatr – zauważył.

– Weź jeszcze łyk – poleciłem, stawiając kubek i szukając po kieszeniach chusteczki. – To musi ci

wystarczyć.

Wypił, zanim skończyłem z opatrunkiem. Pomógł mi wiązać chustkę.

– Wyośmy się stąd – zaproponowałem. – Zaczyna się robić nieprzyjemnie.

– Nie mam nic przeciw temu – zapewnił.

Jakaś postać pojawiła się w drzwiach. Była oświetlona od tyłu i cień okrywał jej twarz.

– Nigdzie nie pójdziesz, upiorze Wzorca – rozległ się niemal znajomy głos.

Myślą ustawiłem spikard na jakieś sto pięćdziesiąt watów światła.

To był Borel, pokazujący zęby w mało przyjaznym uśmiechu.

– Za chwilę zmienisz się w bardzo wielką świecę, upiorze – zwrócił się do Luke'a.

– Mylisz się, Borelu – oznajmiłem, wznosząc spikard. Nagle między nas wpłynął Znak Logrusu.

– Borel? Mistrz szermierki? – upewnił się Luke.

– Ten sam – potwierdziłem.

– Niech to szlag! – mruknął Luke.

## Rozdział 5

Sięgnąłem przed siebie dwiema co bardziej śmiertelnymi energiami spikarda, ale obraz Logrusu przechwycił je i odbił.

– Nie po to go ratowałem, żebyś tak łatwo go unicestwił – oznajmiłem.

I wtedy coś podobnego do obrazu Wzorca, ale nie całkiem takie samo, pojawiło się tuż obok nas.

Znak Logrusu spłynął na lewo. Nowy wizerunek – czymkolwiek był – podążył za nim i oba bezgłośnie przeniknęły przez ścianę. Niemal natychmiast rozległ się grom, który wstrząsnął budynkiem. Nawet Borel, który chwycił za miecz, przerwał ten gest i sięgnął ręką do framugi. Równocześnie za jego plecami pojawiła się inna postać i zabrzmiał znajomy głos:

– Przepraszam bardzo, ale blokujesz mi przejście.

– Corwin! – krzyknąłem. – Tato!

Borel obejrzał się.

– Corwin? Książę Amberu? – spytał.

– W samej rzeczy – odpowiedział przybysz. – Chociaż, obawiam się, nie miałem przyjemności...

– Jestem Borel, diuk Hendrake, mistrz miecza Linii Hendrake.

– Przemawiasz z wieloma dużymi literami, panie, i cieszę się, że mogłem cię poznać – odparł Corwin. – A teraz, jeśli pozwolisz, chciałbym przejść i porozmawiać z moim synem.

Borel odwrócił się, a jego dłoń opadła na rękojeść miecza. Biegłem już ku nim, Luke także. Lecz nagle za Borelem nastąpił jakiś ruch, kopnięcie, chyba nisko... co sprawiło, że wypuścił z siebie powietrze i zgiął się w pół. Natychmiast pięść opadła mu na kark i runął.

– Chodźcie! – Corwin skinął ręką. – Chyba lepiej stąd zniknąć.

Luke i ja wyszliśmy na zewnątrz, przestępując nad powalonym mistrzem miecza Linii Hendrake. Ziemia po lewej stronie była osmalona, jakby po niedawnym pożarze zaczynał padać lekki deszcz. Dostrzegłem też w dali inne ludzkie sylwetki. Zbliżały się.

– Nie wiem, czy moc, która mnie tu sprowadziła, może mnie stąd zabrać – powiedział Corwin i rozejrzał się. – Może być zajęta czymś innym. – Minęło kilka chwil. – Chyba jest – stwierdził wreszcie. – No dobrze, wy decydujecie. Jak stąd uciec?

– Tędy – odparłem, odwróciłem się i ruszyłem biegiem.

Pobiegliśmy szlakiem, który doprowadził mnie do tego miejsca. Obejrzałem się ścigało nas sześć mrocznych postaci.

Ruszyłem pod górę, między pomnikami i nagrobkami, aż wreszcie dotarłem do starego kamiennego muru. Słyszeliśmy już krzyki za nami. Ignorując je, przyciągnąłem towarzyszy do siebie i wyrecytowałem wymyślony naprędce kuplet, w którym w nie całkiem idealnym stylu opisałem sytuację i moje życzenia. A jednak czar działał i ciśnięty kamień nie trafił we mnie tylko dlatego, że zapadaliśmy się już pod ziemię.

Wynurzyliśmy się w magicznym kręgu, wyrastając z ziemi jak grzyby. Poprowadziłem przez pole, biegiem, na wydnię. Wchodząc usłyszałem następny okrzyk. Wyszliśmy z głazu i zbiegliśmy kamienistą ścieżką do szubienicznego drzewa. Skręciłem w lewo, na szlak, i znów ruszyłem biegiem.

– Stój! – zawołał Corwin. – Wyczuwam to gdzieś niedaleko! Tam!

Porzucił ścieżkę i pobiegł w stronę niewysokiego pagórka. Luke i ja ruszyliśmy za nim. Z tyłu, od głazu, dochodziły odgłosy pościgu.

Przed nami, wśród drzew, zauważyłem coś migoczącego. Kierowaliśmy się w tamtą stronę. Jeszcze chwila i dostrzegłem, że to coś ma zarysy tego podobnego do Wzorca obrazu, jaki widziałem w mauzoleum.

Tato nie zwolnił, zbliżając się, ale wpadł prosto w wizerunek. I zniknął. Za nami rozległ się kolejny okrzyk. Luke był następny przy migotliwej zasłonie, a ja tuż za nim.

Biegliśmy przez prosty, lśniący perłowo tunel. Obejrzałem się i zobaczyłem, że znika tuż za nami.

– Nie mogą nas gonić – oznajmił Corwin. – Tamten koniec jest już zamknięty.

– To dlaczego biegniemy? – zdziwiłem się.

– Nadal nie jesteśmy bezpieczni – wyjaśnił. – Droga prowadzi przez dziedzinę Logrusu. Gdyby nas zauważył, mielibyśmy kłopoty.

Pędziliśmy dalej. W końcu spytałem:

– Podróżujemy przez Cień?

– Tak.

– W takim razie myślę, że im dalej dotrzemy, tym lepiej...

Wszystko się zatrzęsło. Musiałem podeprzeć się ręką, żeby nie upaść.

– O rany – mruknął Luke,

– Owszem – przyznałem, gdy tunel zaczął się rozpadać.

Wielkie kawały ścian i podłogi zniknęły nagle, a za otworami był tylko mrok. Szliśmy dalej, przeskakując szczeliny. Wtedy coś uderzyło znowu, bezgłośnie, niszcząc korytarz... wokół nas, za nami, przed nami.

Zaczęliśmy spadać.

Właściwie niezupełnie spadać. Zdawało się, że dryfujemy w rozświetlonej słabym blaskiem mgłę. Nie wyczuwałem niczego pod nogami ani dookoła. Wrażenie było podobne do nieważkości, a ruch niedostrzegalny wobec braku punktów odniesienia.

– A niech to! – usłyszałem gniewny głos Corwina. Płynęliśmy, spadaliśmy, unosiliśmy się – wszystko jedno – przez dłuższą chwilę.

– Tak blisko – mruknął.

– Coś tam jest – oznajmił nagle Luke, wskazując w prawą stronę.

Wielki kształt zawisł wśród szarości. Przemieściłem myśli do spikarda i wysunąłem sondę w tamtym kierunku. Cokolwiek to było, było martwe. Nakazałem ostrzu, które tego dotknęło, by doprowadziło nas na miejsce. Kiedy zobaczyłem "płetwy", wiedziałem już na pewno.

– Wygląda jak ta twoja Polly Jackson – zauważył Luke. – Nawet jest trochę ośnieżony.

Tak, to właśnie do mojego czerwono-białego chevroleta z pięćdziesiątego siódmego roku zbliżaliśmy się w tej pustce.

– To konstrukt. Kiedyś już pobrali go z mojej pamięci – wyjaśniłem. – Pewnie dlatego, że wspomnienie jest tak precyzyjne. Często studiowałem ten obraz. Poza tym, w tej chwili wydaje się bardzo odpowiedni.

Sięgnąłem do drzwiczek. Zbliżyliśmy się od strony kierowcy. Złapałem klamkę i przycisnąłem guzik. Oczywiście, samochód nie był zamknięty. Dwaj pozostali dotknęli pojazdu w rozmaitych miejscach i przeciągnęli się na drugą stronę. Otworzyłem drzwiczki, wsunąłem się za kierownicę, zamknąłem. Luke i Corwin też już wsiadali. Kluczyki tkwiły w stacyjce, tak jak się spodziewałem.

Kiedy wszyscy byli już w środku, spróbowałem uruchomić silnik. Zaskoczył od razu. Ponad szeroką maską spojrzałem w pustkę. Włączyłem reflektory, ale to nie pomogło.

– Co teraz? – zapytał Luke.

Wrzuciłem pierwszy bieg, zwolniłem hamulec ręczny i puściłem sprzęgło. Kiedy dodałem gazu, zdawało mi się, że obracają się koła. Po chwili przerzuciłem na dwójkę, a zaraz potem na trójkę.

Czy to naprawdę najłżejsze wrażenie trakcji czy tylko siła sugestii?

Dodałem gazu. Daleko przed nami mglista panorama odrobinę pojaśniała, choć przypuszczałem, że

to po prostu rezultat mojego patrzenia w tamtym kierunku. Nie czułem żadnego oporu kierownicy. Mocniej wcisnąłem pedał.

Nagle Luke wyciągnął rękę i włączył radio.

– ...Ciężkie warunki drogowe – rozległ się głos spikera. – Dlatego radzimy poruszać się z minimalną prędkością.

I natychmiast zabrzmiała Karawana Wyntona Marsalisa.

Uznałem to za osobiste przesłanie, więc zdjąłem nogę z gazu. Osiągnąłem wyraźne wrażenie lekkiej trakcji, jakbym, na przykład, jechał po lodzie.

Potem zjawilo się uczucie ruchu naprzód i rzeczywiście przed nami trochę pojaśniało. W dodatku nabrałem nieco ciężaru i głębiej zapadłem się w siedzenie. Po chwili wrażenie rzeczywistej powierzchni pod samochodem stało się bardziej wyraźne. Zastanawiałem się, co nastąpi, jeśli skręcę kierownicą. Postanowiłem raczej nie próbować.

Dźwięk spod opon był głośniejszy. Niewyraźne kształty wyrosły po obu stronach, wzmacniając poczucie ruchu i kierunku. Daleko w przodzie świat był istotnie jaśniejszy.

Zwolniłem jeszcze, ponieważ zaczęło mi się wydawać, że jadę prawdziwą drogą przy bardzo słabej widoczności. Wkrótce potem przednie światła wywarły pewien efekt, omiatając blaskiem mijane kształty, nadając im chwilowe podobieństwo do drzew, nasypów, krzaków i kamieni. Ale lusterko wsteczne nadal nie pokazywało niczego.

– Jak za dawnych czasów – zauważył Luke. – Jeździliśmy na pizzę w takie paskudne wieczory.

– Tak – przyznałem.

– Mam nadzieję, że ten drugi ja sprowadził kogoś, kto otworzy pizzerię w Kashfie. Przydałaby się.

– Jeśli to zrobi, wpadnę tam i wypróbuję.

– Jak myślisz, co mnie czeka, kiedy to wszystko się skończy?

– Nie wiem, Luke.

– Rozumiesz, nie mogę stale pić twojej krwi. I co z tym drugim mną?

– Mogę chyba zaproponować ci posadę, która rozwiąże te problemy – wtrącił Corwin. –

Przynajmniej na pewien czas.

Drzewa zdecydowanie były teraz drzewami, a mgła prawdziwą mgłą: poruszała się trochę. Krople wilgoci spływały po przedniej szybie.

– Co masz na myśli? – zapytał Luke.

– Za moment.

We mgle pojawiały się przerwy, a w nich widoczny prawdziwy pejzaż. I nagle uświadomiłem sobie, że nie jadę po drodze, ale po w miarę płaskim dzikim terenie. Zwolniłem jeszcze bardziej.

Wielki kłęb mgły rozwiął się nagle, odsłaniając gigantyczne drzewo. Fragment gruntu zdawał się lśnić. Było coś znajomego w tym niepełnym obrazie...

– Tutaj leży twój Wzorzec, prawda? – spytałem, gdy droga przed nami rozjaśniała się z każdą chwilą. – Kiedyś przyprowadziła mnie tu Fiona.

– Tak – usłyszałem odpowiedź.

– A jego obraz... To właśnie widziałem na cmentarzu naprzeciw Znaku Logrusu. I to on poprowadził nas do tunelu.

– Tak.

– Zatem... On też jest świadomy. Jak Wzorzec Amberu, jak Logrus...

– Zgadza się. Zaparkuj tam, pod drzewem.

Skręciłem kierownicą i wjechałem na płaski teren, który mi wskazał. Wokół nadal unosiła się mgła, ale już nie tak ciężka i wszechogarniająca jak po drodze. Mógł zapadać mrok, sądząc po

cieniach we mgle, ale mimo zmierzchu dnia lśnienie tego ekscentrycznego Wzorca rozjaśniało czaszę naszego świata.

– Upiory Wzorca nie żyją zbyt długo – oznajmił Luke'owi Corwin, kiedy wysiadaliśmy.

– Słyszałem o tym – odparł Luke. – Zna pan jakieś sposoby do wykorzystania przez kogoś, kto znalazł się w takiej sytuacji?

– Znam wszystkie. Chory jest najlepszym lekarzem, jak mówią.

– Jak to?

– Tato...? – wtrąciłem. – To znaczy...

– Tak – potwierdził. – Nie wiem, gdzie może w tej chwili przebywać pierwsza wersja mnie.

– To ciebie spotkałem niedawno? Ty odwiedzałeś ostatnio Amber?

– Tak.

– Rozumiem... Ale nie jesteś taki jak inni, których spotkałem.

Ścisnął mnie za ramię.

– Nie – rzekł i zerknął na Wzorzec. – To ja go wykreśliłem – stwierdził po chwili. – I jestem jedyną osobą, która go przeszła. W rezultacie jestem też jedynym upiorem, jakiego może wywołać. Mam też wrażenie, że nie traktuje mnie wyłącznie użytkowo. Możemy się porozumiewać, w pewnym sensie, i zdaje się, że jest skłonny zużywać energię, by utrzymać moją stabilność... już od dość długiego czasu. Mamy swoje plany i nasz związek jest niemal symbiotyczny. Jak rozumiem, upiory Wzorca Amberu i Logrusu są raczej efemerycznej natury.

– Tak wynika z moich doświadczeń – przyznałem.

– Z wyjątkiem tej, którą nakarmiłeś, za co jestem ci wdzięczny. Jest teraz pod moją opieką... tak długo, dopóki będę mógł jej udzielać.

Puścił moje ramię.

– Nie przedstawiłeś mnie jak należy swojemu przyjacielowi – przypomniał.

– Istotnie, zapomniałem o tym. Luke, poznaj mojego ojca, Corwina z Amberu. Sir, Luke znany jest raczej jako Rinaldo, syn twojego brata Branda.

Corwin na moment szerzej otworzył oczy, potem zmrużył je i wyciągnął rękę, studiując twarz Luke'a.

– Miło mi poznać przyjaciela syna, a przy tym krewniaka – powiedział.

– Bardzo mi przyjemnie, sir.

– Nie mogłem zrozumieć, dlaczego wydajesz mi się znajomy.

– Podobieństwa potem maleją, jeśli o to panu chodzi. Może nawet kończą się na wyglądzie.

Tato roześmiał się.

– Gdzie się spotkaliście?

– W szkole – wyjaśnił Luke. – Berkeley.

– A gdzie moglibyście się spotkać...? Przecież nie w Amberze. – Odwrócił się i spojrzał na swój Wzorzec. – Opowiedzcie mi jeszcze o wszystkim. Ale teraz chodźcie, ja też chcę was przedstawić.

Ruszył w stronę jaśniejszego rysunku. My także. Obok przepłynęło kilka pasemek mgły. Prócz naszych kroków nie dochodził tu żaden Dźwięk.

Stanęliśmy na brzegu jego Wzorca. Był to piękny rysunek, zbyt rozległy, by ogarnąć go jednym spojrzeniem. Zdawał się pulsować mocą.

– Cześć – powiedział tato. – Poznaj mojego syna i mojego bratanka, Merlina i Rinalda... chociaż myślę, że Merlina już raz spotkałeś. Rinaldo ma problem. – Przez moment trwała cisza. Potem mruknął: – Tak, to prawda. – A po chwili: – Naprawdę tak sądzisz? – I: – W porządku. Oczywiście, powiem im.



Przeciągnął się, westchnął i odszedł kilka kroków od brzegu Wzorca. Potem objął ramionami nas obu.

– Słuchajcie, chłopcy – rzekł. – Otrzymałem coś w rodzaju odpowiedzi. Ale wynika z niej, że wszyscy musimy przejść ten Worzec, choć każdy z innej przyczyny.

– Wchodzę w to – oświadczył Luke. – Ale jaka jest ta przyczyna?

– On cię adoptuje – wyjaśnił Corwin. – I zasili swoją energią, tak jak mnie. Jednak nie za darmo. Zbliża się czas, kiedy trzeba będzie go pilnować bez przerwy. Będziemy mogli się zmieniać.

– W porządku – zgodził się Luke. – To chyba spokojna okolica. A i tak nie miałem zamiaru wracać do Kashfy i próbować zrzucić siebie z tronu.

– W porządku. Ja poprowadzę, a ty trzymaj mnie za ramię na wypadek, gdybyśmy napotkali coś zabawnego. Merlinie, ty pójdziesz ostatni, zachowując kontakt z Lukiem, z tych samych powodów. Wszystko jasne?

– Jasne – zapewniłem go. – Idziemy.

Puścił nas i przeszliśmy na początek trasy. Luke położył mu rękę na ramieniu, gdy robił pierwszy krok. Po chwili wszyscy trzej szliśmy już linią Wzorca, walcząc ze znajomym oporem. Ale nawet kiedy strzeliły iskry, to przejście wydawało mi się łatwiejsze niż zapamiętane z przeszłości. Może dlatego, że prowadził ktoś inny.

Gdy przebijałem Pierwszą Zasłonę, mój umysł wypełniły obrazy alei porośniętych starymi kasztanami. Fontanny iskier sięgały już wyżej czułem moce Wzorca kłębiące się wokół, przenikające mnie, ciało i umysł. Wspomniałem szkolne dni i moje próby na stadionie. Samo przesuwanie stóp stało się ciężkim wysiłkiem i nagle zrozumiałem, że ten wysiłek ważniejszy jest niż ruch. Czułem, jak włosy stają mi dęba, gdy elektryczne ładunki spływały po ciele. Opór narastał pochylił się do przodu. Mimo wszystko nie doprowadzał do szału bezsilności jak Logrus, gdy go pokonywałem, i nie budził uczucia wrogości, jakie przeżywałem na Wzorcu Amberu. Zdawało się niemal, że podążam przez wnętrze umysłu, który nie jest do mnie nastawiony nieprzyjaźnie. Odnosiłem wrażenie, jakby dodawał mi siłę, kiedy parłem do zakrętu, wykonywałem zwrot. Opór był silny, w tym punkcie iskry sięgały równie wysoko jak w Amberze, wiedziałem jednak, że ten Worzec traktuje mnie inaczej. Szliśmy wzdłuż linii. Skręcaliśmy płonąć... Przedarcie się przez Drugą Zasłonę było wykonywanym w zwolnionym tempie ćwiczeniem siły i woli. Potem szło się łatwiej, a obrazy z całego mojego życia nadpływały, by przerażać mnie i pocieszać.

Dalej. Jeden, dwa... Trzy. Czułem, że jeśli pokonam jeszcze dziesięć kroków, będę miał szansę na zwycięstwo. Cztery... Zalewał mnie pot. Pięć. Opór był potworny. Przesunięcie stopy o parę centymetrów wymagało wysiłku tak wielkiego, jak bieg na sto metrów. Płuca pracowały jak miechy. Sześć. Iskry sięgnęły mi do twarzy, powyżej oczu, objęły mnie całkowicie. Zdawało mi się, że uległem przemianie w nieśmiertelny błękitny płomień i muszę jakoś wypalić sobie przejście przez blok marmuru. Płonałem i płonałem, a kamień trwał nie zmieniony. Mogłem stracić na to całą wieczność. Może już straciłem. Siedem. Obrazy zniknęły. Wszelkie wspomnienia odeszły. Nawet moja tożsamość zrobiła sobie wolne. Pozostał jedynie twór z czystej woli. Byłem działaniem, aktem pokonywania oporu. Osiem... Nie czułem własnego ciała. Czas stał się obcym pojęciem. Walka nie była już walką, lecz formą pierwotnego ruchu, wobec którego lodowce pędziły jak szalone. Dziewięć... Teraz byłem już tylko ruchem, nieskończenie powolnym, lecz stałym...

Dziesięć.

Zelżało. Pod koniec znów będzie ciężko, ale wiedziałem, że dalszy ciąg przejścia to już faza opadająca. Kołysało mnie coś w rodzaju powolnej, cichej muzyki, gdy szedłem naprzód, skręcałem i znowu szedłem. Towarzyszyła mi aż do Końcowej Zasłony, a kiedy minąłem połowę ostatniego

kroku, zaczęła przypominać Karawanę.

Stanęliśmy pośrodku i milczeliśmy przez długi czas, oddychając głęboko. Nie byłem pewien, co właściwie osiągnąłem. Czuję jednak, że w rezultacie lepiej poznałem ojca. Pasma mgły wciąż płynęły dookoła, ponad Wzorcem, ponad doliną.

– Czuję się... silniejszy – oznajmił po chwili Luke. – Tak, pomogę strzec tego miejsca. To niezły sposób, by spędzić trochę czasu.

– A przy okazji, Luke, jaką wiadomość miałeś mi przekazać? – zapytałem.

– Och, żebyś się wyniósł z Dworców – odparł. – Robi się tam niebezpiecznie.

– Wiedziałem już o niebezpieczeństwie, ale wciąż muszę dopilnować kilku spraw.

Wzruszył ramionami.

– Tyle miałem ci powiedzieć. Teraz już chyba nigdzie nie jest bezpiecznie.

– Tutaj nie przewiduję na razie żadnych kłopotów – oświadczył Corwin. – Żadna z Potęg nie wie, jak zbliżyć się do tego Wzorca ani co z nim zrobić. Jest zbyt silny, by Wzorec Amberu go wchłonął, a Logrus nie ma pojęcia, jak go zniszczyć.

– Czyli spokój.

– Nadejdzie zapewne czas, kiedy spróbują zaatakować.

– A do tej chwili czekamy i obserwujemy? W porządku. A jeśli coś nadejdzie, co by to mogło być?

– Prawdopodobnie upiory... podobne do nas. Będą chciały dowiedzieć się czegoś więcej, wypróbować. Dobrze sobie radzisz z tą klingą?

– Z całą skromnością, owszem. A jeśli to nie wystarczy, studiowałem też Sztuki.

– Stał wystarczy, choć ogień popłynie im z ran, nie krew. Jeśli chcesz, nakaż Wzorcowi, żeby przerzucił cię teraz na zewnątrz. Dołączę za chwilę, żeby ci pokazać, gdzie schowana jest broń i zapasy. Chciałbym odbyć niewielką wycieczkę i na pewien czas zostawić cię samego.

– Nie ma sprawy – zapewnił Luke. – Co z tobą, Merle?

– Muszę wracać do Dworców. Mam zjeść obiad z matką, a potem wziąć udział w pogrzebie Swayvilla.

– Nie wiem, czy zdoła cię wysłać aż do Dworców – wtrącił Corwin. – To już trochę za blisko Logrusu. Ale dogadasz się z nim jakoś albo vice versa. A jak tam Dara?

– Od bardzo dawna nie widziałem się z nią dłużej niż kilka chwil – odparłem. – Nadal jest władczą, arogancką i nadopiekuńczą, jeśli chodzi o mnie. Odniosłem również wrażenie, że miesza się w intrygi polityczne dotyczące spraw lokalnych oraz szerszych aspektów stosunków między Dworcami a Amberem.

Luke przymknął oczy i zniknął. Po chwili zobaczyłem go przy samochodzie Polly Jackson. Otworzył drzwi, usiadł na miejscu obok kierowcy, pochylił się i pogmerał przy czymś w środku. Po kilku sekundach usłyszałem muzykę z radia.

– Całkiem możliwe – westchnął Corwin. – Wiesz, właściwie nigdy jej nie rozumiałem. Przyszła do mnie znikąd, w niezwykłym okresie mojego życia. Okłamała mnie, zostaliśmy kochankami, przeszła Wzorec w Amberze i zniknęła. To było jak niesamowity sen. Wykorzystała mnie, oczywiście. Przez lata wierzyłem, że chciała tylko dowiedzieć się czegoś o Wzorcach i o tym, jak do niego dotrzeć. Ostatnio jednak miałem sporo czasu do namysłu i teraz nie jestem już tego pewien.

– Tak? – zdziwiłem się. – A o co jej chodziło?

– O ciebie – stwierdził. – Coraz bardziej nabieram przekonania, że chciała urodzić syna bądź córkę Amberu.

Przeszył mnie dreszcz. Czy to możliwe, by powodem mojego przyjscia na świat były tak zimne

kalkulacje? Czy uczucie w ogóle się nie liczyło? Czy zostałem poczęty świadomie, by posłużyć jakimś szczególnym celom? Wcale mi się to nie podobało. Czułem się tak, jak pewnie czuł się Ghostwheel: starannie zaprojektowany produkt mojej wyobraźni i intelektu, zbudowany dla przetestowania hipotez, jakie tylko Amberyta mógłby wysunąć. A jednak nazywał mnie "tata". I naprawdę mu na mnie zależało. Dziwne, ale sam zacząłem do niego żywić te irracjonalne uczucia. Czy to dlatego, że byliśmy bardziej do siebie podobni, niż świadomie zdawałem sobie z tego sprawę?

– Dlaczego? – spytałem. – Dlaczego tak jej zależało, żebym się urodził?

– Mogę tylko przypomnieć jej ostatnie słowa, kiedy dokończyła Wzorzec, po drodze zmieniając się w demona. "Amber", powiedziała, "będzie zniszczony". A potem zniknęła.

Drżałem cały. Implikacje były tak niepokojące, że miałem ochotę zapłakać, przespać się albo upić. Cokolwiek, byle zyskać chwilę ulgi.

– Myślisz, że moje istnienie jest częścią długoterminowego planu zniszczenia Amberu?

– Możliwe – przyznał. – Ale mogę się mylić, mały. Mogę się bardzo mylić, a wtedy przeproszę, że sprawiłem ci ból. Z drugiej strony, popełniłbym także błąd, gdybym cię nie uprzedził, że istnieje taka możliwość.

Potarłem skronie, czoło, oczy.

– Co mam robić? – zapytałem. – Nie chcę pomagać w zniszczeniu Amberu. Na moment przycisnął mnie do piersi.

– Nieważne, kim jesteś i co z tobą zrobiono – rzekł. – Prędzej czy później zyskasz prawo wyboru. Jesteś czymś więcej niż tylko sumą swoich części, Merlinie. Nieważne, jak doszło do twoich urodzin, jak do tej chwili toczyło się twoje życie. Masz oczy, masz mózg i skalę wartości. Nie pozwól, by ktokolwiek cię oszukiwał, nawet ja. A kiedy nadejdzie czas, jeśli nadejdzie, upewnij się, że wybierasz samodzielnie. Nic, co działo się wcześniej, nie będzie wtedy miało znaczenia.

Te słowa, choć tak ogólne, sprowadziły mnie na ziemię z tego mrocznego miejsca duszy, gdzie się ukryłem.

– Dzięki – powiedziałem.

Pokiwał głową.

– Rozumiem, że twoim pierwszym odruchem będzie doprowadzenie do konfrontacji w tej kwestii – stwierdził. – Jednak to ci odradzam. Niczego nie osiągniesz, a tylko zdradzisz jej swoje podejrzenia. Rozsądek nakazuje rozegrać sprawę ostrożnie i zobaczyć, czego zdołasz się dowiedzieć.

Westchnąłem.

– Masz rację, oczywiście. Przybyłeś do mnie, żeby mi to powiedzieć, nie tylko, żeby pomóc mi w ucieczce. Prawda?

Uśmiechnął się.

– Martw się tylko o ważne sprawy – poradził. – Spotkamy się jeszcze.

I zniknął.

Zobaczyłem go nagle obok samochodu. Tłumaczył coś Luke'owi. Widziałem, jak pokazuje mu kryjówki z zapasami. Zastanawiałem się, ile czasu upłynęło w Dworcach. Po chwili obaj pomachali do mnie, potem Corwin uściśnął Luke'owi rękę i odszedł w mgłę. Radio grało Lili Marlene.

Skoncentrowałem się i nakazałem Wzorcowi, by przeniósł mnie do Linii Sawall. Na moment zawirowała ciemność, a kiedy odpłynęła, wciąż stałem pośrodku rysunku. Spróbowałem jeszcze raz, tym razem z zamkiem Suhuya. I znowu Wzorzec nie zechciał skasować mojego biletu.

– Jak blisko możesz mnie przerzucić? – zapytałem.

Znowu wir, ale teraz jasny. Przeniósł mnie na biały, skalny cypel pod czarnym niebem, nad

czarnym morzem. Dwa półokręgi białych płomieni ujmowały mnie jak nawiasy. W porządku, stąd już trafię. To Brama Ognia, droga przejścia w Cieniu niedaleko Dworców. Stałem przodem do morza i liczyłem. Gdy znalazłem czternastą migoczącą wieżę od prawej, ruszyłem w jej stronę.

Wynurzyłem się przy powalonej wieży pod różowym niebem. Idąc ku niej, zostałem przeniesiony do szklistej jaskini, przez którą płynęła zielona rzeka. Szedłem brzegiem, aż trafiłem na przejście po kamieniach. Doprowadziło mnie do ścieżki przez jesienny las. Podążałem nią jakieś dwa kilometry, aż wyczułem istnienie przejścia u podstawy iglastego krzewu. Stamtąd trafiłem na zbocze góry. Jeszcze trzy przejścia i dwie dróżki wyprowadziły mnie na szlak, wiodący na obiad z matką. Według nieba, nie miałem już czasu, żeby się przebrać.

Przystanąłem przed skrzyżowaniem, otrzepałem się, poprawiłem ubranie, przyczesalem włosy. Jednocześnie myślałem, kto odebrałby moje wezwanie, gdybym spróbował połączyć się z Luke'em przez jego Atut – sam Luke, jego upiór, czy może obaj? Czy upiory odbierają sygnały Atutów? Zacząłem się zastanawiać, co dzieje się w Amberze. Myślałem też o Coral i Naydzie...

Do diabła.

Chciałbym się znaleźć gdzie indziej. Daleko stąd. Ostrzeżenie Wzorca, przekazane mi przez Luke'a, trafiło na podatny grunt. Corwin dał mi zbyt wiele materiału do przemyślenia, a nie miałem czasu, żeby sobie to wszystko poukładać. I nie chciałem wplątywać się w te rozgrywki w Dworcach. Nie podobały mi się wnioski dotyczące mojej matki. Nie miałem ochoty uczestniczyć w pogrzebie. I czułem się jakby nie doinformowany. Można by pomyśleć, że jeśli ktoś chce czegoś ode mnie... czegoś bardzo ważnego... to przynajmniej poświęci chwilę, wyjaśni mi sytuację i poprosi o współpracę. Gdyby chodziło o krewnego, istniała spora szansa, żebym się zgodził. A zyskanie mojej aprobaty było chyba mniej ryzykowne niż wszelkie sztuczki zmierzające do kierowania moimi działaniami. Chciałem odejść od tych, którzy próbują mną sterować, oraz od intryg, które knuli.

Mógłbym odwrócić się i odejść w Cień, prawdopodobnie zniknąć w nim. Mógłbym ruszyć do Amberu, opowiedzieć Randomowi o wszystkim, co wiem i co podejrzewam. Ochroniłby mnie przed Dworcami. Mógłbym też wrócić do Cienia-Ziemi, przygotować sobie nową tożsamość, zająć się projektowaniem komputerów...

Wtedy, oczywiście, nigdy bym się nie dowiedział, co się dzieje i co działo się wcześniej. A co do prawdziwego miejsca pobytu mojego ojca... zdołałem wywołać go w Dworcach, ale nigdzie indziej. Musiał być gdzieś w pobliżu. I nie miał nikogo, kto próbowałby mu pomóc.

Ruszyłem przed siebie i skręciłem w prawo. Skierowałem się w stronę fioletowego nieba. Zdażę na czas.

I tak powróciłem do Linii Sawall. Wynurzyłem się z czerwonozłotego malowidła w kształcie gwiazdnego rozbłysku na ścianie frontowego dziedzińca, zstąpiłem po Niewidzialnych Schodach i przez długą chwilę spoglądałem w głąb wielkiej, centralnej otchłani z widokiem na czarną turbulencję poza Krawędzią. Spadająca gwiazda wypaliła swą ścieżkę na fioletowym niebie, kiedy odwróciłem się i skierowałem ku obitym miedzią drzwiom i Labiryntowi Sztuki za nimi.

Już wewnątrz wspominałem, ile razy zgubiłem się tu w dzieciństwie. Ród Sawall od wieków kolekcjonował dzieła sztuki, a ich zbiór był tak ogromny, że istniało kilka dróg, na które trafiał człowiek w samym labiryncie. Prowadziły go tunelami, gigantyczną spiralą, przez coś, co przypominało starą stację kolejową, a potem, zanim zdażył zawrócić, mijał kolejny zakręt. Kiedyś, pamiętam, błądziłem tu przez kilka dni, aż znaleźli mnie zapłakanego przed kompozycją niebieskich butów przybitych gwoździami do deski. Szedłem tędy teraz, powoli, oglądając stare okropieństwa i trochę nowych. Między nimi trafiały się też przedmioty uderzająco piękne... choćby ta wielka waza, która wyglądała jak wyrzeźbiona z jednego płomienno opalu. Albo komplet dziwnie

emaliowanych tabliczek z dalekiego cienia. Ich znaczenia i funkcji nikt w rodzinie nie potrafił sobie przypomnieć. Musiałem przystanąć i obejrzeć je znowu, zamiast skorzystać ze skrótu przez galerię. Zwłaszcza tabliczki lubiłem wyjątkowo.

Podchodząc do ognistej wazy, nuciłem starą melodyjkę, której nauczył mnie Gryll. Wydało mi się, że słyszę cichy szelest, ale rozejrzałem się i nie zauważyłem nikogo. Niemal zmysłowe linie wazy błagały, żeby jej dotknąć. Pamiętałem, ile razy mi tego zakazywano. Powoli wyciągnąłem lewą dłoń i oparłem ją na wypukłości. Waza była cieplejsza, niż powinna. Wolno zsunąłem palce wzdłuż jej boku. Była jak zamrożony płomień.

– Witaj – szepnąłem, wspominając naszą wspólną przygodę. – To już tak dawno...

– Merlin? – zabrzmiał cichy głos. Natychmiast cofnąłem rękę. Zupełnie jakby waza przemówiła.

– Tak – potwierdziłem. – Tak. Znowu szelest i fragment cienia poruszył się w kremowym otworze nad ogniem.

– Ss – powiedział cień, wznosząc się.

– Glait? – spytałem.

– Isstotnie.

– To niemożliwe. Umarłaś wiele lat temu.

– Nie umarłam. Ssapałam.

– Kiedy widziałem cię ostatnio, byłem jeszcze dzieckiem. Byłaś ranna. Potem zniknęłaś.

Myślałem, że nie żyjesz.

– To ssen. Ssen, by uzdrowić. Ssen, by zapomnieć. Ssen, by się odrodzić.

Wyciągnąłem dłoń. Pomarszczona głowa węża uniosła się wyżej, opadła na moje ramię. Gad wpełzł i owinał się wokół ramienia.

– Trzeba przyznać, że znalazłaś sobie elegancką sypialnię.

– Wiedziałam, że ten dzban jest twoim ulubionym. Wiedziałam, że jeśli poczekam dosłownie długo, ty wrócisz i zatrzymasz się tu, by go podziwiać. A ja wyczuję to, wzniosę się w sswym sssplendorze i powitam cię. Ojej, ależ urosłeś!

– A ty wyglądasz tak samo jak dawniej. Może trochę chudsza... Delikatnie pogładziłem ją po głowie.

– Dobrze wiedzieć, że nadal jesteś wśród nas niby szacowny rodzinny duch. Ty, Gryll i Kergma sprawiliście, że moje dzieciństwo było lepsze, niż być mogło.

Wysoko uniosła głowę i czubkiem nosa pogładziła mnie po policzku.

– Twój widok rozgrzewa mi krew, ssłodki chłopcze. Podróżowałaś daleko?

– Tak. Bardzo.

– Którejś nocy najemy się myszy i położymy przy ogniu. Zagrzejesz mi misseczkę mleka i opowiesz o sswoich przygodach od dnia, gdy opuściłeś Linie Ssawall. Poszukamy kości ze szpikiem dla Grylla, jeśli ciągle tu jest...

– Teraz służy chyba mojemu wujowi Suhuyowi. Co z Kergma?

– Nie wiem. To już tak dawno... Przycisnąłem ją do piersi, żeby się rozgrzała.

– Dziękuję, że czekałaś na mnie w swej wielkiej drzemce, by mnie pozdrowić i...

– To nie tylko przyjaźń i powitanie.

– Nie tylko? Co jeszcze, Glait? O co chodzi?

– Rzecz do pokazania. Idź tędy.

Ruchem głowy wskazała kierunek. Poszedłem w tamtą stronę – co i tak zamierzałem – do miejsca, gdzie korytarz się rozszerzał. Czuję, jak drży na moim ramieniu i mruży ledwie słyszalnie, jak to czasem czyniła.

Nagle zeszywniała i uniosła głowę, kołysząc nią lekko.

– Co się stało? – zapytałem.

– Myszy – odparła. – Myszy niedaleko. Muszę zapolować... kiedy już ci pokażę... tę rzecz.

Śniadanie...

– Jeśli chcesz najpierw coś zjeść, zaczekam.

– Nie, Merlinie. Nie wolno ci się spóźnić na to... co cię tu sprowadziło. Czuję, że to ważne...

Później... będę jadła... szkodniki...

Dotarliśmy do szerokiego, wysokiego fragmentu oświetlanego przez okna w stropie. Cztery wielkie elementy metalowej rzeźby – głównie z brązu i miedzi – wznosiły się wokół nas, ustawione asymetrycznie.

– Dalej – poleciała Glait. – Nie tu.

Na najbliższym rogu skręciłem w prawo i ruszyłem dalej. Po chwili trafiliśmy na kolejną ekspozycję. Przypominała metalowy las.

– Powoli teraz, spokojnie. Wolno, słodki demonku.

Zatrzymałem się i przyjrzałem drzewom, jasnym i ciemnym, lśniącym i zmętniałym. Żelazne, aluminiowe, brązowe, wywierały niezwykle wrażenie. Tej ekspozycji nie było, gdy szedłem tędy ostatnim razem, wiele lat temu. Nic dziwnego, naturalnie. Zmiany nastąpiły też w innych miejscach, które dziś mijałem.

– Teraz. Tutaj. Sskręć. Zawróć. Zagłębiłem się w las.

– Na prawo. Do tego wyssokiego. Stałem przed wygiętym pniem najwyższego drzewa po prawej stronie.

– To?

– Tak. Wpełznij... do góry. Proszę.

– Mam na nie wejść?

– Isstotnie.

– Dobrze.

Sympatyczną cechą stylizowanego drzewa... a przynajmniej tego stylizowanego drzewa... było, że wyginało się, nabrzmiewało, skręcało się tak, by łatwiej trafić na oparcie dla nóg i rąk, niż się z początku wydawało. Znalazłem chwyt, podciągnąłem się, oparłem stopę, podciągnąłem się znowu, pchnąłem.

Wyżej. Jeszcze wyżej. Zatrzymałem się jakieś trzy metry nad podłogą.

– Hm... Co mam robić, skoro już tu jestem? – spytałem.

– Wejdz wyżej.

– Po co?

– Spokojnie. Dowiesz się wkrótce.

Podciągnąłem się jeszcze pół metra i wtedy je wyczułem. Nie tyle mrowienie, ile rodzaj ucisku. Bywa, że czuję tylko mrowienie, jeśli prowadzą do jakiegoś niebezpieczeństwa.

– Tu w górze jest przejście – oznajmiłem.

– Isstotnie. Leżałam zawinięta wokół gałęzi niebieskiego drzewa, kiedy cieniomisstrz je otworzył. Zabili go potem.

– A zatem musi prowadzić do czegoś ważnego.

– Tak ssądzę. Nie umiem dobrze oceniać... ludzkich spraw.

– Przeszłaś tam?

– Isstotnie.

– A więc jest bezpiecznie?

– Isstotnie.

– Dobrze.

Wspiąłem się jeszcze kawałek. Opierałem się sile, póki nie ustawiłem obu stóp na tym samym poziomie. Wtedy poddałem się ciągowi i pozwoliłem, by przejście mnie przeniosło.

Wyciągnąłem przed siebie ręce na wypadek, gdyby powierzchnia była nierówna. Ale nie była. Podłogę pokrywała przepiękna mozaika z kafelków czarnych, szarych, srebrnych i białych. Po prawej stronie był jakiś geometryczny wzór, po lewej wizerunek Otchłani Chaosu.

Jednak tylko przez moment kierowałem wzrok w dół.

– Boże wielki! – zawołałem.

– Miałam rację? To ważne? – spytała Glait.

– To ważne – potwierdziłem.

## Rozdział 6

W kaplicy wszędzie stały świece, wiele z nich wysokich tak jak ja i prawie równie grubych. Niektóre były srebrne, inne szare, sporo białych i sporo czarnych. Stały na różnych poziomach, artystycznie rozmieszczone na występach, półkach czy w geometrycznych punktach wzoru na podłodze. Jednak nie one były głównym źródłem oświetlenia. Blask padał z góry i z początku sądziłem, że to przeszlony sufit. Kiedy spojrzałem tam, by ocenić wysokość komnaty, przekonałem się, że światła dostarcza duża białoniebieska kula uwieczniona za kratą z ciemnego metalu.

Postąpiłem o krok. Najbliższa świeca zamigotała.

Zatrzymałem się przed kamiennym ołtarzem stojącym w niszy naprzeciw wejścia. Czarne świece płonęły przed nim z obu stron, na nim mniejsze i srebrne. Przez chwilę patrzyłem tylko.

– Całkiem jak ty – zauważyła Glait.

– Myślałem, że twoje oczy nie rejestrują dwuwymiarowych wizerunków.

– Bardzo długo już mieszkam w muzeum. Po co ktoś sschował twój portret za ssekretnym przejściem? Podszedłem bliżej.

– To nie ja – wyjaśniłem. – To mój ojciec, Corwin z Amberu.

Srebrna róża stała w wazonie przed portretem. Nie wiem, czy była prawdziwym kwiatem czy jedynie produktem sztuki lub magii.

A obok róży, wysunięty na kilka centymetrów z pochwy, leżał Grayswandir. Czułem, że to prawdziwy miecz ojca, że ta wersja, którą nosił jego upiór Wzorca, była tylko rekonstrukcją, jak on sam.

Uniosłem miecz, wyjąłem z pochwy.

Ogarnęło mnie poczucie mocy. Chwyciłem rękojeść, machnąłem, wysunąłem klingę en garde, pchnąłem, zaatakowałem... Spikard ożył w centrum pajęczyny sił. Spojrzałem na niego, nagle zakłopotany.

– A to jest miecz mojego ojca – dodałem, wracając przed ołtarz.

Wsunąłem Grayswandira do pochwy i odłożyłem na miejsce. Niechętnie go tu zostawiałem.

Cofnąłem się.

– To jest ważne? – spytała Glait.

– Bardzo – zapewniłem.

Przejście wessało mnie i przerzuciło z powrotem na czubek drzewa.

– Co teraz, Merlinie?

– Umówiłem się na obiad z moją matką.

– W takim razie zostaw mnie tutaj.

– Mogę cię odnieść do wazy.

– Nie. Już dawno nie sskradałam się po drzewach. Tak będzie najlepiej.

Wyciągnąłem rękę. Zsunęła się i popęzła między błyszczące konary.

– Powodzenia, Merlinie. Przyjdź kiedyś znowu.

Zszedłem z drzewa, tylko raz zaczepiając o coś nogawką, a po chwili szybkim krokiem maszerowałem już korytarzem.

Dwa zakręty dalej znalazłem przejście do głównego holu i uznałem, że lepiej z niego skorzystam. Wskoczyłem obok wielkiego kominka, gdzie splatały się wysokie płomienie. Odwróciłem się wolno i rozejrzałem po sali, usiłując wyglądać tak, jakbym czekał już dłuższą chwilę.

Oprócz mnie nie było tu nikogo. To dziwne, pomyślałem, skoro ogień huczy tak mocno. Poprawiłem koszulę, otrzepałem się, przejechałem grzebieniem po włosach. Właśnie sprawdzałem



paznokcie, kiedy dostrzegłem kątem oka jakiś ruch na szerokim podejściu po lewej stronie.

Była zawieją we wnętrzu trzymetrowej wieży. Błyskawice z trzaskiem tańczyły pośrodku, okruchy lodu stukały i grzechotały o stopnie, szron pokrywał poręcz tam, gdzie przeszła. Moja matka. Zauważyła mnie chyba w tej samej chwili co ja, gdyż przystanęła. Potem skręciła na schody i zeszła powoli.

Po drodze przekształcała się płynnie, jej wygląd ulegał zmianie niemal z każdym krokiem. Gdy tylko zrozumiałem, co się dzieje, zakończyłem własne działanie i odwróciłem pierwsze skromne wyniki. Rozpocząłem przemianę, gdy tylko ją zobaczyłem, a ona pewnie zrobiła to samo. Nie sądziłem, że posunie się tak daleko, żeby mi zrobić przyjemność, w dodatku po raz drugi i to na własnym terenie.

Zakończyła przemianę, kiedy stanęła na najniższym stopniu. Stała się teraz piękną kobietą w czarnych spodniach i czerwonej koszuli z bufiastymi rękawami. Spojrzała na mnie z uśmiechem, podeszła i objęła serdecznie.

Nietaktem byłoby stwierdzić, że zamierzałem się przekształcić, ale zapomniałem. Czy w ogóle wygłosić jakąkolwiek uwagę na ten temat?

Odsunęła mnie na odległość ramienia, zmierzyła wzrokiem i pokręciła głową.

– Czy sypiasz w ubraniu przed wysiłkiem fizycznym czy po? – zapytała.

– Jesteś niesprawiedliwa. Zatrzymałem się po drodze, żeby obejrzeć okolicę, i natrafiłem na pewne problemy.

– Dlatego się spóźniłeś?

– Nie. Spóźniłem się, gdyż zajrzałem do galerii i spędziłem tam więcej czasu, niż planowałem. I nie spóźniłem się wiele.

Chwyciła mnie za ramię i obróciła.

– Wybaczam ci – rzekła, popychając mnie w stronę nakrapianego różem, zielenią i złotem filaru przejścia, umieszczonego w wyłożonej lustrami niszy w pokoju po prawej stronie.

Uznałem, że nie wymaga to odpowiedzi, milczałem więc. Weszliśmy do niszy. Czekałem, czy poprowadzi mnie wokół filara zgodnie z ruchem wskazówek zegara czy przeciwnie.

Przeciwnie, jak się okazało. Ciekawe.

Z trzech stron towarzyszyły nam odbicia i odbicia odbić. I obrazy komnaty, którą opuściliśmy. Z każdym okrążeniem filara był to inny pokój. Obserwowałem te kalejdoskopowe przemiany, póki nie zatrzymała się w kryształowej grocie na brzegu podziemnego morza.

– Już prawie zapomniałem o tym miejscu – wyznałem.

Po czystym, białym piasku przeszedłem w jaskrawy blask kryształów, blask, na przemian przypominający światło ognisk, odbicia słońca, kandelabry i wyświetlacze LED, zależnie od rozmiarów i może odległości. Od czasu do czasu wstęga tęczy padała na brzeg, ściany jaskini i czarne wody.

Wzięła mnie za rękę i poprowadziła do otoczonej poręczą platformy, wzniesionej niedaleko po prawej stronie. Stał na niej nakryty stolik. Zestaw przykrytych półmisek zajmował większy stół w głębi. Weszliśmy po kilku stopniach, posadziłem ją i ruszyłem zbadać smakołyki.

– Usiądź, Merlinie – powiedziała. – Podam do stołu.

– Nie warto – oparłem, unosząc pokrywkę. – Już tu jestem. Zajmę się pierwszym daniem. Poderwała się.

– A zatem styl bufetu – zdecydowała.

– Oczywiście.

Napełniliśmy talerze i przeszliśmy do stolika. Po kilku sekundach błyskawica nad wodą

rozświetliła strzelisty strop jaskini, podobny do żeber oglądanej od wewnątrz gigantycznej bestii, która nas trawi.

– Nie musisz tak się niepokoić. Wiesz przecież, że nie mogą tu sięgnąć.

– Czekanie na grzmot odbiera mi apetyt – wyjaśniłem.

Roześmiała się dokładnie w chwili, gdy dotarł do nas stłumiony huk.

– Czy teraz już w porządku? – spytała.

– Tak. Uniosłem widelec.

– To dziwne, jakich krewnych zsyła nam los – zauważyła.

Przyjrzałem się jej, spróbowałem odczytać wyraz twarzy, zrezygnowałem. Zatem...

– Tak – przyznałem.

Obserwowała mnie, ale ja też niczego nie zdradzałem.

– Jako dziecko odpowiadałeś monosylabami, kiedy byłeś rozdrażniony – przypomniała.

– Tak.

Zaczęliśmy jeść. Nad nieruchomym, czarnym morzem jarzyły się błyskawice. W świetle ostatniej zdawało mi się, że dostrzegam w dali statek pod czarnymi żaglami wypełnionymi wiatrem.

– Spotkałeś się z Mandorem?

– Tak.

– Co u niego?

– W porządku.

– Coś cię niepokoi, Merlinie.

– Wiele spraw.

– Powiesz mamie?

– A jeśli ona jest w nie zamieszana?

– Byłabym rozczarowana, gdyby tak nie było. Ale jak długo masz zamiar się na mnie gniewać o tę ty'igę? Zrobiłam to, co uważałam za słuszne. I nadal uważam.

Skinałem głową, nie przerywając jedzenia. Dopiero po chwili...

– Wyraźnie dałaś to do zrozumienia w ostatnim cyklu – przypomniałem.

Woda chlupnęła cicho. Tęczowa plama przesunęła się po naszym stoliku, po jej twarzy...

– Czy chodzi jeszcze o coś? – spytała.

– A może ty mi powiesz?

Poczułem na sobie jej wzrok. Wytrzymałem go.

– Nie wiem, o czym mówisz – oświadczyła.

– Czy wiedziałaś, że Logrus jest świadomy? – spytałem. – I Wzorzec?

– Mandor ci o tym powiedział?

– Tak, ale wiedziałem już wcześniej.

– Skąd?

– Byliśmy w kontakcie.

– Ty i Wzorzec? Ty i Logrus?

– Jedno i drugie.

– W jakim celu?

– Manipulacji, moim zdaniem. Są zaangażowani w konflikt. Chcieli, żebym się opowiedział po którejś ze stron.

– I którą wybrałeś?

– Żadnej. A co?

– Powinieneś mnie zawiadomić.

- Po co?
- Mogłabym ci doradzić. Być może udzielić pomocy.
- Przeciwno Potęgom wszechświata? Jakie masz powiązania, mam?

Uśmiechnęła się,

- To przecież możliwe, że ktoś taki jak ja dysponuje wyjątkową wiedzą o ich funkcjonowaniu.
- Ktoś taki jak ty...?
- Czarodziejka o moich kwalifikacjach.
- Aż tak jesteś dobra, mam?
- Nie sądzę, by wiele było lepszych, Merlinie.
- No cóż, rodzina zawsze dowiaduje się na końcu. Dlaczego więc sama mnie nie przeszkoliłaś, zamiast odsyłać do Suhuya?

- Nie jestem dobrą nauczycielką. Nie lubię uczyć.
- Uczyłaś Jasrę.

Przechyliła głowę i zmrużyła oczy.

- Czy również Mandor ci o tym powiedział? – zapytała.
- Nie.
- To kiedy się dowiedziałeś?
- Jaka to różnica?

- Istotna – stwierdziła. – Ponieważ nie sądzę, byś o tym wiedział przy naszym ostatnim spotkaniu.

Nagle przypomniałem sobie, że u Suhuya powiedziała coś na temat Jasry, co sugerowało, że ją znała. Zwróciłbym na to uwagę, ale akurat pchałem ładunek niechęci w inną stronę, wśród burzy pędziłem w dół, a hamulce wydawały zabawne Dźwięki. Już chciałem spytać, po co jej informacja, kiedy się dowiedziałem... I zrozumiałem nagle, że tak naprawdę pyta, od kogo. Niepokoi się, z kim mogłem rozmawiać o takich sprawach po naszym niedawnym spotkaniu. Wspomnienie upiora Luke'a nie wydało mi się polityczne.

- No dobrze. Wymknęło się Mandorowi – mruknąłem. – Prosił, żebym zapomniał o całej sprawie.
- Inaczej mówiąc – stwierdziła – oczekiwał, że dowiem się o tym. Dlaczego wybrał taki sposób?

Dziwne. Subtelność tego człowieka może doprowadzić do szału.

- Może po prostu mu się wymknęło.
- Mandorowi nic się nie wymyka. Nie dopuść, by kiedykolwiek został twoim wrogiem.
- Czy mówimy o tej samej osobie?

Pstryknęła palcami.

- Oczywiście. Znałeś go jako dziecko. Potem wyjechałeś. Od tej pory widziałeś go tylko kilka razy. Tak, jest subtelny, podstępny i niebezpieczny.

- Nigdy nie było między nami konfliktów.

– Oczywiście. Nigdy bez powodów nie robi sobie wrogów. Wzruszyłem ramionami i wróciłem do jedzenia.

- Zapewne podobne komentarze wygłaszał na mój temat – odezwała się po chwili.
- Niczego takiego sobie nie przypominam – odparłem.
- Udzielił ci lekcji ostrożności?
- Nie, chociaż mam wrażenie, że powinienem się jej nauczyć.
- Z pewnością w Amberze odebrałeś dobrą szkołę.
- Jeśli nawet, była tak dyskretna, że nie zauważyłem.
- No no... Czy to możliwe, że nie muszę się już o ciebie zamartwiać?
- Wątpię.

- Zatem, czego mógłś chcieć od ciebie Wzorzec albo Logrus?
- Już ci powiedziałem: wyboru jednej ze stron.
- Czy to tak trudno zdecydować, którego z nich wolisz?
- Trudno zdecydować, którego mniej nie lubię.
- Ponieważ mają skłonność, by w swej walce o władzę, jak to określiłeś, manipulować ludźmi?
- Właśnie.

Roześmiała się.

– Wprawdzie dowodzi to, że nasi bogowie nie są lepsi od nas – powiedziała – ale przynajmniej świadczy, że nie są też od nas gorsi. Widzisz tutaj źródła ludzkiej moralności. Ale lepsza taka niż żadna. Jeśli te fakty nie wystarczają ci do dokonania wyboru, niech decydują inne przesłanki. Jesteś przecież synem Chaosu.

- I Amberu – przypomniałem.
- Wychowałeś się w Dworcach.
- I mieszkałem w Amberze. Moi krewni są tam równie liczni jak tutaj.
- Więc naprawdę tak trudno wybrać?
- Gdyby nie to, sprawy byłyby o wiele prostsze.
- W takim razie – stwierdziła – spójrz na to z drugiej strony.
- Co masz na myśli?
- Nie pytaj, którego z nich wolisz, ale który może więcej dla ciebie zrobić.

Łyknąłem znakomitej zielonej herbaty. Sztorm przesunął się bliżej brzegu. Coś pluskało w wodach zatoczki.

- No dobrze – rzuciłem. – Pytam.

Pochyliła się i uśmiechnęła, a oczy jej pociemniały. Zawsze perfekcyjnie panowała nad swoją twarzą i figurą, zmieniając je tak, by odpowiadały jej nastrojom. Jest wyraźnie tą samą osobą, jednak czasem wygląda na młodą dziewczynę, kiedy indziej na dojrzałą, piękną kobietę. Zwykle jest czymś pomiędzy. Teraz jednak w jej rysach pojawiła się jakby ponadczasowość – nie tyle wiek, ile esencja Czasu – i nagle uświadomiłem sobie, że nie wiem, ile właściwie ma lat. Patrzyłem, jak po jej twarzy przesunęła się jakby zasłona starożytnej potęgi.

- Logrus – powiedziała – poprowadzi cię do wielkości. Patrzyłem nieruchomo.

- Jakiej wielkości? – spytałem.

- A jakiej pragniesz?

– Nie pamiętam, żebym kiedyś pragnął wielkości samej w sobie. To tak, jakbym chciał być inżynierem zamiast coś zaprojektować. Albo być pisarzem zamiast pisać. Byłbym wtedy produktem ubocznym, nie rzeczą samą w sobie. To tylko zaspokaja próżność.

- Ale jeśli zdobędziesz ją... zasłużysz na nią... czy nie powinieneś jej zyskać?

– Chyba tak. Ale jak dotąd niczego nie zrobiłem... – Mój wzrok padł na jaskrawy krąg pod ciemnymi wodami. Przesuwał się, jakby uciekał przed sztormem. – ...Może oprócz niezwykłego urządzenia, które można rozważać w kategoriach wielkości.

– Jesteś jeszcze młody – zauważyła. – A czasy, w których twoje kwalifikacje miały być wyjątkowo przydatne, nadeszły szybciej, niż się spodziewałam.

Gdybym czarami sprowadził sobie filiżankę kawy, czy byłaby urażona? Chyba tak. Zdecydowałem się więc na kieliszek wina. Nalałem sobie i spróbowałem.

- Obawiam się, że nie rozumiem, o czym mówisz – oświadczyłem. Pokiwała głową.

– Raczej trudno by ci było dowiedzieć się tego z własnych doświadczeń – stwierdziła powoli. – A nikt nie byłby skory, by wspomnieć ci o tej możliwości.

– O czym ty mówisz, mammo?

– O tronie. O panowaniu w Dworcach Chaosu.

– Chyba Mandor sugerował, żebym o tym pomyślał – zauważyłem.

– No dobrze. Nikt prócz Mandora nie byłby tak skory, by ci o tym wspomnieć.

– Jak rozumiem, matki czują rozkosz, widząc synów dobrze urządzonych. Niestety, wymieniłaś zawód, do którego brakuje mi nie tylko uzdolnień, praktyki i wykształcenia, ale też chęci.

Złożyła razem czubki palców i spoglądała na mnie tuż nad nimi.

– Masz lepsze kwalifikacje, niż sądzisz, a twoje chęci nie mają tu nic do rzeczy.

– Jako osoba bezpośrednio zainteresowana, nie mogę się z tobą zgodzić.

– Nawet gdyby był to jedyny sposób, by ochronić przyjaciół i krewnych tutaj i w Amberze?

Łyknąłem wina.

– Chronić ich? Przed czym?

– Wzorzec spróbuje wkrótce przebudować na własne podobieństwo centralne obszary Cienia. Jest już chyba dostatecznie silny, by to zrobić.

– Mówiłaś o Amberze i Dworcach, nie o Cieniu.

– Logrus musi przeciwstawić się temu wtargnięciu. Ponieważ przegrałby zapewne w bezpośrednim starciu, musi strategicznie wykorzystać agentów. A najskuteczniejsi z agentów będą reprezentować Dworce w boju...

– To szaleństwo! – przerwałem. – Musi być lepszy sposób!

– Możliwe – przyznała. – Zasiądź na tronie, a wtedy ty będziesz wydawał rozkazy.

– Nie znam się na tym.

– Otrzymasz porady, naturalnie.

– A co z właściwym porządkiem sukcesji?

– To już nie twój problem.

– Myślę jednak, że powinno mnie interesować, jak rzecz zostanie osiągnięta... powiedzmy, czy tobie czy Mandorowi mam być wdzięczny za większość zgonów.

– Jako że oboje należymy do rodu Sawall, jest to problem czysto akademicki.

– Chcesz powiedzieć, że współpracujecie ze sobą?

– Są między nami różnice. I nie mam zamiaru dyskutować o metodach.

Westchnąłem i łyknąłem wina. Sztorm szalał nad czarnymi wodami. Jeśli ten dziwny błysk światła pod powierzchnią to rzeczywiście Ghostwheel, zastanawiałem się, co tam robi. Błyskawice tworzyły niegasnące tło, a grzmoty ciągnęły ścieżkę Dźwiękową.

– Co miałaś na myśli, wspominając o czasach, w których moje kwalifikacje miały być wyjątkowo przydatne? – zapytałem.

– Teraźniejszość i najbliższą przyszłość.

– Nie, chodzi mi o te wyjątkowe kwalifikacje. Co to znaczy?

To z pewnością błyskawice... Przecież nigdy jeszcze nie widziałem, żeby się zarumieniła.

– Łączysz w sobie dwie wspaniałe linie – powiedziała. – Formalnie rzecz biorąc, twój ojciec był królem Amberu... krótko, między panowaniem Oberona i Eryka.

– Ponieważ Oberon żył jeszcze w tym czasie i nie abdykował, żaden z nich nie był prawowitym władcą – odparłem. – Następcą Oberona jest Random.

– Można użyć argumentu domyślnej abdykacji – zauważyła.

– Taka interpretacja bardziej ci odpowiada, prawda?

– Oczywiście.

Popatrzyłem na sztorm. Wypiłem trochę wina.

– I dlatego chciałaś urodzić dziecko Corwina?

– Logrus zapewnił mnie, że takie dziecko będzie szczególnie uzdolnione do objęcia tutaj władzy.

– Ale tato właściwie się dla ciebie nie liczył?

Odwróciła głowę w kierunku, skąd pędził ku nam krąg światła. Błyskawice uderzały tuż za nim.

– Nie masz prawa zadawać mi takich pytań – oświadczyła.

– Wiem o tym. Ale to prawda, zgadłem?

– Mylisz się. Znaczył dla mnie bardzo wiele.

– Jednak nie w sensie konwencjonalnym.

– Nie jestem konwencjonalną osobą.

– Jestem wynikiem eksperymentu hodowlanego. Logrus wybrał partnera, który miał ci dać idealnego... kogo?

Krążek światła podpłynął do zatoki. Sztorm ścigał go do brzegu – bliżej, niż kiedykolwiek widziałem.

– Idealnego Lorda Chaosu – odrzekła. – Zdolnego tu rządzić.

– Mam dziwne wrażenie, że chodziło o coś więcej.

Uskakując przed błyskawicami, jasny krąg wyskoczył z wody i przemknął po piasku do nas. Jeśli nawet odpowiedziała na moją ostatnią uwagę, już tego nie słyszałem. Grzmoty ogłuszały.

Światło wpłynęło na platformę i znieruchomiało obok mojej stopy.

– Tato, możesz mnie obronić? – spytał Ghost w chwili ciszy między trzaskami piorunów.

– Wejź mi na lewy przegub – poleciłem.

Dara przyglądała się bez słowa, jak zajmuje miejsce i przybiera postać Frakir. Tymczasem ostatnia błyskawica nie gasła, lecz trwała przez długą chwilę niby skwiercząca łodyga na granicy wody i ładu. Potem skupiła się w kulę, zawisła na chwilę w powietrzu i popłynęła w naszą stronę. Zbliżając się, zaczęła zmieniać strukturę.

Obok naszego stolika stała się jasnym, pulsującym Znakiem Logrusu.

– Księżno Daro, książę Merlinie – rozległ się ten straszny głos, który ostatnio słyszałem w dniu starcia na korytarzu zamku Amber. – Nie chcę przeszkadzać wam w posiłku, lecz zmusza mnie do tego przedmiot, który chronicie.

Zygzakowate odgałęzienie wizerunku strzeliło w stronę mojej ręki.

– On blokuje mi możliwość przeskoku – poskarżył się Ghost.

– Dajcie mi go!

– Dlaczego? – zapytałem.

– Ten przedmiot przeszedł Logrus – nadpłynęły słowa, na pozór losowo zmieniając wysokość, głośność i akcent.

Pomyślałem, że mogę się sprzeciwić... jeśli naprawdę jestem dla Logrusu taki ważny, jak sugerowała Dara. Zatem...

– Teoretycznie jest to dozwolone każdemu, kto tam trafi – przypomniałem.

– Ja stanowią dla siebie prawa, Merlinie. A twój Ghostwheel już raz stanął mi na drodze. Teraz go dostanę.

– Nie – odparłem, przenosząc świadomość do spikarda. Odnalazłem środki natychmiastowego transportu w obszar będący pod władzą Wzorca. – Nie oddam tak łatwo mojej kreacji.

Znak zajaśniał mocniej.

Dara poderwała się i stanęła między nim a mną.

– Przestań – powiedziała. – Mamy ważniejsze sprawy niż zemsta na zabawce. Wysłałam swoich kuzynów Hendrake'ów po oblubienicę Chaosu. Jeśli chcesz, żeby ten zamiar się powiódł, sugeruję,

żebyś im pomógł.

– Pamiętam twój plan dotyczący księcia Branda. Podsunęłaś mu lady Jasrę, by go usidliła. To musi się udać, mówiłaś.

– Bliżej niż ktokolwiek inny doprowadziłam cię do władzy, której pragniesz, stary Wężu.

– To prawda – przyznał.

– A nosicielka Oka jest istotą prostszą od Jasry.

Znak przesunął się obok niej – maleńkie słońce zmieniające się w ciąg ideogramów.

– Merlinie, czy zasiądziesz na tronie i będziesz mi służył, gdy nadejdzie czas?

– Uczynię wszystko, co konieczne, by przywrócić równowagę sił – odpowiedziałem.

– Nie o to pytałem! Czy weźmiesz koronę na warunkach, jakie ustaliłem?

– Jeśli tego będzie wymagała sytuacja.

– To mi wystarczy – oświadczył. – Zachowaj swoją zabawkę.

Dara odsunęła się, a Znak przepłynął obok niej i zniknął.

– Zapytaj go o Luke'a, Corwina i nowy Wzorzec – powiedział jeszcze i rozwiął się.

Odwróciła się do mnie i spojrzała z uwagą.

– Nalej mi wina – poleciła. Nalałem.

– A zatem opowiedz mi o Luke'u, Corwinie i nowym Wzorcu.

– Powiedz mi o Jaszrze i Brandzie.

– Nie. W tej sprawie ty masz pierwszeństwo.

– Jak chcesz – zgodziłem się. – Nie wspomniałem ci, że byli upiorami Wzorca. Luke zjawił się przy mnie w drodze tutaj. Posłał go Wzorzec. Miał mnie przekonać, żebym porzucił tę krainę. Logrus wysłał lorda Borela, żeby pozbył się Luke'a.

– Luke'a, czyli Rinalda, syna Jasry i Branda, męża Coral i króla Kashfy?

– Brawo. A teraz opowiedz mi o tej historii. Podsunęłaś Brandowi Jasrę, żeby go usidliła i skierowała na ścieżkę, którą podążył?

– I tak poszedłby tą drogą. Przybył do Dworców, szukając mocy, by zrealizować swe cele. Jasra trochę mu tylko ułatwiła pewne rzeczy.

– Brzmiało to całkiem inaczej. Ale czy to oznacza, że klątwa ojca nie była tu istotnym czynnikiem?

– Nie. Pomogła... w sensie metafizycznym... przedłużyć Czarną Drogę do Amberu. Jak to się stało, że wciąż tu jesteś, gdy król Rinaldo radził ci odejść? Czy to lojalność wobec Dworców?

– Umówiłem się z tobą na obiad, a dawno już nie jedliśmy razem. Nie chciałbym stracić okazji.

Uśmiechnęła się ledwie dostrzegalnie i łyknęła wina.

– Doskonale zmieniasz temat – zauważyła. – Wróćmy do niego. Upiór Borela zabił upióra Rinalda.

Dobrze rozumiałam?

– Niezupełnie.

– Co to ma znaczyć?

– Pojawił się upiór mojego ojca i rozprawił się z Borelem. Dzięki temu mogliśmy odejść.

– Znowu? Corwin znowu pokonał Borela?

Przytaknąłem.

– Naturalnie, żaden z nich nie pamiętał pierwszego spotkania. Ich wspomnienia sięgają tylko chwili zapisu i...

– Pojmuję zasadę. Co było potem?

– Uciekliśmy – wyjaśniłem. – A później przyszedłem tutaj.

– O co chodziło Logrusowi, kiedy wspominał o nowym Wzorcu?

– Upiór ojca został najwyraźniej stworzony właśnie przez niego, nie przez oryginał w Amberze.

Wyprostowała się nagle, szeroko otwierając oczy.

– Skąd o tym wiesz? – zapytała ostro.

– Powiedział mi – wyjaśniłem.

Patrzyła poza mnie, na spokojne już morze.

– A więc trzecia potęga zaczyna uczestniczyć w wydarzeniach – szepnęła. – To fascynujące i niepokojące równocześnie. Niech licho go porwie za to, że go wykreślił!

– Naprawdę go nienawidzisz? – spytałem.

Znowu spojrzała mi w oczy.

– Zostawmy ten temat – rozkazała. – Jeszcze tylko jedno – poprawiła się w chwilę później. – Czy sugerował może, po której stronie stoi nowy Wzorzec albo jakie ma plany? Fakt, że wysłał go w obronie Luke'a można zrozumieć tak, że wspiera działania starego Wzorca.

Z drugiej strony... może dlatego, że został stworzony przez twojego ojca, a może ma własne plany względem ciebie... dostrzegam w tym jedynie zapewnienie tobie ochrony. Co mówił?

– Że chciał mnie zabrać z tego miejsca, gdzie wtedy byłem.

Pokiwała głową.

– I najwyraźniej tego dokonał – mruknęła. – Mówił coś jeszcze? Czy zdarzyło się cokolwiek, co może okazać się ważne?

– Pytał o ciebie.

– Doprawdy? I to wszystko?

– Nie przekazał mi żadnej wiadomości, jeśli o to ci chodzi.

– Rozumiem.

Odwróciła głowę i zamilkła.

– Te upiory nie żyją długo, prawda? – zapytała po chwili.

– Nie.

– To denerwujące – stwierdziła w końcu. – Pomyśleć, że mimo wszystko nadal potrafi wtrącać się do gry.

– On żyje, prawda, mamó? – spytałem. – A ty wiesz, gdzie jest.

– Nie jestem jego strażnikiem, Merlinie.

– Myślę, że jesteś.

– To impertynencja tak mi się sprzeciwiać.

– Muszę jednak – oświadczyłem. – Widziałem, jak wyruszał do Dworców. Z pewnością chciał tu być z innymi, by podpisać traktat pokojowy. Ale jeszcze bardziej chciał pewnie zobaczyć ciebie. Tak wiele dręczyło go pytań, na które nie znał odpowiedzi: skąd przyszłaś, czemu go szukałaś, dlaczego odeszłaś w taki sposób...

– Dość! – krzyknęła. – Nie mówmy o tym!

Zignorowałem te słowa.

– I wiem, że był tutaj, w Dworcach. Widziano go. Z pewnością cię odszukał. Co się wtedy stało? Jakich udzieliłaś mu wyjaśnień?

Zerwała się i spojrzała na mnie ze złością.

– To już wszystko, Merlinie – rzekła. – Mam wrażenie, że kulturalna rozmowa z tobą jest niemożliwa.

– Czy jest twoim więźniem, mamó? Czy zamknęłaś go gdzieś, żeby ci nie przeszkadzał, nie utrudniał realizacji twoich planów?

Pospiesznie odeszła od stołu. Niemal się potknęła.

– Nieznośny dzieciaku! Jesteś taki sam jak on! Dlaczego musisz być taki do niego podobny?



– Boisz się go, prawda? – powiedziałem, pojmując nagle, że to całkiem możliwe. – Boisz się zabić księcia Amberu, nawet mając po swojej stronie Logrus. Uwięziłaś go, a teraz się boisz, że wyrwie się i zepsuje ci plany. Od dawna czujesz lęk z powodu tego, co musiałaś uczynić, by usunąć go z drogi.

– To nonsens! – zawołała. Okrążyłem stolik. Cofnęła się. Na jej twarzy pojawił się wyraz prawdziwego strachu. – Zgadujesz tylko! – mówiła dalej. – On nie żyje, Merlinie! Zrezygnuj! Daj mi spokój! Nigdy więcej nie wymieniaj przy mnie jego imienia! Tak, nienawidzę go! Zniszczyłby nas wszystkich! Nadal by próbował, gdyby tylko mógł!

– On nie zginął – oznajmiłem.

– Skąd możesz wiedzieć?

Stłumiłem chęć, by jej powiedzieć, że z nim rozmawiałem.

– Tylko winni tak głośno protestują – stwierdziłem. – On żyje. Gdzie jest?

Uniosła ręce, dłońmi do wnętrza, i skrzyżowała je na piersi, nisko trzymając łokcie. Zniknął strach, zniknął gniew. Kiedy znów się odezwała, w jej głosie brzmiała drwina.

– Zatem szukaj go, Merlinie. Szukaj go koniecznie.

– Gdzie? – zapytałem.

– Szukaj go w Otchłani Chaosu.

Płomień zajaśniał obok jej lewej stopy i zaczął orbitować wokół ciała przeciwnie do ruchu wskazówek zegara. Pozostawiał za sobą rozjarzoną czerwienią linię ognia. Gdy dotarł do czubka głowy, przesłonił ją całkowicie. A potem zgasł z cichym sykiem, zabierając ją ze sobą.

Podszedłem, przyklęknąłem, zbadałem miejsce, gdzie przed chwilą stała. Trochę cieplejsze, to wszystko. Ładne zaklęcie. Nikt mnie takiego nie nauczył. Chociaż, kiedy się chwilę zastanowiłem, przypomniałem sobie, że mama zawsze lubiła efektowne wejścia i wyjścia.

– Ghost?

Przetańczył z mojej ręki i zawisł w powietrzu.

– Tak?

– Czy nadal nie możesz przemieszczać się w Cieniu?

– Nie. Zakaz zniknął, kiedy oddalił się Znak Logrusu. Mogę podróżować do Cienia i z Cienia. Mogę cię przetransportować. Chcesz?

– Tak. Przenieś mnie do galerii na górze.

– Galerii? Zanurkowałem z komory Logrusu prosto w to ciemne morze, tato. Nie znam tych okolic.

– Nieważne – mruknąłem. – Sam sobie poradzę.

Ożywiłem spikard. Linie sił sięgnęły spiralą z sześciu promieni, oplotły Ghosta i mnie, poniosły wirami ku miejscu moich pragnień w Labiryncie Sztuki. Znikając próbowałem wywołać błysk ognia, ale nie wiedziałem, czy mi się udało. Ciekawe, jak ci naprawdę dobrze zdobywają praktykę.

# Rozdział 7

Dostarczyłem nas do tej niesamowitej sali, ulubionego miejsca starego Sawalla. Był tu ogród z rzeźbami. Nie miał zewnętrznego oświetlenia, jedynie przy największych posągach podłogowe, przez co panował tu półmrok o kilka odcieni ciemniejszy, niż by mi odpowiadał. Podłoga była nierówna – wklęsła, wypukła, ukośna, żłobkowana – jednak dominowały krzywe wklęsłe. Trudno ocenić rozmiar tej sali, gdyż za każdym razem wydawał się inny, zależnie od miejsca, gdzie człowiek stanął. Gramble, lord Sawall, nakazał zbudować ją bez żadnych płaskich powierzchni i zadanie to wymagało chyba wyjątkowego kunsztu cieniomistrzostwa.

Stałem przed czymś, co przypominało skomplikowane olinowanie bez odpowiedniego statku – albo złożony instrument muzyczny, którego strunami mieli szarpać Tytani. Światło zmieniało liny w smugi srebra, jak żywe płynęło z mroku w mrok w granicach jakiejś na wpół dostrzegalnej ramy. Inne rzeźby sterczały ze ścian albo wisiały jak stalaktyty. Szedłem, a to, co przed chwilą wydawało się ścianą, stało się dla mnie podłogą. Elementy stojące teraz znalazły się na ścianach albo zwisały ze stropu. Pomieszczenie zmieniało kształt. Lekka bryza wywoływała szумы, westchnienia, brzęczenia i dzwonki. Gramble'owi, mojemu ojczymowi, pomieszczenie to sprawiało estetyczną satysfakcję, dla mnie jednak każde przekroczenie progu było próbą odwagi. Później dorosłem i także zacząłem je lubić, po części z powodu okazjonalnych frisson, jakich dostarczało w okresie dorastania. Teraz jednak... teraz chciałem tylko pospacerować tu chwilę, przez pamięć dawnych dni... i poukładać jakoś swoje myśli. Zbyt wiele ich było. Problemy, które wabiły mnie przez większą część dorosłego życia, teraz zbliżały się chyba do rozwiązania. Nie byłem zadowolony ze wszystkich możliwości, jakie wirowały w umyśle. Mimo wszystko nieważne, która z nich okaże się prawdziwa. Zawsze będzie lepsza od ignorancji.

– Tato...

– Słucham?

– Co to za miejsce? – zapytał Ghost.

– Część wielkiej kolekcji dzieł sztuki Linii Sawall – wyjaśniłem. – Przychodzą ją oglądać ludzie z całych Dworców i pobliskich cieni. To była pasja mojego ojczyma. Jako dziecko często włączyłem się po tych korytarzach. Mogą tu być ukryte przejścia.

– A ten pokój? Coś w nim jest nie w porządku.

– Tak i nie – odparłem. – Zależy, co masz na myśli, mówiąc "nie w porządku".

– Dziwnie wpływa na moją percepcję.

– To dlatego, że sama przestrzeń zwija się tutaj jak origami. Sala jest o wiele większa, niż się wydaje. Wiele razy można tędy przechodzić i stale widzieć inny układ elementów. Możliwe, że w grę wchodzi też jakieś wewnętrzne przesunięcia. Nigdy nie mogłem się przekonać. Tylko Sawall wiedział to na pewno.

– Miałem rację. Coś tu jest nie w porządku.

– A mnie się podoba.

Usiadłem na srebrnym pniaku obok powalonego srebrnego drzewa.

– Mogę zobaczyć, jak się zwija? – zapytał po chwili.

– Proszę bardzo.

Odpłynął, a ja zacząłem rozważać niedawną rozmowę z mamą. Przypomniałem sobie wszystko, o czym wspominał czy co sugerował Mandor, o konflikcie między Wzorcem i Logrusem, o ojcu jako reprezentancie Wzorca i przyszłym królu Amberu. Czy wiedziała o tym i знаła te sprawy jako fakty, nie jako domysły? Uznałem, że to możliwe, gdyż szczególny związek łączył ją z Logrusem, a ten z

pewnością wiedział o najważniejszych decyzjach swego przeciwnika. Przyznała, że nie kochała ojca. W takim razie szukała go chyba po to, by zdobyć ten materiał genetyczny, który wywarł takie wrażenie na Logrusie. Czy naprawdę chciała wyhodować reprezentanta Chaosu?

Parsknąłem śmiechem, myśląc o wynikach tego eksperymentu. Dopilnowała, żebym uczył się posługiwać bronią, ale daleko mi było do klasy ojca. Wołałem magię, ale czarodziejów było w Dworcach pod dostatkiem. W końcu wysłała mnie do college'u w ulubionym cieniu Amberytów. Ale dyplom informatyki z Berkeley też nie kwalifikował mnie, bym poniósł sztandar Chaosu przeciwko siłom Porządku. Z pewnością ją zawiodłem.

Wróciłem myślą do dzieciństwa, do niezwykłych przygód, dla których to miejsce było punktem początkowym. Gryll i ja przychodziliśmy tutaj, Glait pełzała u naszych stóp, oplatała mi rękę albo chowała się gdzieś w ubraniu. Wydawałem dziwny, melodyjny krzyk, jakiego nauczyłem się we śnie, i czasami dołączał do nas Kergma. Wynurzał się z fałd ciemności, z jakiegoś luźnego zakątka zwiniętej przestrzeni. Nie byłem pewien, czym właściwie był Kergma ani nawet jakiej był płci. Jako zmiennokształtny, fruwał, pełzał, skakał albo biegał w licznych bardzo interesujących formach.

Pod wpływem nagiego impulsu wykrzyczałem ten dawny zew. Oczywiście, nic się nie stało i po chwili zrozumiałem, co to właściwie było – wołanie za utraconym dzieciństwem, kiedy przynajmniej czułem się kochany. A teraz... teraz byłem nikim: ani Amberytą, ani Chaosytą, i z pewnością rozczarowaniem dla krewnych z obu stron. Byłem nieudanym eksperymentem. Nikt nie chciał mnie dla mnie samego, ale jako coś, co może się spełnić. Nagle oczy mi zwilgotniały stłumiłem szloch. Nigdy się nie dowiem, do jakiego rozpaczliwego nastroju bym się tam doprowadził, ponieważ właśnie wtedy coś odwróciło moją uwagę.

Wysoko na lewej ścianie rozbłysło czerwone światło. Miało formę niedużego kręgu wokół stóp człowieka.

– Merlinie – odezwał się głos z tamtej strony i płomień wzniósł się wyżej.

W ich blasku dostrzegłem znajomą twarz, podobną trochę do mojej. Z zadowoleniem przyjąłem nowy sens, jaki nadała mojemu życiu – nawet jeśli tym sensem była śmierć.

Uniosłem nad głowę lewą rękę i sprowadziłem ze spikarda błękitny rozbłysk.

– Tutaj, Jurt! – krzyknąłem wstając.

Zacząłem formować kulę światła, która miała odwrócić jego uwagę. Tymczasem moje uderzenie powinno go usmażyć. Kiedy się dobrze zastanowić, to chyba najpewniejszy sposób, żeby go usunąć. Straciłem już rachubę, ile razy próbował mnie zabić. Postanowiłem przejąć inicjatywę. Wypalenie systemu nerwowego powinno załatwić sprawę raz na zawsze, pomimo wszystkiego, co zyskał w Fontannie.

– Tutaj, Jurt!

– Merlinie! Chcę porozmawiać!

– A ja nie. Zbyt często próbowałem, a teraz nie mam już nic do powiedzenia. Podejdz i załatwimy tę sprawę ostatecznie, na broń, gołe ręce albo czary. Nie dbam o to.

Podniósł ręce dłońmi na zewnątrz.

– Pokój! – zawołał. – Nie możemy tego zrobić tutaj, w Liniach Sawall.

– Nie truj mi o skrupałach, bracie!

Ale już mówiąc to, zrozumiałem, że wcale nie przesadza. Pamiętałem, jak wiele dla niego znaczyła aprobatą ojca i uświadomiłem sobie, że za żadną cenę nie chciałby rozgniewać Dary.

– A czego właściwie chcesz?

– Porozmawiać. Naprawdę – zapewnił. – Co mam zrobić?

– Spotkać się ze mną tutaj. – Pchnąłem moją świetlną kulę, by zajaśniała nad znajomym obiektem.

Wyglądał jak gigantyczny domek z kart szklanych i aluminiowych, setką płaszczyzn odbijający światło.

– Zgoda – usłyszałem odpowiedź.

Ruszyłem w tamtą stronę. Zobaczyłem, że i on się zbliża, więc zmieniłem kierunek, by nasze drogi się nie skrzyżowały. Przyspieszyłem też kroku, by dotrzeć na miejsce przed nim.

– Żadnych sztuczek! – krzyknąłem. – A jeśli uznamy, że trzeba to doprowadzić do końca, wyjdziemy na zewnątrz.

– Dobrze.

Wkroczyłem do wnętrza z innej strony niż on. Natychmiast spotkałem sześć moich odbić.

– Dlaczego tutaj? – Głos dobiegał z bliska.

– Nie widziałeś pewnie filmu Dama z Szanghaju!

– Nie.

– Pomyślałem, że możemy tu chodzić i rozmawiać, a w takim czymś trudno nam będzie zrobić sobie krzywdę.

Skręciłem. Więcej mnie pojawiło się w rozmaitych miejscach. Usłyszałem gwałtowny oddech, a potem chichot.

– Zaczynam rozumieć – powiedział.

Trzy kroki i następny zakręt. Zatrzymałem się. Było tu dwóch Jurtów i dwóch Merlinów. Ale nie patrzył na mnie. Powoli sięgnąłem do jednego z obrazów. Obejrzał się, zobaczył mnie, otworzył usta, cofnął się natychmiast i zniknął.

– O czym chciałeś porozmawiać? – spytałem.

– Nie bardzo wiem, od czego zacząć.

– Takie życie.

– Bardzo zdenerwowałaś Darę...

– Szybki jesteś. Zostawiłem ją dziesięć, może piętnaście minut temu. Mieszkasz tutaj, w Sawall?

– Tak. I wiedziałem, że ma zjeść z tobą obiad. Widziałem ją przelotnie chwilę temu.

– Ona też nie poprawiła mi nastroju. Skręciłem za róg i przeszedłem przez otwór akurat na czas, by zobaczyć, że uśmiecha się lekko.

– Taka już jest. Znam ją – powiedział. – Mówiła, że przy deserze wpadł Logrus.

– Tak.

– Twierdzi, że chyba ciebie wybrał na tron.

Miałem nadzieję, że zobaczył moje wzruszenie ramion.

– Na to wygląda. Ale ja nie chcę korony.

– Powiedziałeś, że ją przyjmiesz.

– Tylko jeśli nie będzie innego sposobu, żeby przywrócić równowagę sił. Jako ostatnią szansę. Jestem pewien, że do tego nie dojdzie.

– Ale on cię wybrał.

Znowu ruch ramion.

– Tmer i Tubble mnie wyprzedzają.

– To bez znaczenia. Wiesz, że ja chciałem korony.

– Wiem. Moim zdaniem to dość idiotyczny wybór kariery. Otoczył mnie nagle.

– Teraz też tak myślę – przyznał. – Ale już od pewnego czasu dochodziłem do takich wniosków, zanim jeszcze zostałeś naznaczony. Przy każdym naszym spotkaniu wierzyłem, że mam przewagę, i za każdym razem coraz mniej brakowało, żebyś mnie zabił.

– Rzeczywiście, było coraz gorzej.

– Ostatnio... w tym kościele w Kashfie... byłem pewien, że w końcu cię załatwię. Tymczasem ty prawie mnie wykończyłeś.

– Powiedzmy, że Dara albo Mandor usuną Tmera i Tubble'a. Wiedziałeś, że moją osobą sam będziesz musiał się zająć. Ale co z Despilem?

– Ustąpiłby mi miejsca.

– Pytałeś go?

– Nie. Ale jestem pewien. Ruszyłem dalej.

– Zawsze zbyt wiele zakładałeś, Jurt.

– Może masz rację – przyznał, pojawiając się i znikając znowu. – Wszystko jedno. To już nieważne.

– Dlaczego nie?

– Rezygnuję. Wycofuję się z wyścigu. Do diabła z tym wszystkim.

– Skąd taki pomysł?

– Nawet gdyby Logrus nie dał nam wyraźnie poznać swoich intencji, i tak zaczynałem się denerwować. Nie chodzi mi o strach, że to ty mnie zabijesz. Zacząłem myśleć o sobie i o sukcesji. A gdybym zasiadł na tronie? Nie byłem już taki pewny jak kiedyś, że umiem sprawować władzę. – Skręciłem jeszcze raz, dostrzegłem, jak oblizuje wargi i marszczy brwi. – Mógłbym wpakować królestwo w prawdziwe kłopoty – mówił dalej. – Chyba że ktoś by mi doradzał. I sam wiesz, że w końcu rady przyszły by od Mandora albo od Dary. I skończyłbym jako marionetka.

– Prawdopodobnie. Ale zaciekawileś mnie. Kiedy zacząłeś myśleć w taki sposób? Czy miało to jakiś związek z twoją kąpielą w Fontannie? Czy też moja interwencja pchnęła cię na właściwą drogę?

– Możliwe, że coś w tym jest – mruknął. – Cieszę się teraz, że nie doszedłem do końca. Podejrzewam, że mogło mnie to doprowadzić do obłądzenia, jak Branda. A może to było coś innego... Albo... sam nie wiem.

Zapadła cisza. Szedłem korytarzem, a moje zdziwione odbicia dotrzymywały mi kroku.

– Ona nie chce, żebym cię zabił – wyrzucił w końcu gdzieś z prawej strony.

– Julia?

– Tak.

– Co z nią?

– Wraca do zdrowia. Wyjątkowo szybko.

– Jest tutaj, w Sawall?

– Tak.

– Posłuchaj, chciałbym się z nią zobaczyć. Ale jeśli nie ma ochoty, zrozumieć. Nie wiedziałem, że to ona, kiedy pchnąłem Maskę sztyletem. Przepraszam.

– Nigdy tak naprawdę nie chciała cię skrzywdzić. Z Jasrą prowadziła walkę. Z tobą to była tylko skomplikowana gra. Miała zamiar ci udowodnić, że jest równie dobra, a może i lepsza od ciebie. Chciała ci pokazać, co odrzuciłeś.

– Przykro mi – mruknąłem.

– Powiedz mi jedno – poprosił. – Kochałeś ją? Czy naprawdę ją kochałeś?

Nie od razu mu odpowiedziałem. W końcu wiele razy sam sobie zadawałem to pytanie i też musiałem czekać na odpowiedź.

– Tak – stwierdziłem wreszcie. – Ale nie uświadamiałem sobie tego, dopóki nie było za późno. Źle wyliczyłem czas.

Po długiej chwili zapytałem:

– A co z tobą?

– Nie popełnię tego samego błędu. To dzięki niej zacząłem się nad tym wszystkim zastanawiać.

– Rozumiem. Gdyby nie chciała mnie widzieć, przekaż jej, że przepraszam... za wszystko.

Nie odpowiadał. Przez chwilę czekałem bez ruchu w nadziei, że mnie dogoni. Nic z tego.

Wreszcie...

– W porządku! – zawołałem. – Jeżeli chodzi o mnie, nasz pojedynek dobiegł końca.

Ruszyłem dalej. Po chwili dotarłem do wyjścia i przekroczyłem próg.

Czekał na zewnątrz, oglądając masywne, porcelanowe oblicze.

– Dobrze – powiedział. Podszedłem bliżej.

– Jest jeszcze coś – dodał, wciąż nie patrząc na mnie.

– Tak?

– Sądzę, że grają znaczonymi kartami – oświadczył.

– Kto? Jak? Po co?

– Mama i Logrus. Żeby posadzić cię na tronie. Kto jest oblubienicą Klejnotu?

– To chyba Coral. Słyszałem, jak Dara użyła takiego określenia. A bo co?

– W poprzednim cyklu podsłuchiwałem, jak wydawała instrukcje któremuś z krewnych z Hendrake'ów. Wysłała grupę specjalną, żeby porwać i sprowadzić tutaj tę kobietę. Odniosłem wrażenie, że ma zostać twoją królową.

– To śmieszne. Wyszła za mojego przyjaciela Luke'a. Jest królową Kashfy...

Wzruszył ramionami.

– Powtarzam tylko, co słyszałem. Pewnie ma to jakiś związek z tą równowagą sił.

Rzeczywiście. Nie pomyślałem o takiej możliwości, ale była całkiem sensowna. Wraz z Coral, Dworce automatycznie zdobędą Klejnot Wszechnocy czy też Oko Węża, jak go tutaj nazywano. Z pewnością wpłynie to na układ sił. Strata Amberu, zysk Dworców. Może wystarczy, by doprowadzić do tego, czego pragnąłem: harmonii, która potrafiłaby odsunąć katastrofę w daleką przyszłość. Szkoda, że nie mogę do tego dopuścić. Biedna dziewczyna i tak zbyt wiele już wycierpiała tylko dlatego, że w nieodpowiedniej chwili znalazła się w Amberze i poczuła do mnie sympatię. Pamiętam, że kiedyś podchodziłem do tego filozoficznie i abstrakcyjnie uznawałem, że owszem, dla powszechnego dobra można poświęcić jednego niewinnego. To było jeszcze na studiach i miało związek z zasadami. Ale Coral była moją przyjaciółką, moją kuzynką i – formalnie rzecz biorąc – moją kochanką, choć ze względu na okoliczności trudno to uwzględniać. Szybka kontrola uczuć – żebym znowu nie dał się zaskoczyć – wykazała, że mógłbym się w niej zakochać. Wszystko to oznaczało, że filozofia przegrała kolejną rundę ze światem realnym.

– Jak dawno posłała tych ludzi, Jurt?

– Nie wiem, kiedy wyruszyli... ani nawet czy w ogóle już wyruszyli – odparł. – A wobec różnicy czasu, mogli równie dobrze pojechać tam i już wrócić.

– Fakt – mruknąłem. – Niech to szlag...

Spojrzał na mnie.

– To ważne pod wieloma względami, jak przypuszczam?

– Ważne jest dla niej, a ona dla mnie – wyjaśniłem.

Zdziwił się wyraźnie.

– W takim razie – stwierdził – dlaczego zwyczajnie nie pozwolisz, żeby ci ją przyprowadzili? Skoro już musisz zasiąść na tronie, to ci osłodzi życie. A jeśli nie, to przynajmniej będziesz ją miał przy sobie.

– Trudno ukrywać uczucia, nawet wśród nie-czarodziejów. Mogliby wykorzystać ją jako

zakładniczkę, żeby mnie skłonić do odpowiedniego zachowania.

– Aha... Przykro to mówić, ale cieszy mnie to... to znaczy jestem zadowolony, że zależy ci na kimś innym.

Spuściłem głowę. Miałem ochotę wyciągnąć do niego rękę, ale nie zrobiłem tego.

Jurt nucił coś pod nosem, co często robił jako dziecko, kiedy się nad czymś zastanawiał.

– Musimy do niej dotrzeć przed nimi i ukryć ją w bezpiecznym miejscu – stwierdził. – Albo odbić, gdyby już ją mieli.

– "My"?

Uśmiechnął się... rzadki przypadek.

– Wiesz, czym się stałem. Jestem twardy.

– Mam nadzieję – mruknąłem. – Ale wiesz, co nastąpi, gdyby jakiś świadek zeznał, że stało za tym dwóch braci Sawall? Najprawdopodobniej wendeta z Hendrake'ami.

– Nawet jeśli to Dara ich namówiła?

– Uznają, że to podstęp z jej strony.

– W porządku – zgodził się. – Żadnych świadków.

Mógłbym powiedzieć, że uniknięcie wendety ocali życie wielu ludzi, ale choćbym nie chciał, brzmiałoby to jak hipokryzja. Zatem..

– Moc, jaką zyskałeś w Fontannie – zacząłem – daje ci coś, co jak słyszałem, określa się "efektem żywego Atutu". Zauważyłem, że dzięki niemu potrafiłeś przetransportować ze sobą Julię.

Skinął głową.

– Czy możesz szybko przetrzymać nas do Kashfy?

W powietrzu zabrzmiał daleki głos ogromnego dzwonu.

– Mogę zrobić wszystko, co potrafią karty – zapewnił. – I mogę kogoś ze sobą zabrać. Jedyne problem polega na tym, że Atuty nie mają ograniczenia zasięgu. Ja przeniosę nas w kilku skokach.

Gong zabrzmiał znowu.

– Co się dzieje? – spytałem.

– Ten hałas? Informuje, że za chwilę zacznie się pogrzeb. Słyszać go w całych Dworcach.

– Fatalnie wybrany moment.

– Może. A może nie. Mam pewien pomysł.

– Jaki?

– To nasze alibi na wypadek, gdybyśmy musieli usunąć paru Hendrake'ów.

– W jaki sposób?

– Różnica w prędkości upływu czasu. Idziemy na pogrzeb i dajemy się zauważyć. Wymykamy się, wykonujemy zadanie, wracamy i uczestniczymy w ceremonii.

– Sądysz, że to możliwe?

– Tak, uważam, że mamy duże szansę. Sporo przeskakiwałem z miejsca na miejsce. Zaczynam już wyczuwać strumienie czasu.

– W takim razie warto spróbować. Im więcej zamieszania, tym lepiej.

I znowu gong.

Czerwień, kolor ognia życia, który nas wypełnia, jest w Dworcach barwą żałoby. Zamiast Znaku Logrusu użyłem spikarda, by sprowadzić sobie odpowiednie ubranie. W tej chwili nie miałem ochoty na jakiegokolwiek, choćby najbardziej przyziemne układy z tą Potęgą.

Jurt przeatutował nas do swoich pokojów, gdzie miał dla siebie odpowiedni kostium. Został mu po ostatnim pogrzebie, w którym uczestniczył. Mnie również ogarnęła chęć, by zobaczyć swój dawny pokój. Może kiedyś, gdy będę miał więcej czasu...

Umyliśmy się, uczesaliśmy, przebraliśmy szybko. Przekształciłem swoją postać, Jurt także, po czym powtórzyliśmy cały rytuał ponownie, na nowym poziomie. Potem ubraliśmy się odpowiednio do okazji. Koszula, spodnie, kurta, płaszcz, bransolety na kostki i przeguby, szarfa, bandana – wyglądaliśmy płomiennie. Broń należało zostawić. Postanowiliśmy wrócić po nią po drodze.

– Gotów? – zapytał Jurt.

– Tak.

Chwycił mnie za ramię i przenieśliśmy się na wewnętrzną stronę Placu na Krańcu Świata, gdzie błękitne niebo pociemniało nad pożarem żałobników stłoczonych obok szlaku procesji. Przeszliśmy między nimi w nadziei, że zwrócimy na siebie możliwie powszechną uwagę. Przywitałem się z kilkoma starymi znajomymi. Niestety, większość chciała chwilę pogadać, gdyż nie widzieliśmy się od dawna. Część zastanawiała się także, dlaczego jesteśmy tutaj, a nie przy Thelbane, masywnej i szklistej igle Chaosu za naszymi plecami. Od czasu do czasu powietrze wibrowało od posępnych uderzeń gongu. Czułem też drżenia gruntu, gdyż zbliżaliśmy się do źródła Dźwięku. Powoli przemieszczaliśmy się przez Plac w stronę wielkiego stosu czarnych głazów na samej krawędzi Otchłani. Brama w nim była łukiem znieruchomiałych płomieni, tak jak stopnie poniżej – każda powierzchnia, każdy element poręczy wykuty z ognia niepodatnego na upływ czasu. Nierówny amfiteatr w dole był także płomiennie urządzony, samooświetlający, otwarty na czarny blok u krańca wszystkiego. Dalej nie było muru, a tylko otwarta pustka Otchłani i jej singularność, skąd biorą się wszelkie rzeczy.

Nikt jeszcze nie wchodził. Staliśmy u bramy płomieni i spoglądaliśmy na trasę, którą miał podążać kondukt. Kłanialiśmy się w stronę znajomych demonicznych twarzy, drżeliśmy od uderzeń gongu, obserwowaliśmy, jak niebo ciemnieje coraz bardziej. I nagle umysł wypełniło mi potężne wrażenie czyjejs obecności.

– Merlinie!

Natychmiast pojawił się obraz zmienionej postaci Mandora, spoglądającego wzdłuż ramienia w czerwonym rękawie. Dłoń była niewidoczna – pewnie trzymał w niej Atut. Od bardzo dawna nie widziałem u niego wyrazu tak bliskiego irytacji.

– Słucham?

Zerknął poza mnie. I nagle uniósł brwi, rozchylił wargi.

– To Jurt stoi obok? – zapytał.

– Tak.

– Myślałem, że nie jesteście w najlepszych stosunkach – oświadczył wolno. – Na podstawie naszej niedawnej rozmowy...

– Zgodziliśmy się na czas pogrzebu zapomnieć o kłótni.

– No cóż... bardzo eleganckie posunięcie. Nie jestem tylko pewien, czy rozsądne.

Uśmiechnąłem się.

– Wiem, co robię – uspokoiłem go.

– Doprawdy? W takim razie dlaczego stoicie pod katedrą, zamiast czekać tutaj, w Thelbane?

– Nikt mi nie mówił, że mam się stawić w Thelbane.

– To dziwne – mruknął. – Wasza matka miała zawiadomić was obu, ciebie i Jurta, że uczestniczycie w procesji.

Pokręciłem głową i obejrzałem się.

– Jurt, wiedziałeś, że mamy iść z procesją?

– Nie – odparł. – Z jednej strony to dość rozsądne. Ale z drugiej, jest przecież czarna straż, co może sugerować, żebyśmy nie rzucali się w oczy. Z kim rozmawiasz?



– Z Mandorem. Mówi, że Dara miała nas zawiadomić.

– Nie powiedziała mi.

– Słyszałeś? – zwróciłem się do Mandora.

– Tak. W tej chwili to bez znaczenia. Przechodźcie obaj.

Wyciągnął drugą rękę.

– Chce nas sprowadzić – wyjaśniłem Jurtowi.

– A niech to... – mruknął i podszedł.

Chwyciłem dłoń Mandora, a równocześnie Jurt złapał mnie za ramię. Obaj postąpiliśmy naprzód...

...wprost w lśniący i gładki główny hol Thelbane: studium czerni, szarości, wyblakłej zieleni i głębokiej czerwieni, kandelabrow jak stalaktyty, ognistych rzeźb na ścianach zawieszonych łuskowatymi skórami, bąbli wody unoszących się w powietrzu wraz z pływającymi w nich istotami. Całą salę wypełniali arystokraci, krewni i dworzanie, niby burza ognia wokół katafalku na samym środku. Gong zabrzmiał znowu, dokładnie w chwili, gdy Mandor się odezwał.

Odczekał, aż ucichną echa.

– Mówiłem, że Dara jeszcze nie przybyła. Idźcie złożyć kondolencje i niech Bances wyznaczy wam miejsca w kondukcje.

W pobliżu katafalku dostrzegłem Tmera i Tubble'a. Tmer rozmawiał z Bancesem, Tubble z kimś odwróconym do mnie plecami. Nagle przyszła mi do głowy straszna myśl.

– Jak wyglądają środki bezpieczeństwa po drodze? – zapytałem.

Mandor uśmiechnął się.

– Spora grupa strażników wmieszała się w ten tłum – wyjaśnił. – Kolejni są rozstawieni wzdłuż trasy. Przez cały czas ktoś będzie na ciebie uważał.

Zerknąłem na Jurta, żeby sprawdzić, czy usłyszał. Skinął głową.

– Dzięki.

Ruszyłem za Jurtem do trumny, starając się utrzymać litanię przekleństw poniżej poziomu słyszalności. Był tylko jeden sposób, żeby zdobyć sobowtóra – przekonać Wzorzec, żeby wysłał tu mojego upiora. Jednak Logrus od razu wykryłby projekcję energii. A gdybym zwyczajnie zniknął, nie tylko ktoś zauważyłby moją nieobecność, ale też prawdopodobnie mnie wyśledził. Może nawet sam Logrus, gdy tylko Dara go powiadomi. Wtedy przekona się, że wyruszyłem, by pokrzyżować jego plany zmierzające do przywrócenia równowagi. A Rzeka Gówna, w którą wtedy wpadnę, to akwen okrutny i zdradziecki. Nie popełnię klasycznego błędu i nie uwierzę, że jestem niezastąpiony.

– Jak to zrobimy, Merlinie? – zapytał Jurt, kiedy stanęliśmy na końcu wolno się przesuwej kolejki. Znowu zabrzmiał gong i zadygotały kandelabry.

– Nie widzę żadnego sposobu – odpowiedziałem. – Możemy najwyżej spróbować po drodze przesłać wiadomość.

– Atutem stąd nie dosięgniesz... No, może w idealnych warunkach – poprawił się. – Ale nie teraz.

Starłem się przypomnieć sobie jakieś zaklęcie, posłanie, kogoś, kto mógłby mi pomóc. Ghost świetnie by się nadawał. Oczywiście, odpłynął studiować asymetrię przestrzenne galerii rzeźb. A to zajmie go na długo.

– Mogę szybko się tam przenieść – zaproponował Jurt. – Przy takiej różnicy czasu może uda mi się wrócić, zanim ktokolwiek zauważy.

– A w Kashfie znasz akurat tych dwoje ludzi, których powinieneś ostrzec. Luke'a i Coral. Oboje widzieli cię w kościele, kiedy staraliśmy się nawzajem pozabijać. A potem ukradłeś miecz ojca Luke'a. Moim zdaniem Luke bez żadnego gadania spróbuje cię zabić, a Coral zacznie wzywać pomocy.

Kolejka przesunęła się odrobinę.

– Potrafię sam sobie poradzić – oświadczył.

– Nie, nie. Wiem, że jesteś twardy, ale Hendrake'owie to zawodowcy. W dodatku osoba ratowana, czyli Coral, raczej nie zechce współpracować.

– Jesteś czarodziejem. Jeśli dowiemy się, kim są strażnicy, możesz rzucić na nich zaklęcie, żeby myśleli, że przez cały czas nas widzą. Jak myślisz? Potem znikamy i nikt nic nie wie.

– Mam przeczucie, że mama albo nasz starszy brat osłonili strażników jakimś czarem. Sam bym to zrobił w sytuacji wręcz idealnej dla zabójcy. Gdybym dowodził tu ochroną, nie chciałbym, żeby ktoś mieszał w głowach moim ludziom.

Przeszliśmy jeszcze kawałek. Wychylając się na bok i wyciągając szyję, mogłem zobaczyć schorowane, demoniczne ciało Swayvilla, odziane z przepychem, z czerwono-złotym węzem na piersi, leżące w trumnie z płomieni. Prastara nemezis Oberona teraz miała się z nim połączyć.

Przyszło mi do głowy, że do problemu można też podejść z innej strony. Może zbyt długo żyłem wśród ludzi naiwnych w sprawach magii. Odzwyczajłem się od wystawiania czaru przeciw czarom, od kaskadowych zaklęć. Co z tego, że strażnicy mieli osłonę utrudniającą wpływ na ich zmysły? Niech sobie będzie. Poszukamy sposobu, jak ją ominąć.

Gong zadźwięczał ponownie. Gdy zamarły echa, Jurt pochylił się do mnie.

– Chodzi o coś więcej, niż ci powiedziałem – szepnął.

– Nie rozumiem.

– Przyszedłem do ciebie w Sawall także dlatego, że się bałem.

– Czego? – zdziwiłem się.

– Przynajmniej jedno z nich: Mandor albo Dara, chce nie tylko równowagi. Chce całkowitego zwycięstwa Logrusu i Chaosu. Naprawdę tak uważam. Rzecz nie w tym, że nie chcę do tego przyłożyć ręki. Ja nie chcę, żeby to nastąpiło. Teraz, kiedy mogę już odwiedzać Ciebie, nie chcę patrzeć na jego zagładę. Nie chcę zwycięstwa żadnej ze stron. Zwycięstwo Wzorca byłoby pewnie równie fatalne.

– Skąd możesz wiedzieć, że któreś z nich planuje coś takiego?

– Próbowali już przecież z Brandem, prawda? Wyruszył, żeby unicestwić wszelki Porządek.

– Nie – sprzeciwiłem się. – Zamierzał tylko zniszczyć stary porządek, zastąpić go własnym. Brand był rewolucjonistą, nie anarchistą. Planował wykreślić nowy Wzorzec wśród Chaosu, który wywoła... własny, ale prawdziwy.

– Oszukali go. Coś takiego nigdy by mu się nie udało.

– Trudno powiedzieć, póki nie spróbował. A spróbować już nie zdążył.

– Wszystko jedno. Obawiam się, że ktoś zamierza wyciągnąć korek z rzeczywistości. To porwanie, jeśli dojdzie do skutku, będzie wielkim krokiem w tym kierunku. Jeżeli nawet nie potrafisz wymyślić czegoś, co ukryje nasze zniknięcie, uważam, że powinniśmy wyruszyć i tak. Zaryzykować.

– Jeszcze nie – uspokoiłem go. – Poczekaj. Pracuję nad tym. Posłuchaj. Nie oszukam strażników i nie próbuję wywołać u nich halucynacji. Zamiast tego dokonuję transformacji. Sprawiam, że dwie osoby będą wyglądać jak my. A ty natychmiast nas przeatutujesz. Halucynacje są zbędne. Wszyscy będą widzieli, że to my. Możemy zrobić swoje... i wrócić, jeśli zajdzie konieczność.

– Zajmij się tym, a ja nas przerzucę.

– Dobra. Zmienię tych dwóch przed nami. Jak tylko skończę, zrobię tak... – Opuściłem lewą dłoń z poziomu ramienia do pasa. – Obaj schylimy się, jakby ktoś z nas coś upuścił. I wtedy nas przeniesiesz.

– Będę gotów.

Ze spikardem było to prostsze niż budowa zaklęcia transformacji. Działał jak procesor czarów. Wprowadziłem dwa wyniki końcowe, a on w ułamku sekundy zbadał tysiące kombinacji, by podać mi rezultat – parę zaklęć. Ich konstrukcja klasycznymi metodami potrwałaby bardzo długo. Zawiesiłem je, unosząc dłoń. Sięgnąłem do jednego z wielu źródeł energii, do jakich spikard miał dostęp w Cieniu. Naładowałem konstrukty. Spojrzałem, czy zaczęła się przemiana, opuściłem rękę i pochyliłem się.

Poczułem zawrót głowy, a kiedy się wyprostowałem, byliśmy w apartamencie Jurta. Roześmiałem się, a on klepnął mnie w ramię.

Natychmiast zmieniliśmy kształty i ubrania na ludzkie. Zaraz potem on znowu chwycił mnie za ramię i przeniósł nas do Bramy Ognia. Po chwili przeskoczyliśmy dalej, tym razem na szczyt góry ponad niebieską doliną, pod zielonym niebem. I znowu, na środku mostu ponad głębokim wąwozem, z niebem zrzucającym gwiazdy albo okrywającym się nimi.

– Wystarczy – mruknął wreszcie.

Staliśmy na szczycie szarego kamiennego muru, wilgotnego od rosy czy może od śladów burzy. Chmury płonęły czerwienią na wschodzie. Lekka bryza wiała od południa.

Mur otaczał wewnętrzną strefę Jidrash, stolicy Luke'a w Kashfie. Pod nami wznosiły się cztery wielkie budowle, wśród nich pałac i naprzeciw niego Świątynia Jednorożca, a także kilka mniejszych domów. Po przekątnej stało skrzydło pałacu, gdzie przybycie Grylla przerwało mi spotkanie z królową... jak dawno temu? Widziałem nawet wyłamana okiennicę na porośniętej bluszczem ścianie.

– To tam. – Wskazałem ręką. – Tam ją ostatnio widziałem. W mgnieniu oka stanęliśmy w komnacie. Nie było tu nikogo prócz nas. Ktoś uporządkował pokój i zasłał łóżko. Wyjąłem Atuty i wyszukałem kartę Coral. Patrzyłem, aż stała się zimna. Wyczułem obecność Coral. Sięgnąłem ku niej.

Była tam i nie było jej. Ogarnęło mnie to dziwaczne wrażenie, jakie spotyka się we śnie albo w szoku. Przesunąłem dłoń nad kartą i zerwałem niepewny kontakt.

– Co się stało? – zapytał Jurt.

– Chyba jest pod wpływem narkotyku.

– Czyli pewnie już ją dostali. Potrafisz ją jakoś wyśledzić w tym stanie?

– Może też leżeć w sąsiednim budynku, na leczeniu. Kiedy odchodziłem, nie czuła się najlepiej.

– Co teraz?

– Tak czy tak, musimy porozmawiać z Lukiem – stwierdziłem, szukając jego Atutu. Nawiązałem kontakt od razu, gdy tylko spojrzałem.

– Merlin! Gdzie jesteś, do diabła?! – zawołał.

– Jeśli przebywasz u siebie, to jestem tuż obok.

Powstał z czegoś, co teraz rozpoznałem jako łożo. Chwycił zieloną koszulę z długimi rękawami i wciągnął ją, zasłaniając kolekcję blizn. Zdawało mi się, że ktoś leży w pościeli za jego plecami. Mruknął coś w tamtym kierunku, ale nie rozumiałem.

– Musimy porozmawiać – oświadczył. Przechesał palcami rude włosy. – Przerzuć mnie.

– W porządku – zgodziłem się. – Ale najpierw muszę cię uprzedzić, że jest tutaj mój brat, Jurt.

– A czy ma miecz taty?

– Hm... nie.

– Chyba go od razu nie zabiję. – Wsunął koszulę za pas.

Gwałtownym gestem wyciągnął rękę. Chwyciłem ją. Zrobił krok i przyłączył się do nas.

## Rozdział 8

Luke uśmiechnął się do mnie i skrzywił na widok Jurta.

– Gdzieś ty się podziewał?! – zawołał.

– Byłem w Dworcach Chaosu – wyjaśniłem. – Wezwano mnie w związku ze śmiercią Swayvilla.

Właśnie trwa pogrzeb. Wymknęliśmy się, kiedy się dowiedziałem, że Coral grozi niebezpieczeństwo.

– Wiem o tym... teraz – mruknął Luke. – Ona zniknęła. Myślę, że została porwana.

– Kiedy to się stało?

– Przedwczoraj w nocy. Wiesz coś o tym?

Zerknąłem na Jurtę.

– Różnica czasów – mruknął.

– Przedstawia sobą szansę zyskania paru punktów w grze pomiędzy Wzorcem i Logrussem. Dlatego wysłano po nią agentów Chaosu. Ale chcą ją dostarczyć żywą. Nic jej nie grozi.

– Po co jest im potrzebna?

– Mam wrażenie, że uznali ją za idealną kandydatkę na królową w Thelbane, razem z Klejnotem Wszehmocy jako elementem jej anatomii, i całą resztą.

– Kto ma być nowym królem?

Poczułem, że policzki mi płoną.

– Wiesz, ludzie, którzy tu po nią przybyli, zaplanowali tę posadę dla mnie.

– Gratuluję! – zawołał. – Nie będę jedyny, który tak świetnie się bawi.

– Nie rozumiem.

– Ta królewska fucha nie jest warta złamanego szeląga. Żałuję, że w ogóle dałem się wciągnąć w ten interes. Wszyscy mają do ciebie ważne sprawy i wiecznie zajmują czas, a nawet jeśli nie, ktoś zawsze chce wiedzieć, gdzie się podziewasz.

– Do diabła, przecież dopiero co się koronowałeś. Przyzwyczaisz się z czasem.

– Dopiero? To już ponad miesiąc!

– Różnica czasów – powtórzył Jurt.

– Chodźcie. Postawię wam filiżankę kawy – zaproponował Luke.

– Masz tu kawę?

– Wymagam jej, chłopie. Tędy. Wyprowadził nas na korytarz, skręcił w lewo, ruszył schodami w dół.

– Przyszła mi do głowy zabawna myśl – powiedział. – Mówiliście, że weźmiesz tron, a Coral jest pożądaną królową. Mógłbym bez kłopotów unieważnić nasze małżeństwo. W końcu to ja rządę. Ty chcesz, żeby została twoją królową, a mnie zależy na Traktacie Złotego Kręgu z Amberem. Chyba mam sposób, żeby wszyscy byli zadowoleni.

– To nie takie proste, Luke. Nie chcę tej roboty, a bardzo źle by się stało dla nas wszystkich, gdyby moi krewniacy w Dworcach dostali Coral pod opiekę. Ostatnio dowiedziałem się o wielu sprawach.

– Na przykład? – Luke otworzył wąskie drzwi, prowadzące do przejścia na tyły pałacu.

Obejrzałem się na Jurtę.

– On też jest przestraszony – oświadczyłem. – Dlatego nasze stosunki tak się ostatnio poprawiły.

Jurt przytaknął.

– Możliwe, że Brand stał się ofiarą planu, który powstał w Dworcach – powiedział. – W ramach idei, która wciąż jest tam żywa.

– Chyba lepiej zaproszę was na pełne śniadanie – zaproponował Luke. – Obejdziemy zamek i zjemy w kuchni.

Ruszyliśmy za nim ogrodową alejką.

Jedliśmy i rozmawialiśmy, a dzień rozjaśniał się wokół nas. Luke nalegał, bym jeszcze raz sprawdził Atut Coral. Zrobiłem to z wynikiem identycznym jak poprzednio. Potem zaklął i pokiwał głową.

– Prawie zdążyliście – powiedział. – Ci ludzie, którzy ją porwali, ruszyli podobno czarnym szlakiem na zachód.

– To by się zgadzało – mruknąłem.

– Mam powody, by wierzyć, że nie dostarczyli jej jeszcze do Dworców.

– Tak?

– Jak rozumiem, te czarne trakty, jakich wy, chłopcy, używacie, są niebezpieczne dla obcych – zauważył. – Ale mogę ci pokazać, co zostało z tutejszego. Teraz to właściwie czarna ścieżka. Poszedłbym nią, ale nie wiem, czy daleko bym dotarł. Przy okazji, istnieje jakiś sposób, żeby osłonić mnie przed jej działaniem?

– W naszym towarzystwie nic ci nie grozi – zapewnił Jurt.

Wstałem. Kucharz i dwóch pomywaczy spojrzęło w naszą stronę.

– Luke, chcę ci kogoś przedstawić – powiedziałem. – Natychmiast.

– Czemu nie? Gdzie jest?

– Przejdziemy się – zaproponowałem.

– Jasne.

Powstali obaj i ruszyliśmy do wyjścia dla służby.

– Czyli jako świadomy współnik albo jako magiczna bomba zegarowa, mama namówiła tatę, żeby spróbował zdobyć Amber, a w rezultacie zmienić świat – zastanowił się Luke.

– O ile wiem, nie zjawił się u niej czysty jak lilia – zauważyłem.

– Fakt. Zastanawiam się jednak, jak szczegółowe miał plany – mruknął Luke. – To najprzyjemniejsza wiadomość, jaką usłyszałem od miesiąca.

Wyszliśmy na wąską, zadaszoną alejkę biegnącą wzdłuż bocznego muru pałacu. Luke zatrzymał się i rozejrzał.

– Gdzie on jest? – zapytał.

– Nie tutaj – odparłem. – Szukałem po prostu jakiegoś punktu, skąd można odjechać bez świadków, którzy zeznają potem, że porwałem króla.

– Dokąd idziemy, Merlinie? – spytał Jurt, kiedy ze środka spikarda skręciłem spiralę, wykorzystując do tego szesnaście różnych źródeł energii.

– Świetny pomysł. Porywaj, nie krępuj się – rzucił Luke, pochwycony wraz z Jurtem.

Wykorzystałem spikard w ten sam sposób jak wtedy, kiedy przeniosłem się z Amberu do Kashfy. Obrazowałem cel raczej z pamięci niż na podstawie wizji. Ale tym razem było nas trzech, a droga bardzo daleka.

– Mam dla ciebie propozycję – powiedziałem.

To było jak przejście przez kalejdoskop, przez sto dwadzieścia stopni kubistycznej fragmentacji i scalania. Wreszcie wynurzyliśmy się po drugiej stronie, pod ogromnym drzewem z zagubionym we mgle wierzchołkiem, w pobliżu czerwono-białego chevroleta z 57 roku. Radio w wozie grało Ninę Maidens Renbourn.

Upiór Luke'a wysiadł z samochodu i spojrzęł na Luke'a. Luke odpowiedział tym samym.

– Cześć – powiedziałem. – Poznajcie się. Chyba nie muszę was sobie przedstawiać. Tyle macie ze sobą wspólnego.

Jurt patrzył na Wzorzec.

– To wersja mojego ojca – wyjaśniłem.

– Mogłem się tego domyślić – odparł. – Ale co my tu robimy?

– Mam pewien pomysł. Sądziłem jednak, że zastaniemy Corwina i z nim to omówimy.

– Wrócił, a potem znów odszedł – oznajmił miejscowy Luke, który usłyszał moje słowa.

– Nie zostawił adresu? Nie mówił, kiedy wróci?

– Nie.

– Niech to licha... Niedawno padło pewne stwierdzenie i nasunęło mi myśl, że wy, Luke'owie,

chcielibyście może na jakiś czas zamienić się miejscami. O ile ten Wzorzec da się przekonać i pozwoli na krótki urlop.

Luke, którego w obecności upiora postanowiłem nazywać Lukiem, rozpromienił się. Postanowiłem też myśleć o jego bliźniaku jako Rinaldzie, żeby się nie pogubić.

– Każdy człowiek powinien kiedyś spróbować takiej posady – oświadczył.

– Więc dlaczego uciekasz od władzy? – spytał Rinaldo.

– Żeby pomóc Merlinowi odszukać Coral. Porwali ją.

– Poważnie? Kto?

– Agenci Chaosu.

– Hm... – Rinaldo zaczął się przechadzać. – No dobrze, lepiej ode mnie znasz tę sprawę – zdecydował po chwili. – Jeśli Corwin szybko wróci, a Wzorzec mnie zwolni, pomogę ci.

– Trop stygnie z każdą chwilą – przypomniał Luke.

– Nie rozumiesz – oświadczył Rinaldo. – Mam tutaj obowiązki i nie mogę tak po prostu odejść... nawet po to, żeby gdzieś zostać królem. Ważniejsze jest to, co robię tutaj. Luke zerknął na mnie.

– Ma rację – potwierdziłem. – Jest strażnikiem Wzorca. Z drugiej strony, nikt nie chce skrzywdzić Coral. Może Jurt i ja zajrzemy na chwilę do Dworców i zobaczymy, co z pogrzebem? Może przez ten czas wróci Corwin. Jestem pewien, że nie braknie wam tematów do rozmowy.

– Nie krępujcie się – rzekł Luke.

– Jasne – zgodził się Rinaldo. – Chętnie się dowiem, co ostatnio robiliście. Jurt skinął głową. Podszedłem do niego.

– Teraz ty prowadzisz – rzuciłem. – Zaraz wracamy – dodałem jeszcze, kiedy znikaliśmy w pierwszym przeskoku.

...I znowu w Liniach Sawall, znowu płomienny kostium na demonicznym ciele. Zanim Jurt przerzucił nas do konduktu pogrzebowego, zmieniłem nasz wygląd na możliwie mało rzucający się w oczy. Nie chciałem maszerować obok pary bliźniaków.

Thelbane okazało się puste. Wyjrzeliśmy na zewnątrz. Procesja minęła dopiero czwartą część drogi i zatrzymała się. Wybuchło jakieś zamieszanie.

– O rany – mruknął Jurt. – Co robić?

– Przenieś nas tam.

Po chwili znaleźliśmy się na obrzeżu tłumu. Jaskrawa trumna Swayvilla leżała na ziemi, obok stał wartownik. Moją uwagę zwróciła grupa postaci o jakieś pięć metrów na prawo od trumny. Ktoś krzychał, coś leżało na ziemi, a dwie demoniczne postacie wyrywały się, trzymane mocno przez kilka innych. Ścisnęło mnie w żołądku, gdy spostrzegłem, że właśnie tych dwóch upodobałem do siebie i Jurta. Obaj protestowali głośno.

Przecisnąłem się do przodu. Po drodze zdjąłem zaklęcia i tamci wrócili do zwykłego wyglądu. Zabrzmiały kolejne okrzyki, w tym "A nie mówiłem!" od bliższego. Odpowiedzią było "Rzeczywiście są!" Głos, uświadomiłem sobie nagle, należał do Mandora. Stał między tą dwójką i przedmiotem na ziemi.

– To była sztuczka! – oznajmił Mandor. – Dla odwrócenia uwagi! Puśćcie ich!

Uznałem, że chwila jest odpowiednia, by zrzucić czar maskujący Jurta i mnie. Wspaniałe zamieszanie.

Po chwili zauważył nas Mandor. Skinął na mnie. Spostrzegłem, że Jurt zatrzymał się i zaczął rozmawiać z jakimś znajomym.

– Merlinie! – zawołał Mandor, gdy się zbliżyłem. – Wiesz coś o tym?

– Nic – zapewniłem go. – Byliśmy z Jurtem z tyłu. Nie wiem nawet, co się właściwie stało.

– Ktoś nadał dwóm ludziom ze straży wygląd twój i Jurta. Najwyraźniej miało to wywołać zamieszanie, kiedy uderzy zamachowiec. Ci dwaj pobiegli do przodu twierdząc, że są gwardzistami. A w oczywisty sposób nie byli. Sprytne, zwłaszcza że ty i Jurt jesteście na liście czarnej straży.

– Rozumiem. – Zastanawiałem się, czy pomogłem zabójcy w ucieczce. – Kogo zaatakował?

– Tmera. Profesjonalne pchnięcie sztyletem. – Lewa powieka mu drgnęła. Czyżby mrugnięcie? Co może znaczyć? – Zniknął w jednej chwili.

Czterech żałobników przeniosło ciało na nosze pospiesznie wykonane z płaszczy. Wystarczyło, że przeszli kilka kroków, a zauważyłem za nimi kolejną grupę osób.

Mandor obejrzał się, widząc mój zdziwiony wzrok.

– To ochrona – wyjaśnił. – Otaczają Tubble'a. Chyba każę mu się stąd wynieść. Tobie i Jurtowi również. Możecie później przyjść do świątyni. Dopilnuję, żebyście mieli tam jeszcze lepszą ochronę.

– Zgoda. Jest tu Dara?

Rozejrzał się.

– Nie widziałem jej. Ale nie wiem. Lepiej już idźcie.

Kiwnąłem głową. Odwracałem się już, kiedy z prawej strony zauważyłem na wpół znajomą twarz. Była wysoka i ciemnooka, zmieniała się z wiru wielobarwnych klejnotów w rozkołysaną, kwietną formę. I przyglądała mi się. Już wcześniej bezskutecznie usiłowałem przypomnieć sobie jej imię. Jednak gdy ją zobaczyłem, wróciła pamięć. Podszedłem.

– Muszę odejść na pewien czas – oznajmiłem. – Ale chciałem się z tobą przywitać, Gilvo.

– Pamiętasz więc. Nie byłam pewna.

– Oczywiście.

– Co u ciebie słychać, Merlinie?

Westchnąłem. Z uśmiechem przeszła do kosmatej, na wpół ludzkiej formy.

– Ja też – powiedziała. – Będę zadowolona, kiedy wszystko już się ułoży.

– Tak. Słuchaj... chciałbym się z tobą spotkać... z kilku powodów. Kiedy znajdziesz wolną chwilę?

– Zawsze. Byle po pogrzebie. O co chodzi?

– Nie mam teraz czasu. Mandor już patrzy na mnie nerwowo. Zobaczymy się później.

– Tak. Później, Merlinie.

Podbiegłem do Jurta i chwyciłem go za łokieć.

– Mamy rozkaz stąd zniknąć – poinformowałem. – Względy bezpieczeństwa.

– W porządku. Dzięki – zwrócił się do człowieka, z którym rozmawiał. – To na razie.

Świat ześliznął się w nicość. Wszedł nowy – mieszkanie Jurta z naszą odzieżą rozrzuconą dookoła.

– Mieliśmy szczęście. A Tmer pecha – zauważył.

– Fakt.

– Jakie to uczucie: być numerem dwa? – zapytał, gdy po raz drugi zmieniliśmy formę i ubranie.

– Ty też się przesunąłeś – przypomniałem.

– Mam przeczucie, że zginął ze względu na ciebie, bracie. Nie na mnie.

– Mam nadzieję, że nie.

Roześmiał się.

– To sprawa między Tubble'em a tobą.

– Gdyby tak było, już bym nie żył. Jeśli masz rację, to sprawa raczej między Sawall a Chanicut.

– Czy nie byłoby zabawne, Merlinie, gdybym trzymał się ciebie, bo to w tej chwili najbezpieczniejsze miejsce? – zapytał nagle. – Jestem pewien, że nasi strażnicy i nasi skrytobójcy są lepsi niż ci z Chanicut. Przypuśćmy, że czekam tylko, aż usuną z drogi Tubble'a. Potem, ufając mi i w ogóle, odwracasz się plecami... Koronacja!

Przyjrzałem mu się. Uśmiechał się, ale też obserwował mnie czujnie.

Chciałem odpowiedzieć żartem: możesz wziąć sobie koronę bez tych wszystkich kłopotów. Ale wtedy zastanowiłem się. Nawet w żartach, gdyby przyszło wybierać między nami dwoma... W takich okolicznościach zgodziłbym się zasiąść na tronie. Zdecydowałem, by wszelkie wątpliwości tłumaczyć na jego korzyść. Ale nie mogłem się przemóc. Mimo jego przyjaznych słów i chęci współpracy, nie potrafiłem się zmusić, by zaufać mu bardziej niż to konieczne.

– Powiedz to Logrusowi – zaproponowałem. Wyraz lęku – rozszerzone oczy, spuszczone głowa, lekkie zgarbienie ramion...

– Naprawdę łączy was jakieś porozumienie? – zapytał.

– Porozumienie chyba tak, ale dość jednostronne.

– Nie rozumiem.

– Żadnej ze stron nie pomogę w zniszczeniu naszego świata.

– Wygląda na to, że skłonny jesteś zdradzić Logrus.

Uniosłem palec do ust.

– To pewnie twoja amberycka krew – stwierdził. – Słyszałem, że oni wszyscy są trochę zwariowani.

– Możliwe – przyznałem.

– Pewnie twój ojciec postąpiłby podobnie.

– Co o nim wiesz?

– No cóż... każdy z nas ma ulubioną historię o Amberze.

– Nikt mi żadnej nie opowiedział.

– Oczywiście, że nie... w tej sytuacji...

– Bo jestem mieszańcem?

Wzruszył ramionami.

– Właściwie... tak. Wciągnąłem buty.

– Cokolwiek robisz przy tym nowym Wzorcu, nie wzbudzi pewnie zachwyty starego? – zapytał.

– Z pewnością masz rację.

– Czyli nie będziesz mógł go prosić o ochronę, gdyby Logrus chciał cię załatwić?

– Raczej nie.

– A gdyby obaj na ciebie polowali, nowy Wzorzec nie zdoła ich powstrzymać.

– Sądzisz, że w jakiegokolwiek sprawie potrafią się zgodzić?

– Trudno powiedzieć. Prowadzisz ryzykowną grę. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

– Ja też. – Wstałem. – Moja kolej.

Rozwinąłem spikard na poziomie, jakiego nigdy jeszcze nie próbowałem, i przeniosłem nas w jednym skoku.

Luke i Rinaldo wciąż rozmawiali. Rozróżniałem ich po ubraniu. Corwina nie było widać.

Obaj pomachali nam na powitanie.



– Jak tam sprawy w Dworcach? – spytał Luke.

– Chaotyczne – odparł Jurt. – Długo nas nie było?

– Jakieś sześć godzin – odpowiedział Rinaldo.

– Żadnych wieści od Corwina? – zainteresowałem się.

– Żadnych – mruknął Luke. – Ale tymczasem doszliśmy do porozumienia, a Rinaldo kontaktował się z tym Wzorcem. Będzie podtrzymywać jego istnienie i uwolni go, gdy tylko powróci Corwin.

– W tej sytuacji... – zaczął Jurt.

– Tak?

– Zostanę tu i zastąpię Rinalda, kiedy wy będziecie szukać tej damy ze szklanym okiem.

– Dlaczego? – zdziwił się Rinaldo.

– Ponieważ razem będzie wam łatwiej, a ja tutaj czuję się bezpieczniej niż w prawie każdym innym miejscu.

– Sprawdź, czy to możliwe – oświadczył Rinaldo.

– Koniecznie.

Rinaldo przeszedł na krawędź Wzorca. Rozglądałem się w nadziei, że pośród mgły zobaczę powracającego ojca. Jurt badał samochód. Radio grało teraz numer Bruce'a Dunlapa z "Los Angeles".

– Kiedy twój ojciec mnie zwolni – oświadczył Jurt – przeskoczę na pogrzeb i spróbuję cię jakoś usprawiedliwić, gdybyś jeszcze nie wrócił. Jeśli ty będziesz pierwszy i mnie nie zastaniesz, zrobisz to samo. Zgoda?

– Zgoda. – Smugi mgły wznosiły się między nami jak dym. – A którykolwiek z nas pierwszy będzie wolny i dowie się czegoś ciekawego...

– Jasne. Poszukam cię, gdybyś ty mnie nie znalazł.

– Nie zabrałeś przypadkiem z Dworców mojego miecza? – zapytał Luke.

– Nie miałem czasu – mruknął Jurt.

– Kiedy tam będziesz następnym razem, chciałbym, żebyś znalazł chwilę.

– Pewnie, pewnie.

Rinaldo odszedł od Wzorca i wrócił do nas.

– Jesteś przyjęty – oświadczył Jurtowi. – Chodź.

Pokażę ci, gdzie jest źródło, zapasy żywności, trochę broni. Luke obserwował, jak oddalają się w lewą stronę.

– Przepraszam – powiedział cicho. – Ale wciąż mu nie ufam.

– Nie przepraszaj. Ja też nie. Zbyt długo się znamy. Ale teraz mamy lepsze niż kiedykolwiek podstawy do zaufania.

– Nie jestem pewien, czy rozsądnie zrobiłeś, pokazując mu ten Wzorec. I zostawiając go teraz samego.

– Jestem przekonany, że Wzorec wie, co robi. I że potrafi o siebie zadbać.

Skrzyżował palce.

– Z tym bym się kłócił – rzekł. – Ale potrzebuję swojego sobowtóra.

Kiedy wrócili, zabrzmiał nagle baryton prezentera.

– Podczas gry najważniejsze jest dokładne wyliczenie czasu. Warunki drogowe doskonałe. Dobry dzień na wyjazdy.

I natychmiast rozległo się solo na perkusji. Przysiągłbym, że słyszałem je kiedyś w wykonaniu Randoma.

– Od tej chwili jesteś na służbie – oświadczył Jurtowi Rinaldo. Skinął na nas.

– Jak tylko będziecie gotowi.

Pochwyciłem nas spikardem i przewirowałem do Kashfy. Wylądowaliśmy w Jidrash o zmroku, w tym samym miejscu na murze, gdzie niedawno stałem z moim bratem.

– Nareszcie. – Rinaldo przyjrzał się miastu.

– Tak – potwierdził Luke. – Należy do ciebie... na jakiś czas. – I dodał: – Merle, mógłbyś nas przetrzucić do moich apartamentów?

Spojrzałem na zachód, gdzie chmury płonęły pomarańczowo. Podniosłem wzrok na kilka fioletowych obłoków.

– Ale wcześniej, Luke – powiedziałem – chciałbym wykorzystać resztkę dziennego światła i obejrzeć czarny szlak. Skinął głową.

– Dobry pomysł. Przerzucić nas tam.

Gestem wskazał pagórkowaty obszar na południowym zachodzie. Przespikardowałem nas, równocześnie tworząc czasownik, który uznałem za potrzebny. Oto potęga Chaosu.

Stanęliśmy na niewysokim wzgórku i ruszyliśmy za Lukiem w dół.

– Tędy – poinformował.

Wokół nas kładły się długie cienie. Istnieje jednak różnica pomiędzy ich mrokiem a czernią podróżnej linii z Dworców.

– To było tutaj – oświadczył Luke, gdy stanęliśmy między dwoma głazami.

Przeszedłem kilka kroków, ale niczego szczególnego nie wyczułem.

– Jesteś pewien, że trafiłeś na właściwe miejsce?

– Tak.

Kolejne dziesięć kroków... dwadzieścia...

– Jeśli naprawdę biegła tędy, już zniknęła – oznajmiłem. – Oczywiście... Ciekawe, jak długo nas nie było. Luke pstryknął palcami.

– Wyliczenie czasu – przypomniał. – Zabierz nas do moich apartamentów.

Ucałowaliśmy dzień na pożegnanie, gdy wysłałem sondę i otworzyłem nam drogę przez mur ciemności. Przeszliśmy wprost do pokoju, który kiedyś zajmowałem z Coral.

– Wystarczy? – upewniłem się. – Nie wiem, gdzie mieszkaś.

– Chodźcie – rzucił.

Poprowadził nas w lewo i schodami na dół.

– Pora zapytać miejscowego eksperta – rzekł. – Merle, zrób coś z wyglądem tego faceta. Zbyt dużo dobrego może wywołać komentarze.

To było łatwe. Pierwszy raz w życiu sprawiłem, że ktoś wyglądał jak Oberon na wielkim portrecie w pałacu w domu.

Luke zastukał do drzwi. Znajomy głos ze środka wymówił jego imię.

– Przyprowadziłem dwóch przyjaciół – uprzedził.

– Wprowadź ich – odpowiedziała. Otworzył drzwi i zrobił to.

– Obaj znacie już Naydę – stwierdził. – Naydo, to mój sobowtór. Póki jesteśmy razem, nazywajmy go Rinaldem, a mnie Lukiem. Będzie tu pilnował interesu, gdy ja i Merle wyruszymy szukać twojej siostry.

Widząc jej zdumiony wzrok, przemieniłem Rinalda z powrotem.

Miała na sobie czarne spodnie i szmaragdową bluzę, a włosy związane zieloną szarfą. Uśmiechnęła się do nas, a gdy stanęła przede mną, jakby przypadkiem musnęła palcem wargi. Skinąłem głową.

– Mam nadzieję, że odzyskałaś zdrowie po przykrych wypadkach w Amberze – powiedziałem. –

Naturalnie, trafiłaś tam w niezbyt odpowiednim czasie.

– Oczywiście – zgodziła się. – Odzyskałam w pełni. To miło, że pytasz. Dziękuję też za wskazówki. Domyślam się, że to ty zniknąłeś z Lukiem przed dwoma dniami.

– To naprawdę tak długo?

– Naprawdę.

– Przepraszam, moja droga. – Luke uściśnął jej dłoń i długo spoglądał w oczy.

– To wyjaśnia, dlaczego szlak zniknął – zauważyłem.

Rinaldo ujął i ucałował jej dłoń, jednocześnie wykonując złożony ukłon.

– Zdumiewające, jak bardzo się zmieniłaś w porównaniu z tą dziewczyną, którą znałem – rzekł.

– Jak...

– Dzielę z Lukiem wspomnienia, nie tylko wygląd – wyjaśnił.

– Zauważyłam, że jest w tobie coś nieludzkiego – stwierdziła. – Widzę w tobie człowieka, w żyłach którego płynie ogień.

– Jak mogłaś to dostrzec? – zainteresował się.

– Ma swoje sposoby – odparł Luke. – Chociaż myślałem, że to tylko psychiczny związek z siostrą.

Najwyraźniej sięga to o wiele głębiej.

Przytaknęła.

– A skoro już o tym mowa, mam nadzieję, że twój dar pomoże nam ją wytropić – mówił dalej. –

Szlak zniknął, zakłęcie albo narkotyki blokują kontakt przez Atut. Potrzebujemy pomocy.

– Oczywiście – zgodziła się, – Chociaż w tej chwili nic jej nie grozi.

– To dobrze. W takim razie zamówię coś do jedzenia i poinformuję tego przystojniaka, co się ostatnio wydarzyło w Kashfie.

– Luke – wtrąciłem. – To chyba najlepszy moment, żebym wrócił do Dworców na dalszy ciąg pogrzebu.

– Długo cię nie będzie, Merle?

– Nie wiem.

– Wrócisz przed świtem, mam nadzieję?

– Ja też. A gdyby nie?

– Mam przeczucie, że powinienem wyruszyć bez ciebie.

– Ale najpierw spróbuj się skontaktować.

– Oczywiście. To na razie.

Owinałem się płaszczem przestrzeni i strzepnąłem z niego Kashfę. Kiedy znów go rozsunąłem, byłem w komnatach Jurta w Sawall.

Przeciągnąłem się i ziewnąłem. Szybko się upewniłem, że jestem tu sam. Rzuciłem płaszcz na łóżko. Rozpinając koszulę, spacerowałem po pokoju.

Stop! Co to było? I gdzie?

Cofnąłem się o kilka kroków. Niewiele czasu spędziłem w komnatach młodszego brata, ale z pewnością zapamiętałbym to wrażenie.

Krzesło i stół stały w kącie między ścianą a szafą z ciemnego, niemal czarnego drewna. Klęknąłem na krzesło i sięgając nad blat stołu wyraźnie poczułem obecność przejścia, chyba nie dość silną, by dokonać przeskoku. Ergo...

Przeszedłem na prawo i otworzyłem szafę. Oczywiście, przejście musi być wewnątrz. Ciekawe, jak dawno je założył. Trochę głupio się czułem, przeszukując mu mieszkanie. Ale w końcu był mi coś winien za tyle ataków i napaści. Kilka zwierzeń i odrobina współpracy nie wyrównały rachunków. Jeszcze nie nauczyłem się mu ufać, a przecież możliwe, że szykował dla mnie jakąś przykrą

niespodziankę. Dobre maniery, uznałem, muszą ustąpić wobec ostrożności.

Odsunąłem ubrania, odsłaniając drogę w głąb szafy. Mocno wyczuwałem przejście. Jeszcze jedno pchnięcie, szybki krok w głąb i znalazłem się w ognisku. Pozwoliłem, by mnie zabrało.

Kiedy poczułem ssanie od przodu, naciskające na plecy ubrania pchnęły mnie lekko. To, plus fakt, że ktoś (sam Jurt?) marnie radził sobie z cieniem i nie dopasował poziomów podłogi, sprawiło, że docierając do celu potknąłem się i upadłem.

Przynajmniej nie wylądowałem w dole pełnym zaostrzonych kołków ani węży. Ani w legowisku wygłodniałej bestii. Nie. To była podłoga wykładana zielonymi kafelkami. Padając podparłem się rękami. A po migotliwym blasku wokół poznałem, że płonie tu mnóstwo świec.

Zanim jeszcze podniosłem głowę, byłem pewien, że są zielone.

I nie pomyliłem się. W tej ani w innych sprawach.

Układ wnętrza przypominał kaplicę mojego ojca, z niszą w sklepieniu mieszczącą silniejsze od świec Źródło światła. Tyle że nad ołtarzem nie było obrazu. Był za to witraż, a w nim masa zieleni i trochę czerwieni.

Witraż przedstawiał Branda.

Wstałem i podszedłem do ołtarza. Na nim, wysunięty na kilkanaście centymetrów z pochwy, leżał Werewindle.

Chwyciłem go i podniosłem. Moją pierwszą myślą było, żeby zabrać stąd miecz i oddać go Luke'owi. Potem zawahałem się. Gdybym to zrobił, musiałbym jakoś go ukryć, a przecież tutaj był już dobrze schowany. Kiedy jednak nad tym myślałem, palce spoczywały na rękojeści. Promieniowała podobnym wrażeniem mocy jak ta w Grayswandirze, tyle że jakby jaśniejszym, bez tego odcienia tragedii i melancholii. To zabawne. Werewindle sprawiał wrażenie broni idealnej dla bohatera.

Rozejrzałem się. Na pulpicie po lewej stronie leżała książka, na podłodze wyrysowano pentagram w różnych odcieniach zieleni, a w powietrzu zawisł aromat płonącego drewna. Ciekawe, co bym znalazł, gdybym wybił dziurę w ścianie. Czy ta kaplica znajdowała się na szczycie góry, pod powierzchnią jeziora, pod ziemią... a może szybowwała po niebie?

Co sobą przedstawiała? Wyglądała na miejsce religijnego kultu. Benedykt, Corwin i Brand... o nich wiedziałem. Czy byli podziwiani, szanowani... wielbieni przez część moich rodaków i krewnych? A może te ukryte kaplice miały jakieś groźniejsze przeznaczenie?

Wpuściłem rękojeść Werewindle'a i przeszedłem do pentagramu.

Logrusowy wzrok nie ujawnił nic groźnego, lecz staranna analiza spikardem wykryła pozostałości dawno usuniętej magicznej operacji. Ślady były zbyt słabe, żeby powiedzieć cokolwiek o jej charakterze. Co prawda istniała szansa, że dokładne badanie ukaże wyraźniejszy obraz, zdawałem sobie jednak sprawę, że nie mam czasu na takie działania.

Niechętnie powróciłem w okolice przejścia. Czy mogli tu wykorzystywać takie kaplice, by wpłynąć na przedstawione w nich osoby?

Pokręciłem głową. Tę sprawę musiałem odłożyć na później. Odszukałem przejście i poddałem mu się.

Przy powrocie znowu się potknąłem.

Jedną ręką przytrzymałem się desek, drugą chwyciłem ubrania, odzyskałem równowagę, wyprostowałem się, wyszedłem. Przesunąłem wieszaki na miejsce i zamknąłem drzwi.

Rozebrałem się szybko, równocześnie zmieniając postać. Potem jeszcze raz włożyłem żałobny strój. Wyczułem jakąś aktywność w okolicach spikarda: zauważyłem, że pobiera energię z jednego z licznych Źródeł, jakie ma do dyspozycji, w celu zmiany kształtu i przystosowania się do nowych rozmiarów palca. Z pewnością czynił to już kilkakrotnie, ale pierwszy raz zwróciłem na ten proces

uwagę. To ciekawe, gdyż dowodziło, że spikard jest urządzeniem zdolnym do samodzielnych działań.

Właściwie nie wiedziałem, czym jest ani skąd może pochodzić. Zatrzymałem go, ponieważ stanowił bardzo wydajne Źródło mocy, zastępujące Znak Logrusu, którego teraz się bałem. Gdy jednak patrzyłem, jak przekształca się i dopasowuje do moich nowych wymiarów, zacząłem się zastanawiać. A jeśli to pułapka i w najmniej odpowiedniej chwili spikard zwróci się przeciw mnie?

Obróciłem go na palcu. Potem sięgnąłem ku niemu umysłem, choć wiedziałem, że to daremna próba. Straciłbym całe wieki, by każdą z linii prześledzić aż do jej źródła. To jak wycieczka po szwajcarskim zegarku. Ręcznie wykonanym. Wrażenie robiło zarówno piękno konstrukcji, jak i niewiarygodny ogrom pracy włożonej w jej kreację. Oczywiście, mógł zawierać ukryte magiczne sekwencje, wyzwalane jedynie w odpowiednich okolicznościach. A jednak...

Do tej pory zachowywał się bez zarzutu. A jedyną alternatywą był Logrus. Pomyślałem, że to interesujący przykład, że czasem lepszy jest nieznan diabeł.

Burcząc pod nosem, poprawiłem kostium, skoncentrowałem umysł na Świątyni Węża i nakazałem spikardowi, żeby przeniósł mnie w pobliże wejścia. Wykonał rozkaz płynnie i szybko, jakbym nigdy w niego nie wątpił, jakbym nie odkrył w nim kolejnego źródła paranoi.

Przez chwilę stałem przed bramą z zamrożonego ognia, u ogromnej Katedry Węża po zewnętrznej stronie Placu na Krańcu Świata, ustawionej dokładnie na Krawędzi, otwartej na Otchłań. W piękny dzień można tam zobaczyć stwarzanie wszechświata, czy może jego koniec. Patrzyłem, jak gwiazdy mrowią się w przestrzeni na przemian zwijanej i rozwijanej niczym płatki kwiatu. I jakby moje życie miało ulec zmianie, wróciłem myślami do Kalifornii i do szkoły, do rejsów Gwiezdną Strzałą z Lukiem, Gail i Julią, o rozmowie z ojcem tuż przed końcem wojny, o wycieczce z Vintą Bayle po winnicach na wschód od Amberu, o rześkim i drugim popołudniu, kiedy pokazywałem Coral miasto, i o niezwyklej spotkaniach tamtego dnia. Odwróciłem się, uniosłem pokrytą łuskami dłoń i spojrzałem przez nią na iglicę Thelbane. "Nie gasną walki od wschodu i zachodu wzdłuż piersi mojej obwodu", pomyślałem. Jak długo, jak długo...? Ironia jak zwykle prowadziła trzy do jednego, kiedy do głosu dochodziły sentymenty.

Odwróciłem się znowu i ruszyłem, by po raz ostatni spojrzeć na króla Chaosu.

## Rozdział 9

Dalej, wciąż dalej w stos, w wielką hałdę żużlu, okno na krańce czasu i przestrzeni, gdzie w końcu nic już nie można zobaczyć... Szedłem w jednym z moich ciał pomiędzy ścianami wiecznie w ogniu i nigdy nie wypalonymi. Szedłem ku Dźwiękowi głosu czytającego z Księgi Węża Zawieszanego na Drzewie Materii. W końcu dotarłem do groty otwartej na ciemność, do coraz szerszych półkoli żalobników zwróconych twarzami ku czytającemu i ku katafalkowi, na którym stanął. Swayvill leżał wewnątrz, okryty czerwonymi kwiatami rzucanymi na ciało, czerwone świece migotały na tle Otchłani, kilka kroków za zebranymi. Zatem pod ścianą hali, słuchając Bancesa z Amblerash, Najwyższego Kapłana Węża jego słowa zdawały się rozbrzmiewać tuż obok, gdyż dobra jest akustyka Chaosu. Znalazłem miejsce w pustym łuku siedzeń, gdzie każdy, kto się obejrzy, z pewnością mnie zauważy. Szukałem znajomych twarzy Darę, Mandora i Tubble'a dostrzegłem w pierwszym rzędzie, co oznaczało, że mają asystować Bancesowi, zsuwając trumnę w wieczność, gdzie rodzi się czas. A w moim rozdartym sercu przypomniałem sobie ostatni pogrzeb, w jakim uczestniczyłem: Caine'a w Amberze, nad brzegiem morza. I znowu pomyślałem o Bloomie i o tym, jak błędzą myśli przy takich okazjach.

Rozejrzałem się. Jurta nie było widać, Gilva z Hendrake siedziała o kilka rzędów niżej. Przeniosłem wzrok na głęboką czerń poza Krawędzią. Miałem wrażenie, jakbym spoglądał w dół, nie na zewnątrz... jeśli takie określenie w ogóle ma tutaj sens. Od czasu do czasu dostrzegałem migające punkty światła czy przetaczające się kłęby. Służyły mi jako rodzaj testu Rorschacha na wpół drzemałem przed obrazami mrocznych motyli, chmur, par twarzy... Wyprostowałem się nagle, niepewny, co wyrwało mnie z zadumy.

To była cisza. Bances zakończył czytanie. Już miałem się pochylić i szepnąć coś do Gilvy, kiedy Bances rozpoczął Zawierzenie. Ze zdziwieniem odkryłem, że pamiętam wszystkie odpowiedzi.

Kiedy narastał Dźwięk modlitwy, zobaczyłem, że Mandor podnosi się, a za nim Dara i Tubble. Podeszli do kapłana i zajęli miejsca przy trumnie: Dara i Mandor u jej stóp, Tubble i Bances u głowy. Ministranci zaczęli gasić świece, aż pozostała tylko jedna, wielka, przy samej Krawędzi. W tym momencie wszyscy wstali.

Oświetlenie poprawiał niesamowity jak zawsze blask płomiennych mozaik, zatopionych w ścianach po obu stronach. Widziałem ruch w dole, gdy ucichły głosy.

Cztery postacie pochyliły się lekko, zapewne łapiąc uchwyty trumny. Potem wyprostowały się i ruszyły do Krawędzi. Gdy tylko minęli świecę, stanął przy niej ministrant. Miał zgasić ostatni płomyk, kiedy szczątki Swayvilla zostaną zawierzone Chaosowi.

Zostało jeszcze sześć kroków. Trzy. Dwa... Bances i Tubble przyklękli na brzegu, układając trumnę w wyżłobieniu kamiennej posadzki. Bances zaintonował końcową część rytuału. Dara i Mandor stali.

Modlitwa dobiegła końca i usłyszałem przekleństwo. Mandor jakby poleciał do przodu, Dara odsunęła się. Zabrzmiał stuk trumny uderzającej o kamień. Dłoń ministranta sunęła już do świecy i właśnie w tej chwili zgasła płomień. Rozległ się cichy zgrzyt, gdy trumna sunęła wyżłobieniem, kolejne przekleństwa, mroczna postać wycofała się znad Krawędzi...

Wtedy zabrzmiał krzyk. Krępa sylwetka upadła i zniknęła. Krzyk cichł, cichł, cichł...

Uniosłem prawą dłoń i spikardem stworzyłem bąbel białego światła, tak jak słomka tworzy mydlaną bańkę. Miała około metra średnicy, kiedy uwolniłem ją i posłałem w górę. I nagle mamrotania wypełniły całą salę. Inni obecni, mający za sobą czarnoksięską edukację, mniej więcej równocześnie rzucili swoje ulubione zaklęcia iluminacji i świątynię zalał ostry blask z dziesiątków

punktowych źródeł.

Zmrużywszy oczy, dostrzegłem Bancesa, Darę i Mandora dyskutujących w pobliżu Krawędzi. Tubble'a i szczątków Swayvilla nie było już między nami.

Inni żalobnicy wstawali z miejsc. Ja także, pojmując, że mój czas tutaj jest teraz bardzo ograniczony.

Przeskoczyłem nad pustyni rzędem i dotknąłem wciąż ludzkiego ramienia Gilvy.

– Merlinie! – zawołała, odwracając się gwałtownie. – Tubble... spadł... Prawda?

– Na to wygląda – przyznałem.

– Co teraz będzie?

– Muszę stąd zniknąć – odparłem. – Natychmiast!

– Dlaczego?

– Za chwilę ktoś przypomni sobie o sukcesji i zgniotą mnie ochroną. Nie mogę na to pozwolić. Nie teraz.

– Dlaczego nie?

– Nie ma czasu na wyjaśnienia. Ale chciałbym z tobą porozmawiać. Mógłbym porwać cię teraz?

Wokół nas tłoczyli się ludzie.

– Oczywiście... sir – odpowiedziała, najwyraźniej także przypominając sobie o sukcesji.

– Daruj sobie – mruknąłem. Spikard wytworzył wiry energii, które pochwyciły nas i porwały.

Przeniósłem nas do lasu metalowych drzew. Gilva rozejrzała się, nie wypuszczając mojego ramienia.

– Panie, cóż to za miejsce? – spytała.

– Wolałbym nie mówić – odparłem. – Z powodów, które za chwilę staną się oczywiste. Kiedy ostatnio się widzieliśmy, chciałem ci zadać jedno pytanie. Teraz mam dwa, a to miejsce wiąże się z jednym z nich. Poza tym zwykle jest tu pusto.

– Pytaj. – Spojrzała mi w twarz. – Postaram się pomóc. Jeżeli jednak to ważne, może nie jestem najlepszą osobą...

– Tak, to ważne. Ale nie mam czasu, żeby zorganizować spotkanie z Belissą. Chodzi o mojego ojca, Corwina.

– Tak?

– To on zabił Borela z Hendrake'ów podczas wojny Skazy Wzorca.

– Tak słyszałam.

– Po wojnie przyłączył się do orszaku króla, przybył do Dworców i negocjował Traktat.

– Istotnie – przyznała. – Wiem o tym.

– Zniknął wkrótce potem i nikt nie wiedział, co się z nim stało. Przez pewien czas wierzyłem, że zginął. Później jednak natrafiłem na tropy świadczące, że raczej żyje, ale został gdzieś uwięziony. Czy wiesz coś na ten temat?

Odwróciła się nagle.

– Jestem urażona tym, co chyba sugerujesz – oznajmiła.

– Przykro mi – zapewniłem. – Ale musiałem spytać.

– Pochodzę z szacownego rodu – mówiła dalej. – Przyjmujemy to, co w wojnie ześle nam los. Kiedy walka się kończy, nie wracamy już do sprawy.

– Proszę o wybaczenie. Jesteśmy przecież spokrewnieni. Przez matkę.

– Tak, wiem o tym. – Odwróciła się. – Czy to już wszystko, książę Merlinie?

– Tak – potwierdziłem. – Dokąd cię odesłać? Milczała przez chwilę. Wreszcie...

– Mówiłeś, że masz dwa pytania – przypomniła.

- Zapomnij o tym. Zmieniłem zdanie co do drugiego. Spojrzała na mnie.
- Dlaczego? Dlaczego powinnam zapomnieć? Ponieważ dbam o honor rodu?
- Nie. Ponieważ ci wierzę.
- I?
- Do kogoś innego zwrócę się o opinię.
- Chcesz powiedzieć, że to niebezpieczne i dlatego postanowiłeś mnie nie pytać?
- Nie rozumiem tego, a zatem może być niebezpieczne.
- Czy znowu chcesz mnie obrazić?
- Boże uchroni!
- Zadaj pytanie.
- Muszę ci coś pokazać.
- Uczyń to.
- Nawet jeśli w tym celu musimy wejść na drzewo?
- Niezależnie od warunków.
- Chodź za mną.

Poprowadziłem ją do drzewa i wspiąłem się na nie – w mojej obecnej formie to wyjątkowo prosta czynność. Podążała tuż za mną.

– Tu w górze jest przejście – uprzedziłem. – Zaraz pozwolę, żeby mnie wciągnęło. Daj mi parę sekund, żebym zdążył się odsunąć.

Wszedłem jeszcze trochę wyżej i zostałem przeniesiony. Odstąpiłem na bok i rozejrzałem się po kaplicy. Nie zauważyłem żadnych zmian.

Gilva stanęła obok. Słyszałem, jak gwałtownie nabiera tchu.

- Coś podobnego – szepnęła.
- Wiem, na co patrzę – powiedziałem. – Ale nie wiem, co widzę, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.
- To sanktuarium – wyjaśniła. – Poświęcone duchowi członka królewskiego rodu Amberu.
- Tak. Mojego ojca, Corwina – zgodziłem się. – Na to właśnie patrzę. Ale co widzę? Skąd takie miejsce w ogóle wzięło się w Dworcach?

Wolno podeszła do ołtarza.

– Mogę ci chyba powiedzieć – dodałem – że to nie jedyne takie sanktuarium, jakie widziałem po powrocie.

Dotknęła głowni Grayswandira. Potem schyliła się i pod ołtarzem znalazła zapas świec. Wyjęła srebrną, wkręciła w uchwyt jednego z licznych lichtarzy, zapaliła od płonącej świecy i ustawiła obok miecza. Mruczała coś pod nosem, ale nie zdołałem rozróżnić słów.

Kiedy znowu spojrzała na mnie, uśmiechała się.

– Oboje dorastaliśmy tutaj – stwierdziłem. – Jak to możliwe, że ty wyraźnie wiesz o tym wszystko, a ja nic?

– Odpowiedź jest prosta, panie – odrzekła. – Wyjechałeś zaraz po wojnie, by w dalekich krainach zdobywać wykształcenie. To sanktuarium jest oznaką czegoś, co nastąpiło po twoim wyjeździe.

Ujęła mnie pod ramię i poprowadziła do ławki.

– Nikt nie przypuszczał, że możemy przegrać tę wojnę – powiedziała. – Chociaż od dawna było wiadomo, że Amber będzie groźnym przeciwnikiem.

Usiedliśmy.

– Po wojnie wybuchły niepokoje – mówiła dalej. – Krytykowano politykę, która doprowadziła do niej i do traktatu. Jednak żaden ród czy ich grupa nie miały szans na zwycięstwo z królewską koalicją. Znasz przecież konserwatyzm Lordów Krańca. O wiele, wiele więcej by trzeba, aby



zjednoczyć większość przeciwko Koronie. Ich niezadowolenie znalazło więc ujście w innej formie. Rozkwitł handel pamiątkami wojennymi, pochodzącymi z Amberu. Ludzie byli zafascynowani naszymi zwycięzcami. Doskonale sprzedawały się biograficzne studia rodziny władców Amberu. Pojawiło się coś w rodzaju kultu. Wyrastały prywatne kaplice, podobne do tej i poświęcone jednemu z Amberytów, którego zalety szczególnie kogoś ujęły.

Urwała, wpatrując się w moją twarz.

– To wszystko nazbyt przypominało religię – podjęła. – A jedyną liczącą się religią w Dworcach była od niepamiętnych czasów Droga Węża. Dlatego Swayvill zakazał kultu Amberu i uznał go za herezję... z oczywistych politycznych powodów. To okazało się błędem. Gdyby nie zareagował, moda szybko by minęła. Oczywiście, nie wiem tego na pewno. Ale zakaz sprowadził wyznawców do podziemia, skłonił, by traktowali kult bardziej poważnie, jako działalność wywrotową. Nie mam pojęcia, ile takich kaplic znajduje się w siedzibach rozmaitych rodów. Ale ta jest oczywiście jedną z nich.

– Niezwykle zjawisko socjologiczne – przyznałem. – A waszą postacią kultową jest Benedykt?

Roześmiała się.

– Nietrudno się domyślić – zauważyła.

– Szczerze mówiąc, mój brat Mandor opisał mi waszą kaplicę. Twierdzi, że trafił tam podczas bankietu w Hendrake i nie wiedział, gdzie się znalazł.

Parsknęła.

– Z pewnością chciał cię wypróbować – stwierdziła. – Przez długi czas praktyki takie były powszechnie znane. A przypadkiem wiem, że on sam jest wyznawcą kultu.

– Naprawdę? Jak się dowiedziałaś?

– Dawniej nie robił z tego tajemnicy... przed ogłoszeniem zakazu.

– A kim jest jego osobisty patron?

– To księżniczka Fiona.

Coraz ciekawsze...

– Pokazał ci jej kaplicę? – spytałem.

– Tak. Przed zakazem ludzie często zapraszali przyjaciół na nabożeństwo... Gdy byli szczególnie niezadowoleni z królewskiej polityki.

– A po zakazie?

– Wszyscy twierdzili, że zniszczyli swoje sanktuaria. Sądzę, że wiele z nich po prostu przeniesiono za ukryte przejścia.

– A zapraszanie przyjaciół na nabożeństwa?

– To chyba zależy od tego, czy ma się dobrych przyjaciół. Właściwie nie wiem, jak zorganizowany jest kult Amberu. – Skinęła ręką. – Coś takiego jest nielegalne. Dobrze, że nie wiem, gdzie jesteście.

– Chyba tak – przyznałem. – Czy wiesz, jaki jest związek między obiektem kultu a rzeczywistą osobą? Moim zdaniem Mandor naprawdę żywi jakieś uczucia wobec Fiony. Spotkali się, wiesz, a ja byłem przy tym i widziałem. Ktoś inny, kogo znam, ukradł i umieścił w sanktuarium przedmiot należący do jego... patrona? I to... – Wstałem, podszedłem do ołtarza i ująłem miecz Corwina. – To jest prawdziwe. Oglądałem Grayswandira z bliska, dotykałem go, trzymałem. To on. Do czego zmierzam: mój ojciec zaginął, a kiedy ostatni raz go widziałem, nosił tę klingę. Czy uwięzienie patrona byłoby zgodne z założeniami kultu?

– Nigdy o czymś takim nie słyszałam – zapewniła. – Ale nie widzę przeciwwskazań. Wielbi się przecież ducha danej osoby. Nie ma powodów, żeby samej osoby nie uwięzić.

– Albo zabić?

– Albo zabić – zgodziła się.

Odwrociłem się od ołtarza.

– Zatem, choć to fascynujące, nie pomaga mi w poszukiwaniach.

Ruszyłem do niej, idąc po tym, co musiało być reprezentacją Amberu, stylizowaną jak rysunek na kaukaskich dywanach – w czarnych i białych kafelkach, z mozaiką Chaosu daleko po prawej stronie.

– Musiałbyś spytać osobę odpowiedzialną za sprowadzenie tu miecza – oświadczyła wstając.

– Spytałem już osobę, którą uważałem za odpowiedzialną. Nie uzyskałem zadowolającej odpowiedzi.

Wziąłem ją pod ramię i skierowałem w stronę przejścia na drzewo. Nagle znalazła się bardzo blisko.

– Chcę służyć nowemu królowi, jak tylko potrafię – zapewniła. – I chociaż nie mogę przemawiać w imieniu całego rodu, jestem przekonana, że Hendrake'owie pomogą ci wywrzeć nacisk na osobę odpowiedzialną.

– Dzięki – rzuciłem, gdy się objęliśmy. Jej łuski były chłodne. Jej kły rozerwałyby moje ludzkie ucho, lecz w demonicznej formie tylko pieściły. – Zwrócę się do ciebie, jeśli będę potrzebował pomocy w tej sprawie.

– Zwróć się do mnie i tak.

Przyjemnie było ją obejmować i być obejmowanym. Tym się zajmowaliśmy, gdy dostrzegłem ruch w okolicy przejścia.

– Merlinie!

– Glait!

– Istotnie. Dostrzegłam, że idziesz tutaj. W ludzkiej czy demonicznej formie, małego czy dorosłego, zawsze cię poznam.

– Co to jest, Merlinie? – zdziwiła się Gilva.

– Stara przyjaciółka – wyjaśniłem. – Glait, poznaj Gilwę. I vice versa.

– Miło mi. Przyszłam cię osztrzec, że ktoś się zbliża.

– Kto?

– Księżna Dara.

– Ojej! – zawołała Gilva.

– Domyślasz się, gdzie jesteśmy – zwróciłem się do niej. – Zachowaj to dla siebie.

– Cenię swoją głowę, panie. Co robimy?

– Glait, do mnie – rzuciłem.

Klęknąłem i wyciągnąłem rękę. Wsunęła się i ułożyła wygodnie. Wstałem i drugą ręką chwyciłem Gilwę. Wysłałem do spikardu nakaz woli.

I zawałałem się.

Nie miałem pojęcia, gdzie jesteśmy – naprawdę, fizycznie, w sensie geograficznym. Przejście może człowieka przerzucić za ścianę albo tysiące kilometrów od punktu początkowego... albo gdzieś w Cień. Skoro nie chcemy korzystać z przejścia, trochę potrwa, nim spikard zdoła określić naszą pozycję i znaleźć drogę powrotną. Byłem pewien, że za długo.

Mógłbym go wykorzystać i uczynić nas niewidzialnymi. Obawiałem się jednak, że czarnoksiężskie zmysły matki wykryją naszą obecność na poziomach wykraczających poza czysto wizualne.

Stanąłem przed najbliższą ścianą i zmysłami sięgnąłem poza nią, wzdłuż linii siły spikarda. Nie znajdowaliśmy się pod wodą, nie dryfowaliśmy po morzu lawy ani w ruchomych piaskach. Miałem wrażenie, że otacza nas las.

Wobec tego podszedłem do ściany i przemieściłem nas.

Po kilku krokach, pośrodku cienistej polany, obejrzałem się za siebie. Zobaczyłem porośniętą trawą zbocze wzgórza. Żaden śpiew nie dobiegał z głębi. Staliśmy pod błękitnym niebem, a pomarańczowe słońce zbliżało się do szczytu swej drogi. Wokół rozbrzmiewały głosy ptaków i brzęczenie owadów.

– Szpik! – zawołała Glait, odwinęła się z mojego ramienia i zniknęła w trawie.

– Nie odchódź daleko! – syknąłem, starając się nie podnosić głosu. Odszedłem z Gilwą od wzgórza.

– Merlinie – powiedziała. – Jestem przerażona tym, czego się dowiedziałam.

– Jeśli ty nikomu nie powiesz, to ja też nie – zapewniłem. – A gdybyś wolała, to zanim odeślę cię z powrotem na pogrzeb, mogę usunąć ci z pamięci te wspomnienia.

– Nie. Pozwól mi je zachować. Może nawet będę żałować, że nie mam ich więcej.

– Wyliczę pozycję i odeślę cię, zanim ktoś zauważy, że zniknęłaś.

– Zaczekam z tobą, aż twoja przyjaciółka skończy polowanie.

Oczekiwałem niemal, że powie "...na wypadek, gdybym miała cię już więcej nie zobaczyć". W końcu Tmer i Tubble zjechali już z tej zawsze śmiertelnej spirali. Ale nie. Gilva była skromną, dobrze wychowaną panią-wojownikiem i miała już ponad trzydzieści nacięć na głowni swojego miecza, o czym się później dowiedziałem. To nie w jej stylu, żeby stwierdzać nieprzyjemną oczywistość w obecności potencjalnego przyszłego władcy.

Glait wróciła po odpowiednio długim czasie.

– Dziękuję, Gilvo – powiedziałem. – Teraz odeślę cię na pogrzeb. Gdyby ktoś widział nas razem i chciał wiedzieć, gdzie jestem, powiedz, że się ukrywam.

– Jeśli potrzebujesz kryjówki...

– Może potem odezwę się jeszcze – przerwałem jej i przeniosłem z powrotem do świątyni na skraju wszystkiego.

– Dobre gryzonie – zauważyła Glait, gdy rozpocząłem przemianę w stronę człowieczeństwa (zawsze łatwiej mi to przychodzi niż przemiana w demona).

– Chcę cię posłać do galerii rzeźb w Sawall – oznajmiłem.

– Dlaczego tam, Merlinie?

– Żebyś na mnie czekała. Żebyś sprawdziła, czy nie spotkasz świadomego kręgu światła. Gdyby tak, żebyś zwróciła się do niego jako Ghostwheela i powiedziała, żeby zjawił się u mnie.

– Gdzie cię znajdzie?

– Tego nie wiem, ale on jest dobry w takich poszukiwaniach.

– Poślij mnie więc. A jeśli nie zje cię coś większego, wróc którejs nocy i opowiedz mi swoją historię.

– Na pewno.

Wystarczył moment, by zawiesić Glait na jej drzewie. Nigdy nie wiedziałem, kiedy żartuje. Gadzi humor jest zdecydowanie dziwaczny.

Przywołałem świeże ubranie i odziałem się w szarość i fiolet. Sprowadziłem też sobie długą i krótką klingę.

Zastanawiałem się, co robi mama w kaplicy, ale uznałem, że lepiej jej nie szpiegować. Uniosłem spikard, przyjrzałem mu się i zrezygnowałem. Nie ma sensu przenosić się teraz do Kashfy, skoro nie wiem, ile czasu minęło ani czy Luke nadal tam przebywa. Wyjąłem Atuty, które miałem w żałobnym stroju. Wyszukałem kartę Luke'a, skupiłem się... Po krótkiej chwili zrobiła się zimna i nastąpił kontakt.

– Słucham? – powiedział. – To ty, Merle?

Równocześnie jego wizerunek zafalował i zmienił się. Zobaczyłem, że jedzie konno przez częściowo zniszczoną, częściowo normalną okolicę.

– Tak – potwierdziłem. – Widzę, że opuściłeś już Kashfę.

– Zgadza się. Gdzie jesteś?

– Gdzieś w Cieniu. A ty?

– Niech mnie diabli, jeżeli wiem. Od paru dni podążamy za tą czarną dróżką. Mogę tylko powtórzyć: gdzieś w Cieniu.

– Znalazłeś ją?

– To Nayda. Ja niczego nie widziałem, ale ona mnie prowadziła. W końcu zobaczyłem szlak.

Świetny tropiciel z tej małej.

– Jest teraz z tobą?

– Tak. Mówi, że zmniejszamy dystans.

– W takim razie lepiej mnie przeciągnij.

– Chodź.

Wyciągnął rękę. Chwyciłem ją, postąpiłem o krok, puściłem i ruszyłem obok niego. Za nami biegł juczny koń.

– Witaj, Naydo! – zawołałem.

Jechała obok Luke'a, z drugiej strony. Przed nią, trochę z prawej, jakaś posępna figura dosiadała czarnego rumaka.

Nayda uśmiechnęła się.

– Dzień dobry, Merlinie.

– A może Merle?

– Jak sobie życzysz.

Postać na czarnym koniu odwróciła się i spojrzała na mnie. Powstrzymałem śmiertelny cios, wysłany przez spikard odruchowo i tak szybko, że sam się przestraszyłem. Powietrze między nami pociemniało i zabrzmiał zgrzytliwy Dźwięk, jakby samochód wjeżdżał na krawężnik, by uniknąć zderzenia.

To był wielki, jasnowłosy sukinsyn. Miał na sobie żółtą koszulę, czarne spodnie, czarne buty i masę rozmaitej broni. Na szerokiej piersi podskakiwał medalion z Lwem rozrywającym Jednorożca. Kiedy tylko widziałem tego człowieka albo słyszałem o nim, zawsze robił coś paskudnego, a raz niemal zabił Luke'a. Był najemnikiem, wcieleniem Robina Hooda z Eregnoru i zaprzysięgłym wrogiem Amberu – nieślubnym synem zmarłego władcy, Oberona. O ile wiem, w granicach Złotego Kręgu wyznaczono cenę za jego głowę. Z drugiej strony jednak, on i Luke przyjaźnili się od lat i Luke przysięgał, że nie jest taki zły. Był to mój wuj Dalt miałem wrażenie, że gdyby poruszył się zbyt szybko, napięte mięśnie porwałyby mu koszulę.

– Pamiętasz chyba mojego doradcę wojskowego, Dalta – powiedział Luke.

– Pamiętam – odparłem.

Dalt obserwował ciemne linie w powietrzu między nami. Rozwiały się niby dym. Wtedy chyba nawet lekko się uśmiechnął.

– Merlin – oświadczył. – Syn Amberu, księżę Chaosu, człowiek, który wykopał mi grób.

– Co to znaczy? – zdziwił się Luke.

– To taki konwersacyjny gambit – wyjaśniłem. – Masz dobrą pamięć, Dalt... do twarzy.

Parsknął.

– Trudno zapomnieć grób, który otwiera się pod nogami. Ale nie toczę z tobą walki, Merlinie.

– Ani ja z tobą... teraz.

Burknął coś, ja odburknąłem i uznałem, że zostaliśmy sobie przedstawieni. Zwróciłem się do Luke'a.

– Czy sama ścieżka sprawia wam jakieś kłopoty? – spytałem.

– Nie. Nic podobnego do tych historii, jakie słyszałem o Czarnej Drodze. Czasem wygląda dość ponuro, ale nic nam jeszcze nie zagroziło. – Spojrzał w dół i zaśmiał się. – Naturalnie, ma tylko parę metrów szerokości. I jak dotąd to najszersze miejsce.

– Mimo wszystko... – mruknąłem. Wyteżyłem zmysły i logrusowym wzrokiem przyjrzałem się jej emanacjom. – Sądzę, że coś mogło was zaatakować.

– Chyba mieliśmy szczęście – stwierdził.

Nayda parsknęła śmiechem, a ja poczułem się głupio. Obecność ty'igi równie skutecznie jak moja tłumiła groźne wpływy drogi Chaosu w dziedzinę Porządku.

– Rzeczywiście, sprzyjało wam – przyznałem.

– Będzie ci potrzebny koń, Merle – zauważył.

– Raczej tak.

Obawiałem się wzywania magii Logrusu, by nie zwracać na siebie jego uwagi. Przekonałem się jednak, że w podobny sposób można użyć spikarda. Przesłałem do niego swe życzenie, sięgnąłem daleko, jeszcze dalej, nastąpił kontakt, przywołanie...

– Zaraz tu będzie – oznajmiłem. – Wspomniałeś, że ich doganiamy.

– Tak twierdzi Nayda – wyjaśnił. – Jest zadziwiająco silnie związana z siostrą. Nie wspominając o wyczuleniu na samą ścieżkę. I wie sporo o demonach – dodał.

– Czy powinniśmy się ich obawiać? – spytałem ją.

– To wojownicy Chaosu w demonicznych formach porwali Coral – odpowiedziała. – Zmierzają chyba do wieży przed nami.

– Jak daleko przed nami?

– Trudno powiedzieć, ponieważ przecinamy cienie.

Szlak znaczyła poczerniała trawa podobny efekt wywoływał u wszystkich krzewów i drzew, które wyciągały nad nim gałęzie. Wił się teraz pomiędzy wzgórzami. Schodziłem z niego i wracałem za każdym razem okolica zdawała się jaśniejsza i cieplejsza. Ścieżka miała tu takie działanie, choć w okolicach Kashfy była prawie niewidzialna – to dowód, jak daleko zapuściliśmy się w dziedzinę Logrusu.

Za kolejnym zakrętem szlaku, z prawej strony, usłyszałem rzenie. – Przepraszam – rzuciłem. – Przyszła dostawa.

Zbiegłem ze ścieżki i wkroczyłem w zagajnik drzew o owalnych liściach. Tupanie i parskania dobiegały do mnie gdzieś z przodu. Cienistymi drózkami podążałem za głosem.

– Zaczekaj! – krzyknął Luke. – Nie powinniśmy się rozdzielać. Jednak drzewa rosły gęsto i niełatwo przejechałby tędy jeździec na koniu.

– Nie martw się! – wrzasnąłem i ruszyłem dalej.

...I właśnie dlatego znalazł się w tym miejscu.

W pełni osiodłany, z uzdą wplątaną w gęste liście, przeklinał w końskiej mowie, szarpał głową na boki, walił kopytami o ziemię. Stałem i patrzyłem.

Być może sprawiłem wrażenie, że wolałbym raczej włożyć adidas i pobiec przez Ciebie niż jechać na grzbiecie zwierzęcia doprowadzonego niemal do szaleństwa przez zachodzące zmiany. Albo pojechać na rowerze. Czy skakać na żabiej lasce.

To wrażenie nie byłoby całkiem błędne. Rzecz nie w tym, że nie umiem nimi kierować. Chodzi o to, że nigdy ich specjalnie nie lubiłem. To fakt, nie korzystałem z takich cudownych koni jak

Morgenstern Juliana, Gwiazda taty czy Glemdenning Benedykta, które pod względem długości życia, siły i wytrzymałości były wobec normalnych koni tym, czym Amberycki wobec mieszkańców większości cieni.

Rozejrzałem się, ale nie zauważyłem rannego jeźdźca.

– Merlinie! – usłyszałem wołanie Luke'a, ale obiekt mojej uwagi znajdował się o wiele bliżej. Podszedłem ostrożnie, żeby nie spłoszyć go bardziej. – Nic ci się nie stało?

Wysłałem zamówienie na konia. Każda pociągowa szkapa by się nadała, żeby dotrzymać kroku moim towarzyszom.

Znalazłem jednak zwierzę absolutnie cudowne, w czarne i pomarańczowe pasy, jak tygrys. Przypominał tym Glemdenninga z jego czerwoczarnymi pasami. A że nie wiedziałem, skąd pochodzi wierzchowiec Benedykta, chętnie uznałem, że jest to kraina magii. Podszedłem wolno.

– Merle! Co się dzieje?

Nie chciałem krzyczeć w odpowiedzi, żeby nie straszyć biednego zwierzaka. Delikatnie położyłem mu dłoń na szyi.

– Już dobrze – powiedziałem. – Lubię cię. Uwolnię cię i zostaniemy przyjaciółmi. Zgoda?

Nie spieszyłem się z wyplątywaniem uzdy. Drugą ręką gładziłem jego szyję i barki. Wolny, nie odskoczył, ale jakby mi się przyglądał.

– Chodź. – Chwyciłem uzdę. – Tędy.

Poprowadziłem go drogą, którą przyszedłem. Zanim wyszliśmy z lasu, uświadomiłem sobie, że naprawdę go lubię. Zaraz potem spotkaliśmy Luke'a z mieczem w dłoni.

– Wielki Boże! – zawołał. – Nic dziwnego, że tak długo to trwało. Zdążyłeś go pomalować!

– Podoba ci się?

– Gdybyś kiedyś chciał się go pozbyć, dam ci dobrą cenę.

– Chyba go nie sprzedam.

– Jak się zwie?

– Tygrys – odparłem bez namysłu. Potem wskoczyłem na siodło.

Wróciliśmy na szlak, gdzie nawet Dalt zerkał na Tygrysa z czymś w rodzaju podziwu. Nayda pogładziła czarnopomarańczową grzywę.

– Teraz może zdążymy – powiedziała. – Jeśli będziemy się spieszyć.

Wprowadziłem Tygrysa na ścieżkę. Pamiętając opowieść taty o wpływie Czarnej Drogi na zwierzęta, przewidywałem najrozmaitsze reakcje. On jednak nie zwracał na nic uwagi. Wypuściłem powietrze – nie zauważyłem nawet, że wstrzymuję oddech.

– Na co zdążymy? – spytałem.

Ustawiliśmy się w szyku: Luke na czele, Dalt za nim, po prawej, Nayda po lewej stronie ścieżki, w tyle, ja za nią, po prawej.

– Nie wiem na pewno – odparła. – Coral nadal jest uśpiona. Ale wiem, że już jej nie wiozą. Mam wrażenie, że porywacze schronili się w wieży, gdzie szlak jest o wiele szerszy.

– Hm... – mruknąłem. – Zauważyłaś może, jaka jest prędkość zmian szerokości na jednostkę długości tej ścieżki?

– Studiowałam nauki humanistyczne – przypomniała mi z uśmiechem. – Nie pamiętasz?

Odwróciła się natychmiast i spojrzała na Luke'a. Był o długość konia przed nami, wpatrzony przed siebie... choć jeszcze przed chwilą się oglądał.

– Niech was licho! – mruknęła. – Kiedy jestem tu z wami dwoma, ciągle myślę o szkole. A potem zaczynam o tym mówić...

– Po angielsku – dodałem.

– Powiedziałaś to po angielsku?

– Tak.

– Do diabła! Ratuj, gdyby się to powtórzyło, dobrze?

– Oczywiście. To chyba dowodzi, że podobało ci się tam, chociaż wykonywałaś tylko rozkazy Dary. No i jesteś prawdopodobnie jedynym demonem, który ukończył Berkeley.

– Tak, podobało mi się, choć nie byłam pewna, który z was jest który. To najpiękniejsze dni mojego życia, z tobą i Lukiem, w szkole. Przez całe lata usiłowałam poznać imiona waszych matek, żeby wiedzieć, którego mam chronić. Ale obaj byliście tacy skryci.

– Mamy to chyba w genach – zauważyłam. – Miło mi było w twoim towarzystwie jako Vinty Bayle... i wdzięczny jestem za ochronę także w innych postaciach.

– Cierpiałam – mówiła dalej – kiedy Luke rozpoczął te doroczne zamachy na twoje życie. Gdyby to on okazał się synem Dary, którego miałam ochraniać, to nie powinno być istotne. Ale było. Lubiłam was obu. Wiedziałałam tylko, że obaj pochodzicie z krwi Amberu. Nie chciałam, żeby spotkała was krzywda. Najtrudniej było, kiedy wyjechałeś. Myślałam, że Luke zwabił cię w góry Nowego Meksyku, żeby cię zabić. Podejrzywałam już wtedy, że chodzi o ciebie, ale nie miałam pewności. Kochałam Luke'a. Opanowałam ciało Dana Martineza i nosiłam pistolet. Podążałam za tobą wszędzie, gdzie tylko mogłam, chociaż wiedziałam, że gdyby spróbował cię skrzywdzić, czar zmusi mnie, bym strzelała do człowieka, którego kocham.

– Ale to ty strzeliłaś pierwsza. My tylko rozmawialiśmy przy drodze. On strzelał w samoobronie.

– Wiem. Ale wszystko wskazywało na to, że jesteś w niebezpieczeństwie. Zabrał cię w miejsce idealne do egzekucji, w idealnym czasie...

– Nie – przerwałam. – Twój strzał chybił, a ty wystawiłaś się na to, co nastąpiło potem.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi.

– Obawiałaś się, że będziesz musiała strzelić do Luke'a. Rozwiązałaś ten problem, doprowadzając do sytuacji, gdy on cię zastrzelił.

– Nie mogłam tego zrobić. Rzucono na mnie czar.

– Może nieświadomie. Zatem działało tu coś silniejszego od czaru.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Tak. I teraz możesz już to przyznać. Zostałaś uwolniona od zaklęcia. Matka mi o tym mówiła. Ty mi mówiłaś... tak myślę.

Kiwnęła głową.

– Nie wiem dokładnie, kiedy czar został zdjęty... ani jak. Ale zniknął. Mimo to w razie potrzeby nadal próbowałabym cię osłonić. To dobrze, że ty i Luke naprawdę jesteście przyjaciółmi i...

– Więc po co te tajemnice? – wtrąciłam. – Czemu nie powiesz, że byłaś Gail? Zrobisz mu niespodziankę... miłą.

– Nie rozumiesz? Nie pamiętasz, że ze mną zerwał? Teraz mam kolejną szansę. Wszystko się powtarza. On... bardzo mnie lubi. Boję się powiedzieć: "Jestem tą dziewczyną, z którą zerwałeś". Mógłby zacząć sobie przypominać powody i dojść do wniosku, że miał wtedy rację.

– To bez sensu – stwierdziłam. – Nie wiem, jaki podał ci powód. Nigdy mi o tym nie wspominał. Powiedział tylko, że się pokłóciliście. Ale jestem pewien, że to pretekst. Wiem, że cię lubił. Jestem przekonany, że zerwał z tobą, ponieważ był synem Amberu, który wracał do domu, żeby wykonać pewną bardzo paskudną robotę. W tym obrazie nie mieściła się zwyczajna dziewczyna z Cienia. Zbyt dobrze odegrałaś swoją rolę.

– Czy dlatego ty zerwałeś z Julią? – zapytała.

– Nie.

– Przepraszam.

Zauważyłem, że od początku naszej rozmowy czarna ścieżka poszerzyła się o jakieś trzydzieści centymetrów. Przyszedł czas na pewne zadanie matematyczne.



# Rozdział 10

Jechaliśmy dalej... Sześć kroków wzdłuż ulicy miasta, wśród ryku klaksonów, nasz czarny szlak obramowany śladami hamowania pół kilometra po czarnej, piaszczystej plaży, nad zielonym morzem, z falującymi palmami po lewej stronie przez lśniąca, śnieżną równinę pod kamiennym mostem, gdy nasza droga jest suchym, czarnym korytem strumienia potem na prerię i znowu w las. Tygrys nie drgnął nawet, kiedy Dalt wybił nogą przednią szybę samochodu i odłamał antenę.

Ścieżka rozszerzała się ciągle. Teraz była dwa razy szersza niż wtedy, kiedy na niej stanąłem. Częściej pojawiały się nagie drzewa: wyrastały niby fotograficzne negatywy swych barwnych towarzyszy, stojących ledwie kilka metrów od szlaku. Gałęzie i liście tych ostatnich poruszały się, my jednak nie czuliśmy wiatru. Dźwięki – nasze głosy, stuk końskich kopyt – dobiegały przytłumione. Podążaliśmy przez wieczny zmierzch, chociaż kilka kroków obok – którą to wycieczkę podejmowaliśmy wiele razy – mogło trwać południe lub głęboka noc. Martwe z wyglądu ptaki siedziały na czarnych gałęziach drzew, choć czasami zdawały się poruszać, a szorstkie, chrapliwe głosy, jakie nas niekiedy dobiegały, mogły pochodzić od nich.

Raz po prawej stronie szalał pożar innym razem jechaliśmy chyba u stóp lodowca po lewej. Szlak poszerzał się stale – nic podobnego do wielkiej Czarnej Drogi, którą opisał mi Corwin, ale mogliśmy już jechać nim obok siebie.

– Luke – odezwałem się.

– Tak? – odpowiedział z lewej strony. Nayda jechała teraz po mojej prawej, a Dalt obok niej. – O co chodzi?

– Nie chcę być królem.

– Ja też nie – zapewnił. – Mocno cię naciskają?

– Boję się, że jeśli wrócę, złapią mnie i ukoronują. Wszyscy, którzy stali mi na drodze, zginęli gwałtownie. Oni naprawdę chcą wsadzić mnie na tron, ożenić z Coral...

– Zaczekaj – przerwał mi. – Mam dwa pytania. Pierwsze: czy to coś da?

– Logrus uważa chyba, że tak, przynajmniej na pewien czas. Ale właśnie na tym polega polityka.

– Drugie – dokończył. – Jeśli twoje uczucia wobec Dworców zbliżone są do moich wobec Kashfy, nie pozwolisz, żeby szlag je trafił, gdy możesz temu zaradzić. Nawet jeżeli to oznacza osobiste niewygody. Jednak nie chcesz wziąć korony. Musiałeś zatem opracować jakieś inne metody ratunku. Jakie?

Przytaknąłem. Szlak skręcił ostro w lewo i ruszył pod górę. Coś małego i ciemnego przecięło nam drogę.

– Mam pomysł... właściwie nawet nie pomysł – wyjaśniłem. – Chcę go omówić z ojcem.

– Niezłe wymagania – zauważył. – Czy chociaż wiesz na pewno, że on żyje?

– Rozmawiałem z nim całkiem niedawno. Bardzo krótko. Jest gdzieś uwięziony. Jestem pewien jedynie tego, że przebywa w pobliżu Dworców... Stamtąd i tylko stamtąd mogę go osiągnąć przez Atut.

– Opowiedz o tej rozmowie – poprosił.

Opowiedziałem: o czarnym ptaku i całej reszcie.

– Wygląda na to, że niełatwo go będzie stamtąd wyciągnąć – ocenił. – I myślisz, że twoja matka za tym stoi?

– Tak.

– Myślałem, że tylko ja mam takie problemy rodzinne. Ale to się zgadza, skoro twoja matka szkoliła moją.

– Jak to możliwe, że my jesteśmy normalni? – zapytałem.

Przyglądał mi się przez kilka sekund, po czym wybuchnął śmiechem.

– Czuję się normalny – oświadczyłem.

– Oczywiście, a tylko to się liczy – zapewnił pospiesznie. – Powiedz: gdyby doszło do starcia, zwyciężyłbyś Darę?

– Trudno powiedzieć. Jestem teraz silniejszy niż kiedykolwiek przedtem. To za przyczyną spikarda. Ale zaczynam podejrzewać, że ona jest naprawdę dobra.

– Co to jest spikard, do diabła?

Opowiedziałem mu również o tym.

– To dlatego byłeś taki szybki, kiedy walczyłeś z Jurtem w kościele? – domyślił się.

– Zgadza się.

– Pokaż mi go.

Spróbowałem zdjąć pierścień, ale nie chciał przejść przez kostkę. Dlatego po prostu wyciągnąłem dłoń. Luke sięgnął po niego i jego palce zatrzymały się w odległości kilku centymetrów.

– Nie dopuszcza mnie, Merle. Twardy diabeł.

– Do licha – mruknąłem. – Nie na darmo jestem zmiennokształtny. Chwyciłem spikard, nagle zwęziłem palec i ściągnąłem go-

– Masz.

Trzymał go na lewej dłoni. Jechaliśmy wolno, a on przyglądał się spod zmrużonych powiek. Nagle zakręciło mi się w głowie. Czyżby objawy uzależnienia? Wyprostowałem się, uspokoiłem oddech, niczego po sobie nie pokazałem.

– Ciężki – stwierdził w końcu Luke. – Wyczuwam w nim moc. I inne rzeczy. Ale nie chce mnie wpuścić do wnętrza.

Sięgnąłem po pierścień, ale Luke odsunął rękę.

– Czuję to w powietrzu dookoła nas – stwierdził. – Merle, ta zabawka rzuca czar na każdego, kto ją nosi.

Wzruszyłem ramionami.

– Owszem – przyznałem. – Ale czar dobroczynny. Nie próbował mi zaszkodzić, a wiele razy pomógł.

– Ale czy możesz zaufać czemuś, co trafiło do ciebie w tak niezwykły sposób, niemal drogą oszustwa? Sprawilo, że porzuciłeś Frakir, kiedy próbowała cię ostrzec, i pewnie od tamtej chwili wpływa na twoje zachowanie?

– Przyznaję się do pewnej dezorientacji w początkowym okresie. Ale uważam, że musiałem się przystosować do poziomu energii, jakie on wykorzystuje. Potem wróciłem do normy.

– Skąd możesz to wiedzieć? Może ci zrobił pranie mózgu?

– Czy sprawia wrażenie człowieka po praniu mózgu?

– Nie. Chciałem tylko powiedzieć, że nie ufałbym bez reszty czemuś o tak wątpliwych referencjach.

– Słuszna uwaga. – Nadal wyciągałem rękę. – Ale jak dotąd korzyści przeważają hipotetyczne zagrożenia. Uznaj, że jestem ostrzeżony. Zaryzykuję.

Oddał mi spikard.

– Gdybym stwierdził, że skłania cię do dziwnych zachowań, walnę cię w głowę i ściągnę ci go z palca.

– Różnorodna propozycja – zgodziłem się.

Wsunąłem spikard na palec. Gdy tylko odnowiły się linie połączeń, poczułem falę energii pędzącą

przez system nerwowy.

– Nie jesteś pewien, że wyciągniesz te informacje od matki – stwierdził. – W takim razie jak zamierzasz odszukać Corwina i go uwolnić?

– Mam kilka pomysłów. Najprostszy – to metoda nogi wciśniętej w drzwi. Otworzyłbym wszystkie kanały spikarda i jeszcze raz spróbował kontaktu przez Atut. Gdy tylko nastąpiłoby jakiegokolwiek połączenie, ruszyłbym za nim pełną mocą, zgniatając i wypalając wszystkie zaklęcia, które by mnie powstrzymywały.

– To chyba niezbyt bezpieczne.

– Żadnego bezpiecznego sposobu nie wymyśliłem.

– Więc dlaczego jeszcze nie spróbowałaś?

– Wpadłem na to całkiem niedawno i jeszcze nie miałem okazji.

– Jakkolwiek się do tego zabierzesz, przyda ci się pomoc – stwierdził. – Możesz na mnie liczyć.

– Dzięki, Luke. Ja...

– A teraz wracajmy do sprawy królowania – przerwał. – Co się stanie, jeśli zwyczajnie odmówisz przyjęcia korony? Kto jest następnym w kolejce?

– W rodzie Sawalla rzecz jest trochę skomplikowana. Formalnie, pierwszy w linii sukcesji powinien być Mandor. Ale wycofał się już całe lata temu.

– Dlaczego?

– Stwierdził chyba, że nie nadaje się do rządów.

– Bez obrazy, Merle, ale z was wszystkich on jeden sprawia wrażenie właściwego człowieka na to stanowisko.

– Bez wątplenia – przyznałem. – Ale w większości rodów znajdzie się ktoś taki. Zwykle istnieje przywódca nominalny i przywódca faktyczny, ktoś na pokaz i ktoś do intryg. Mandor lubi takie zakulisowe klimaty.

– Wygląda na to, że w waszym rodzie jest takich dwoje.

– Co do tego nie jestem całkiem pewny – odparłem. – Nie wiem, jaką pozycję ma Dara w rodzie swojego ojca, Helgram, czy swojej matki, Hendrake. Gdyby jednak następny król miał pochodzić z Sawallów, może warto byłoby walczyć tam o władzę. Chociaż, im więcej dowiaduję się o Mandorze, tym bardziej ryzykowna wydaje mi się taka walka. Sądzę, że współpracują ze sobą.

– Rozumiem, że następny jesteś ty, a potem Jurt?

– Ścisłej mówiąc, po mnie idzie nasz brat Despil. Jurt sądzi, że Despil zrezygnuje na jego korzyść, ale to chyba tylko marzenia. W każdym razie Jurt twierdzi, że nie jest zainteresowany.

– Ha! Uważam, że zwyczajnie próbuje innego podejścia. Tyle już razy spuściłeś mu lanie, że stara się do ciebie zbliżyć. Mam nadzieję, że spikard potrafi osłonić ci plecy.

– Sam nie wiem.. – wyznałem. – Chciałbym mu wierzyć. Chociaż przez długi czas się starał, żeby nie przyszło mi to za łatwo.

– Przypuśćmy, że wszyscy zrezygnujecie. Kto będzie następny?

– Nie jestem pewien. Ale wydaje mi się, że sukcesja przejdzie na Hendrake'ów.

– Niech to diabli – mruknął Luke. – Takie same komplikacje jak w Amberze.

– Właściwie nie ma żadnych komplikacji, tam ani tam. Sprawy są tylko trochę poplątane, dopóki nie prześledzisz wszystkich nici.

– To może ja będę słuchał, a ty opowiesz mi o wszystkim, o czym jeszcze nie słyszałem?

– Niezły pomysł.

Mówiłem więc przez długi czas, przerywając jedynie, by przywołać żywność i wodę. Dwa razy zrobiliśmy postój, co mi uświadomiło, jak bardzo jestem zmęczony. A streszczenie dla Luke'a znowu

przypomniało, że wszystko to powinienem opowiedzieć Randomowi. Gdybym jednak się z nim połączył, na pewno kazałby mi wracać do Amberu. A nie mógłbym odmówić wykonania wyraźnego rozkazu króla, choćbym nawet sam prawie nim był.

– Zbliżamy się – oznajmiła jakiś czas później Nayda.

Zauważyłem, że nasz szlak poszerzył się jeszcze bardziej, niemal tak, jak to opisywała. Wprowadziłem do swojego systemu ładunek energii, przetrawiłem go i jechałem dalej.

– O wiele bliżej – stwierdziła w chwilę potem.

– Tak jak zaraz za rogiem? – spytał Luke.

– Możliwe. Trudno określić dokładnie wobec stanu, w jakim się znajduje. Ale już wkrótce usłyszeliśmy krzyki. Luke ściągnął wodze.

– Coś o wieży – stwierdził. Skinęła głową.

– Czy zmierzali do niej, ukryli się w niej, czy może bronią się tam?

– Wszystko po kolei – odparła. – Teraz zrozumiałam. Porywacze byli ścigani, kierowali się do kryjówki, dotarli i teraz jej bronią.

– Jak to możliwe, że nagle jesteś taka dokładna? Spojrzała na mnie, co uznałem za prośbę o wyjaśnienie inne niż jej moc ty'igi.

– Użyłem spikardu – oświadczyłem. – Chciałem się przekonać, czy potrafię jej dać jaśniejszą wizję.

– Świetnie – stwierdził Luke. – Możesz ją wzmocnić jeszcze bardziej, żebyśmy sprawdzili, z czym oni walczą?

– Mogę spróbować.

Zerknąłem na nią spod przymkniętych powiek. Odpowiedziała lekkim skinieniem głowy.

Nie byłem pewien, jak się do tego zabrać, więc po prostu doładowałem ją energią podobną do ładunku, który niedawno zaaplikowałem sobie.

– Tak – powiedziała po chwili. – Coral i jej porywacze... chyba jest ich sześciu... ukryli się w tej wieży. Są obłączeni.

– Jak duży jest oddział napastników?

– Niewielki. Całkiem mały. Nie potrafię podać ich liczby.

– Jedźmy się przekonać – rzucił Luke i ruszył przodem, a tuż za nim Dalt.

– Trzech albo czterech – szepnęła mi Nayda. – Ale to upiory Wzorca. To chyba wszystko, co potrafi utrzymać tak daleko od domu i na Czarnej Drodze.

– O rany – mruknąłem. – Sprawa się komplikuje.

– Dlaczego?

– To znaczy, że mam krewnych po obu stronach.

– Wygląda też na to, że upiory z Amberu i demony z Dworców to tylko pionki, a naprawdę chodzi o konfrontację między Logrusem a Wzorcem.

– A niech to! Oczywiście! Walka może się przerodzić w wielkie starcie. Muszę ostrzec Luke'a, do czego się zbliżamy.

– Nie wolno ci! Musiałbyś mu zdradzić, kim jestem!

– Powiem, że sam to odkryłem... że nagle znalazłem nowe zakłęcie.

– Ale co potem? Po czyjej stronie staniesz? Co mamy robić?

– Po niczyjej – oświadczyłem. – Działamy na własną rękę, przeciwko jednym i drugim.

– Oszalałeś! Nigdzie nie zdołasz się ukryć, Merle! Potęgi rozdzieliły wszechświat między siebie!

– Luke! – krzyknąłem. – Wysondowałem, że atakujący są upiorami Wzorca!

– Co ty powiesz?! – zawołał. – Myślisz, że powinniśmy im pomóc? Lepiej chyba, żeby Wzorzec ją

odbił, niż żeby trafiła do Dworców. Nie sądzisz?

– Nie wolno tak jej wykorzystywać. Odbierzmy ją jednym i drugim.

– Podzielam twoje uczucia – stwierdził. – Ale co będzie, jeśli się nam uda? Nie chciałbym, żeby nagle trafił mnie meteor ani żeby mnie przerzuciło na dno najbliższego oceanu.

– O ile mogę to ocenić, spikard nie czerpie swej mocy z Wzorca ani z Logrusu. Źródła jego energii są porozrzucane w całym Cieniu.

– No to co? Z pewnością nie jest przeciwnikiem dla żadnego z nich, a co dopiero dla obu.

– Nie. Ale mogę go użyć, żeby umożliwić nam ucieczkę. Gdyby próbowali pościgu, będą tylko wchodzić sobie w drogę.

– Ale w końcu nas znajdą.

– Może tak, może nie. Mam kilka pomysłów... ale czas nam się kończy.

– Słyszałeś, Dalt? – zapytał Luke.

– Tak.

– Gdybyś chciał się wycofać, teraz masz szansę.

– I stracić okazję, żeby pociągnąć Jednorożca za ogon? – parsknął Dalt. – Jedziemy!

Ruszyliśmy. Krzyki rozlegały się coraz głośniejsze, a my pędziliśmy naprzód. Ogarnęło mnie poczucie beczasowości... te przytłumione głosy i mrok... jakbyśmy zawsze tędy jechali i zawsze mieli jechać...

I wtedy minęliśmy zakręt i zobaczyliśmy przed sobą szczyt wieży. Znowu rozległy się krzyki. Zwolniliśmy przed kolejnym zakrętem. Przesuwaliśmy się ostrożnie, ukryci w zagajniku czarnych drzew.

Zatrzymaliśmy się wreszcie, zsiadliśmy z koni i dalej ruszyliśmy pieszo. Odsunęliśmy ostatnią zasłonę gałęzi i spojrzeliśmy wzdłuż łagodnego zbocza w dół, ku pocerniałej, piaszczystej równinie wokół dwupiętrowej, ciemnoszarej wieży ze szczelinami okien i ciasnym wejściem. Dopiero po chwili zrozumieliśmy, co się dzieje u jej podstawy.

Dwaj osobnicy w demonicznych formach stanęli po obu stronach wejścia. Byli uzbrojeni i obserwowali pojedynek, rozgrywający się na piasku przed nimi. Znajome postacie stanęły po drugiej stronie i z boków tej zaimprovizowanej areny. Benedykt z obojętną miną gładził brodę, Eryk przykucnął z uśmiechem, Caine z wyrazem rozbawienia i fascynacji podrzucał, zonglował, kręcił i przerzucał sztylet, automatycznie wykonując jakiś osobisty rytuał. Ze szczytu wieży, zauważyłem nagle, wychylały się dwa rogate demony, podobnie jak upiory Wzorca zapatrzone w walczących..

Pośrodku kręgu Gerard stał przed demoniczną formą syna Hendrake'ów, równego wzrostu, ale potężniejszej budowy. Odniosłem wrażenie, że to sam Chinaway podobno miał kolekcję ponad dwustu czaszek tych, których pokonał. Wolałem kolekcję Gerarda: prawie tysiąc kubków, kufla i rogów do picia... ale twój duch, kochanku drzew, podąży angielską drogą... jeśli rozumiecie, o co mi chodzi.

Obaj byli obnażeni do pasa. Sądząc po zdeptanym piasku, walka trwała już dość długo. Chinaway spróbował właśnie podciąć Gerarda, ten uskoczył, chwycił go za ramię i głowę i przewrócił na ziemię. Demon wykonał gwiazdę, stanął na nogach i zaatakował znowu, wyciągając ręce i kreśląc dłońmi faliste linie. Gerard po prostu czekał, gotów do walki. Chinaway pchnął szponami w oczy i wyprowadził cios na klatkę piersiową. Gerard złapał go za ramię, a Chinaway przyklęknął i chwycił za udo.

– Zaczekajmy – rzucił cicho Dalt. – Chcę popatrzeć.

Luke i ja kiwnęliśmy głowami. Gerard chwycił oburącz głowę Chinawaya, ten zaś drugą ręką objął go w talii. Potem stali nieruchomo, a mięśnie przeżyły im się pod skórą, jedną jasną i gładką,

drugą czerwoną i pokrytą łuskami. Płuca pracowały im jak miechy.

- Sądzę, że starcie się przeciągało – szepnął Luke. – I postanowili rozstrzygnąć je pojedynkiem.
- Na to wygląda – zgodziłem się.
- Jak myślisz, Coral jest chyba wewnątrz?
- Zaczekaj chwilę.

Pchnąłem sondę w kierunku budowli, odnalazłem wewnątrz dwoje ludzi. Kiwnąłem głową.

- Według mnie, ona i jeden strażnik. Gerard i Chinaway nadal stali niczym posągi.
- Może to najlepszy moment, żeby porwać Coral – zauważył Luke. – Wszyscy obserwują walkę.
- Chyba masz rację. Sprawdzę, czy uda mi się niewidzialność. To ułatwi sprawę.
- Już – oświadczył piętnaście sekund później. – Cokolwiek zrobięś, właśnie zadziałało.

Zniknąłeś.

- Rzeczywiście znikam – powiedziałem. – Wracam za moment.
- Jak ją wydostaniesz?
- Coś wymyślę, kiedy już ją znajdę. Przygotujcie się.

Ruszyłem powoli, starając się nie zostawiać śladów na piasku. Za plecami Caine'a obszedłem arenę. Rozglądając się bez przerwy, bezszelestnie zbliżyłem się do drzwi wieży. Gerard i Chinaway nadal stali w tych samych pozach, z potworną siłą naprężając mięśnie.

Przeszedłem między strażnikami i zagłębiłem się w mroczne wnętrze wieży. Było to jedno okrągłe pomieszczenie z klepiskiem zamiast podłogi i kamiennymi podestami pod wąskimi oknami. Na pierwsze piętro prowadziła drabina oparta o otwór w sklepieniu. Coral leżała na kocu po lewej stronie. Osobnik, który najwyraźniej miał jej pilnować, stał na podeście i przez okno obserwował pojedynek.

Podszedłem bliżej, ująłem jej lewy nadgarstek i zbadłem puls. Był równy i silny. Wołałem jej jednak nie budzić. Zawinąłem ją w koc, wziąłem na ręce i wstałem. Już miałem rozszerzyć na nią działanie czaru niewidzialności, kiedy kibic przy oknie obejrzał się nagle. Widocznie narobiłem hałasu.

Przez moment strażnik patrzył oniemiały, jak więzień unosi się w powietrzu. Potem otworzył usta, żeby podnieść alarm... co nie pozostawiło mi innej możliwości, jak tylko ładunkiem z mojego pierścienia porazić mu system nerwowy.

Na nieszczęście brzęknęła broń, gdy spadł z podestu na ziemię. I niemal równocześnie usłyszałem z piętra krzyk, a po nim odgłos szybkich kroków.

Zawróciłem do drzwi. Były wąskie, musiałem więc zwolnić i odwrócić się bokiem. Nie byłem pewien, co pomyślą strażnicy na zewnątrz, kiedy obok nich przepłynie uśpiona Coral. Nie chciałem jednak znaleźć się w pułapce. Wyjrzałem. Gerard i Chinaway nie zmienili chyba pozycji. Jednak po kilku sekundach, kiedy stanąłem bokiem i zrobiłem pierwszy, ostrożny krok, Gerard wykonał gwałtowny skręt. Rozległ się trzask jakby łamanej gałęzi. Gerard opuścił ręce i wyprostował się. Ciało Chinawaya opadło na ziemię z głową odchyloną pod niemożliwym kątem. Eryk i Caine bili brawo. Dwaj strażnicy spod drzwi ruszyli biegiem. Za mną, wewnątrz, w drugim końcu pomieszczenia stuknęła drabina. Usłyszałem krzyk.

Jeszcze dwa kroki i odwróciłem się, skręciłem w lewo. Strażnicy pędzili do swego pokonanego towarzysza. Sześć kroków i wołania rozległy się za moimi plecami. To ścigający wybiegli z wieży. Z areny dobiegały też krzyki ludzi.

Wiedziałem, że obciążony nie zdołam im uciec. W dodatku działania motoryczne utrudniały umysłową koncentrację do tego stopnia, że nie byłem zdolny do żadnych operacji magicznych.

Dlatego przyklęknąłem, opuściłem Coral na ziemię, odwróciłem się i nie wstając nawet

wyciągnąłem lewą pięść. Sięgając umysłem głęboko do wnętrza pierścienia, wezwałem szczególne środki, zdolne do powstrzymania dwójki komandosów z Hendrake. Byli już kilka kroków ode mnie, a ostrą broń trzymali gotową do klucia i cięcia.

I nagle otoczyły ich płomienie. Myślę, że krzyknęli, ale i tak panował hałas. Jeszcze dwa kroki i upadli, poczerniali i wstrząsani drgawkami. Od natężenia mocy, która to sprawiła, drżała mi dłoń. Nie miałem czasu na myśli ani uczucia. Wymierzyłem rękę w stronę piaszczystej areny, gdzie właśnie skończył się pojedynek, i w stronę tego, co mogło stamtąd nadchodzić.

Jeden z dwóch strażników, którzy dobiegli na miejsce, leżał dymiąc u stóp Eryka. Drugi – który najwyraźniej zaatakował Caine'a – zaciskał palce na tkwiącym w gardle nożu. Płomienie rozlewały się od jego krtani w dół, w górę, na boki. Po chwili wolno osunął się na plecy.

Caine, Eryk i Benedykt natychmiast zwrócili się w moją stronę. Gerard wciągnął właśnie niebieską koszulę i zapinał pas. Potem również spojrzał na mnie.

– A kimże ty jesteś, panie? – odezwał się Caine.

– Merlin – odparłem. – Syn Corwina.

Caine był wyraźnie zaskoczony.

– Czy Corwin ma syna? – zwrócił się do pozostałych.

Eryk wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia – stwierdził Gerard. Ale Benedykt przyjrzał mi się z uwagą.

– Istnieje pewne podobieństwo – zauważył.

– To fakt – przyznał Caine. – No dobrze, chłopcze.

Jeśli nawet jesteś synem Corwina, ta kobieta, którą chciałeś wynieść, należy do nas. Uczciwie ją wygraliśmy od tych przypieczonych Chaosytów.

Ruszył ku mnie. Po chwili dołączył do niego Eryk. Potem Gerard. Nie chciałem ich krzywdzić, nawet jeśli byli tylko upiorami. Skinąłem ręką i linia wyrysowała się na piasku tuż przed nimi. Natychmiast strzeliły z niej płomienie.

Zatrzymali się.

Nagle potężna postać stanęła po mojej lewej stronie: to Dalt z nagim mieczem w dłoni. Po chwili zjawił się Luke. I Nayda. Nasza czwórka spoglądała na nich czterech ponad linią ognia.

– Teraz jest nasza – oznajmił Dalt i postąpił o krok.

– Mylisz się – nadeszła odpowiedź. Eryk przekroczył płomienie i dobył broni.

Dalt był od niego o kilka centymetrów wyższy i miał większy zasięg ramion. Zaatakował natychmiast. Spodziewałem się cięcia tym jego wielkim mieczem, ale spróbował pchnąć. Eryk, używający lżejszej klingi, zrobił unik i uderzył pod jego ramieniem. Dalt opuścił ostrze, przesunął się w lewo i odbił. Dwa miecze sugerowały całkiem inne style: broń Eryka należała do najcięższej kategorii klasy rapierów, broń Dalta do lżejszej kategorii mieczy długich. Mężczyzna dostatecznie duży i silny mógłby nim operować jedną ręką. Dla mnie byłby dwuręczny. Dalt zaatakował cięciem od dołu, jakie japoński szermierz nazwałby kiriage. Eryk cofnął się po prostu i kiedy mijała go klinga, spróbował trafić w nadgarstek. Dalt nagle sięgnął lewą dłonią do rękodojści i wykonał osłepiająco szybkie cięcie z rodzaju naname giri. Eryk nadal odskakiwał. Raz jeszcze zaatakował nadgarstek.

Nagle Dalt otworzył prawą dłoń i cofnął rękę, prawą stopę kolistym ruchem przesunął w tył i wysunął do przodu lewe ramię. Ustawiło go to w leworęcznej, europejskiej pozycji en garde. Natychmiast wyciągnął potężne ramię z odpowiednich rozmiarów mieczem, uderzył od wewnątrz klingę Eryka i pchnął. Eryk odparował, przeniósł prawą stopę za lewą i odskoczył. Dostrzegłem jednak iskrę, gdy ostrze zarysowało osłonę jego rapiera. Zdążył wykonać zwód sekstą, opuścił klingę

poniżej zasłony, wysunął ramię w kwarcie, potem wyprostował się i uniósł miecz w coś podobnego do pchnięcia blokującego. Mierzył w lewe ramię. Kiedy minęła go zasłona, skrzył dłoń i ciał Dalta w lewe przedramię.

Caine bił brawo, ale Dalt tylko połączył dłonie i rozdzielił je znowu, wykonując przy tym niewielki podskok, po którym stanął w praworęcznej pozycji en garde. Eryk kreślił ostrzem kółka w powietrzu.

– Prezentujesz przyjemne techniki taneczne – zauważył.

I natychmiast zaatakował, trafił na zasłonę, cofnął się, minął, kopnął Dalta w kolano, chybił, wszedł idealnie w tempo riposty Dalta. Też przeszedł na technikę japońską, przeskoczył na prawą stronę przeciwnika w manewrze, jaki widziałem podczas ćwiczeń kumatchi: jego klinga wzniosła się i opadła, a ostrze Dalta przeszło bokiem. Prawe przedramię Dalta zwilgotniało nagle, czego właściwie nie zauważyłem do chwili, gdy Eryk odwrócił broń, kierując ostrze na zewnątrz i w górę, i pięścią okrytą gardą trafił Dalta w szczękę. Potem kopnął go za kolanem i pchnął lewym ramieniem. Dalt zachwiał się i upadł. Eryk kopnął go od razu: w nerki, łokieć, udo – to ostatnie dlatego, że nie trafił w kolano. Potem przycisnął butem miecz Dalta i przesunął swój, by wymierzyć w serce.

Przez cały czas miałem nadzieję, że Dalt skopie Erykowi tyłek. Nie tylko dlatego, że był po mojej stronie, a Eryk nie, ale z powodu wszystkiego, co Eryk zrobił tacie. Z drugiej strony, nie bardzo wierzyłem, by wielu istniało ludzi tak sprawnych w kopaniu tyłków. Niestety, dwóch z nich stało po drugiej stronie wykreślonej przeze mnie linii. Gerard mógłby go pokonać w zapasach, Benedykt, mistrz szermierki Amberu, dowolną bronią. Nie wierzyłem, byśmy nawet z pomocą ty'igi mieli przeciwko nim jakąkolwiek szansę. A gdybym nagle wyjaśnił Erykowi, że Dalt jest jego przyrodnim bratem, nawet na ułamek sekundy nie powstrzymałoby to ciosu. Choćby mi uwierzył.

Dlatego podjąłem jedyną możliwą decyzję. W końcu byli tylko upiorami Wzorca. Prawdziwi Gerard i Benedykt znajdowali się w tej chwili gdzie indziej i w żaden sposób nie zaszkodzi im to, co zrobię ich sobowtórom. Eryk i Caine od dawna już nie żyli. Caine, jako bratobójczy bohater wojny Skazy Wzorca, doczekał się niedawno pomnika w Głównej Alei, na pamiątkę śmierci od zamachu Luke'a, w zemście za śmierć jego ojca. A Eryk, jak wiadomo, zginął śmiercią bohatera na zboczach Kolviru, co ocaliło go – jak przypuszczam – od śmierci z ręki mojego ojca. Wspomniałem krwawą historię rodziny, gdy wznosiłem spikard, żeby dodać do niej przypis. Raz jeszcze przywołałem ognisty wir, który spalił dwójkę moich kuzynów z rodu Hendrake.

Miałem wrażenie, że ktoś trafił mnie w rękę kijem baseballowym. Smuzka dymu uniosła się ze spikarda. Przez chwilę czwórka moich stojących pionowo wujów trwała bez ruchu. A piąty pozostał w pozycji leżącej.

Potem, bardzo powoli, Eryk uniósł miecz. Podnosił go, gdy Benedykt, Gerard i Caine dobyli swoich. Wyprostował się i przytrzymał klingę przed twarzą. Pozostali zrobili to samo. Dziwnie przypominało to salut. Eryk spojrzał mi w oczy.

– Znam cię – powiedział.

Wszyscy dokończyli gestu i znikali, znikali, zmieniali się w dym, aż rozwiali się bez śladu.

Dalt krwawił, mnie bolała ręka. Odgadłem, co się dzieje, na chwilę przed tym, jak Luke jęknął cicho.

– Tam – wykrztusił.

Moja linia ognia zgasła już dobrą chwilę temu, ale poza śladem, jaki zostawiła na piasku, tam gdzie jeszcze przed chwilą stali moi mgliści krewniacy, zaczęło migotać powietrze.

– To na pewno Worzec – wyjaśniłem Luke'owi. – Wpadł z wizytą. W chwilę później zawisł przed nami Znak Wzorca.



- Merlinie – powiedział. – Widzę, że często podróżujesz.
- Ostatnio moje życie stało się niezwykle pracowite – odparłem.
- Posłuchałeś mojej rady i opuściłeś Dworce.
- Tak. Uznałem, że to rozsądne.
- Nie rozumiem jednak, do czego tutaj zmierzasz.
- Co tu jest do rozumienia?
- Odebrałeś lady Coral wysłannikom Logrusu.
- Zgadza się.
- Ale potem nie chciałeś jej oddać moim wysłannikom.
- To również się zgadza.
- Z pewnością jesteś świadom, że nosi ona coś, co wpływa na równowagę sił.
- Tak.
- Zatem jeden z nas musi ją mieć. A ty chcesz ją odebrać nam obu.
- Tak.
- Dlaczego?
- To o nią mi chodzi. Ma swoje prawa, ma uczucia. A wy traktujecie ją jak pionka w grze.
- To prawda. Uznaję jej osobowość, ale niestety, jest potrzebna nam obu.
- Więc obu wam ją odbiorę. Nic się nie zmieni w tym sensie, że w tej chwili i tak żaden z was jej nie ma. Ale ja usunę ją z gry.

– Merlinie, jesteś ważniejszą figurą niż ona, ale jednak tylko figurą i nie możesz mi stawiać warunków. Czy to rozumiesz?

– Rozumiem, jaką przedstawiam dla ciebie wartość – oświadczyłem.

– Chyba nie – odpowiedział.

Zastanawiałem się, jaką naprawdę dysponuje mocą w tym miejscu. To jasne, że traci mnóstwo energii. Musiał uwolnić cztery upiory, żeby umożliwić sobie manifestację. Czy ośmielę się stawić mu czoło, gdy otworzę wszystkie kanały spikarda? Nigdy jeszcze nie próbowałem równoczesnego dostępu do wszystkich źródeł, jakimi dysponował w Cieniu. Gdybym to zrobił i gdybym działał bardzo szybko, czy zdążyłbym przerzucić nas stąd, zanim Wzorzec zareaguje? A gdybym nie zdążył, czy potrafiłbym przebić zapory, jakie wzniesie, by nas powstrzymać? A jeśli mi się uda – tak albo inaczej – dokąd mogę uciec?

I wreszcie, jak to wpłynie na stosunek Wzorca do mnie?

(...jeśli nie zje cię coś większego, wróc któreś nocy i opowiedz mi swoją historię)

Do diabła, pomyślałem. Piękny dzień, żeby wystąpić d la carte.

Otworzyłem wszystkie kanały.

Wrażenie było takie, jakbym biegł w dobrym tempie i nagle, dziesięć centymetrów przed moim nosem, wyrósł mur.

Poczułem uderzenie i straciłem przytomność.

Leżałem na gładkiej, chłodnej kamiennej powierzchni. Przerazające energie krążyły w moim ciele i umyśle. Sięgnąłem do ich źródła, zapanowałem nad nimi, przytłumiłem je tak, że nie groziły mi już wypchnięciem czubka głowy. Potem otworzyłem jedno oko – troszeczkę.

Niebo było bardzo niebieskie. Zobaczyłem parę butów, stojących o metr ode mnie, zwróconych w drugą stronę. Rozpoznałem w nich własność Naydy, a kiedy przekręciłem nieco głowę, przekonałem się, że to ona je nosi. Zauważyłem też, że Dalt leży o parę metrów na lewo.

Nayda oddychała ciężko, a mój logrusowy wzrok ukazał mi bladoczerwoną aureolę wokół jej groźnie wibrujących palców.

Uniosłem się na łokciu i rozejrzałem. Stała pomiędzy mną a Znakiem Wzorca, który zawisł w powietrzu o jakieś trzy metry dalej.

Kiedy znowu przemówił, po raz pierwszy usłyszałem w jego głosie jakby nutę rozbawienia.

– Chcesz go osłonić przede mną?

– Tak – oświadczyła.

– Dlaczego?

– Robiłam to tak długo, że głupio byłoby go zawieść, kiedy naprawdę mnie potrzebuje.

– Istoto z Otchłani, czy wiesz, gdzie się znalazłaś?

– Nie – odparła.

Spojrzałem poza nich, na idealnie błękitne niebo. Powierzchnia, na której leżałem, była poziomą kamienną płaszczyzną, być może owalnego kształtu, otwartą na pustkę. Szybki ruch głową ujawnił jednak, że została wycięta w górskim zboczu, a kilka mrocznych zagłębień w tyle sugerowało możliwość jaskiń. Zobaczyłem też, że za mną leży Coral. Nasza skalna platforma miała kilkaset metrów szerokości. Coś poruszyło się za Naydą i Znakiem Wzorca: to Luke podniósł się na klęczki.

Mógłbym odpowiedzieć na zadane Naydzie pytanie, ale nic by mi z tego nie przyszło. Zwłaszcza że znakomicie się spisywała, odwracając uwagę naszego strażnika i zapewniając mi decydującą chwilę wytchnienia.

Po lewej stronie widziałem złotoróżowe wiry w kamieniu. Chociaż nigdy tu jeszcze nie byłem, przypomniałem sobie opowieść ojca i wiedziałem, że to pierwotny Wzorzec, poziom rzeczywistości głębszy nawet niż sam Amber.

Przewróciłem się na brzuch i na czworakach popęzłem ku morzu. W stronę Wzorca.

– Znalazłaś się na drugim końcu wszechświata, ty'igo, w miejscu mojej największej potęgi.

Dalt jęknął, przetoczył się, usiadł, roztarł dłońmi powieki.

Czułem jakby wibracje, poniżej poziomu słyszalności. Dochodziły od strony Naydy. Całą jej postać otoczył czerwony blask. Wiedziałem, że zginie, jeśli zaatakuje Znak. I uświadomiłem sobie, że sam go zaatakuję, gdyby ją zabił.

Usłyszałem jęk Coral.

– Nie skrzywdzisz moich przyjaciół – oświadczyła Nayda.

Zastanowiło mnie, że Wzorzec uderzył, zanim zdążyłem użyć spikarda, a zaraz potem przeniósł nas do swojej twierdzy. Czy to oznacza, że naprawdę miałbym szansę, stając przeciwko niemu na terytorium Logrusu, gdzie był osłabiony?

– Istoto z Otchłani – powiedział. – Skazany na porażkę, tak żałośnie patetyczny gest graniczy z heroizmem. Chciałbym mieć takiego przyjaciela. Nie, nie wyrządę krzywdy twoim towarzyszom. Muszę jednak zatrzymać tu Coral i Merlina, jako moje atuty, a pozostałych z przyczyn politycznych, dopóki nie rozstrzygnie się ten konflikt z moim przeciwnikiem.

– Zatrzymać? – powtórzyła. – Tutaj?

– W skałach znajdują wygodne mieszkanie. Wstałem ostrożnie, szukając sztyletu u pasa. Luke podniósł się i podszedł do Coral. Uklęknął przy niej.

– Obudziłaś się? – zapytał.

– Mniej więcej – odpowiedziała.

– Potrafisz wstać?

– Może.

– Pomogę ci.

Dalt wstał, gdy Luke pomagał Coral. Przesuwałem się coraz bliżej Wzorca. Gdzie jest Dworkin, kiedy naprawdę go potrzebuję?

– Możecie udać się do grot za wami i obejrzeć swoje kwatery – oświadczył Znak. – Ale najpierw musisz zdjąć ten pierścień, Merlinie.

– Nie. Nie mamy czasu, żeby się rozpakowywać i urządzać. – Przejechałem ostrzem sztyletu po lewej dłoni i wykonałem ostatni krok. – Nie zostaniemy tu długo.

Od Znaku Wzorca dobiegł dźwięk podobny do gromu... ale nie było błyskawicy. Nie spodziewałem się jej. Zwłaszcza kiedy zrozumiał, co mam w ręku i gdzie to trzymam.

– Nauczyłem się tego od ojca Luke'a – wyjaśniłem. – Porozmawiajmy.

– Tak – zgodził się Znak Wzorca. – Jak istoty rozumne, którymi przecież jesteśmy. Może podać ci poduszkę?

I natychmiast trzy zjawily się tuż obok.

– Dziękuję. – Wybrałem zieloną. – Napiłbym się mrożonej herbaty.

– Z cukrem?

# Rozdział 11

Siedząc wygodnie na poduszce, ze sztyletem u boku, wyciągałem nad Wzorcem lewą dłoń pełną mojej krwi. Znak Wzorca zawisł w powietrzu przede mną. Nagle jakby zapomniał o Coral, Naydzie, Dalcie i Luke'u. Łyknąłem z oszronionej szklanki w prawej ręce między kostkami lodu widziałem liść świeżej mięty.

– Książę Merlinie – odezwał się Znak. – Powiedz mi, jakie są twoje życzenia i załatwmy tę sprawę jak najszybciej. Jesteś pewien, że nie chcesz, bym w punkcie zagrożenia ułożył serwetkę? Zastanów się. Nie pogorszy to twojej pozycji przetargowej, za to pomoże nam uniknąć wypadków.

– Nie, tak jest dobrze. – Lekko skinąłem pełną krwi dłonią. Jej zawartość zakołysała się, a cienka linia czerwieni pociekła mi wzdłuż przegubu. – Ale dziękuję za troskę.

Znak Wzorca zadrżał i znieruchomiał.

– Książę Merlinie, wykazałeś swoje racje – oświadczył. – Sądzę jednak, że nie pojmujesz wszelkich implikacji swojej groźby. Kilka kropli twojej krwi na mojej fizycznej reprezentacji może zakłócić funkcjonowanie wszechświata.

Kiwnąłem głową.

– Wiem o tym – zapewniłem.

– Dobrze więc. Czego żadasz?

– Wolności. Wypuść nas, a nic ci nie grozi.

– Niewielki dajesz mi wybór, ale to samo odnosi się do twoich przyjaciół.

– Nie rozumiem.

– Możesz odesłać Dalta, kiedy zechcesz – stwierdził. – Co do lady demona, pożegnaj ją z przykrością, czuje bowiem, że byłaby miłą towarzyszką...

Luke spojrzał na Naydę.

– O co chodzi z tą "istotą z Otchłani" i "lady demonem"? – zapytał.

– No cóż, nie wiesz o mnie wszystkiego... – odpowiedziała.

– To długa historia?

– Tak.

– Czy polecono ci się mną zająć? Czy też naprawdę mnie lubisz?

– Nikt mi nic nie polecał i naprawdę cię lubię.

– W takim razie później wysłuchamy tej historii – zdecydował.

– Jak już mówiłem, wyślij ją – podjął Znak. – I Dalta. I Luke'a. Z przyjemnością przeniosę ich troje wszędzie, gdzie sobie życzysz. Ale czy pomyślałeś, że ty i Coral jesteście tu prawdopodobnie bezpieczniejsi niż gdziekolwiek indziej?

– Może. A może nie – mruknąłem. – Coral, co o tym sądzisz?

– Zabierz mnie stąd – powiedziała.

– To tyle, jeśli chodzi o tę propozycję. A teraz...

– Zaczekaj. Chcesz być uczciwy wobec przyjaciół, prawda?

– Oczywiście.

– Pozwól więc, że zwrócę im uwagę na kilka spraw, których może dotąd nie rozważyli.

– Mów.

– Pani – powiedział. – Chcą twego oka w Dworcach Chaosu. Twoje uczucia w tej kwestii nie grają roli. Jeśli będzie to możliwe tylko poprzez uczynienie cię więźniem, tak się stanie.

Coral zaśmiała się cicho.

– Alternatywą jest więzienie u ciebie? – spytała.

– Uważaj się za gościa. Zapewnię ci wszelkie wygody. Oczywiście, zyskuję na takim rozwiązaniu, nie tylko dzięki pozbawieniu mojego przeciwnika przywileju twojej obecności. Przyznaję to. Ale musisz wybrać jednego z nas w przeciwnym razie porwie cię drugi.

Zerknąłem na Coral, która lekko potrząsnęła głową.

– Na co się decydujesz? – spytałem. Podeszła i położyła mi dłoń na ramieniu.

– Zabierz mnie stąd – powtórzyła.

– Słyszałeś – powiedziałem. – Wszyscy chcemy odejść.

– Błagam jeszcze o chwilę twojej uwagi.

– Po co?

– Zastanów się. Wybór pomiędzy mną a Logrusem nie jest wyłącznie kwestią polityki czy też wskazaniem najlepszego kandydata do konkretnego zadania. Mój przeciwnik i ja reprezentujemy dwie podstawowe zasady organizacji wszechświata. Możesz określać nas rzeczownikami i przymiotnikami w prawie wszystkich językach i dziesiątkach dyscyplin nauki, ale przedstawiamy, najogólniej, Porządek i Chaos. System apolliniński i dionizyjski, jeśli to ci odpowiada rozum i uczucie, jeśli wolisz rozsądek i szaleństwo światło i ciemność sygnał i szum. I chociaż z pozoru wiele na to wskazuje, żaden z nas nie dąży do unicestwienia drugiego. Śmierć ciepła albo ognista kula, klasycyzm lub anarchia, każdy z nas podąża własną ścieżką, a bez drugiego prowadzi ona w ślepy zaułek. Obaj to wiemy. Gra, którą prowadzimy od początku, jest o wiele bardziej subtelna... W ostatecznym rozrachunku podlegająca może jedynie estetycznemu osądowi. Otóż po raz pierwszy od wieków zyskałem znaczącą przewagę. Mogę teraz zrealizować marzenie wszystkich historyków Cienia: erę rozwoju cywilizacji i kultury, jaka nigdy nie będzie zapomniana. Gdyby wahadło przechyliło się w drugą stronę, czeka nas okres zamieszania porównywalny z epoką lodowcową. Kiedy mówię o was jako pionkach w grze, czynię to nie dlatego, by lekceważyć waszą rolę. Sprawy zawisły na włosku o wszystkim zdecydują Klejnot i człowiek, który zostanie królem. Zostań przy mnie, a gwarantuję ci Złoty Wiek, o jakim mówiłem. Ty będziesz jego częścią. Odejdź, a porwie cię ten drugi. Nastąpi ciemność i zamieszanie. Co byś wolał

Luke uśmiechnął się.

– Potrafię rozpoznać argumentację dobrego handlowca – powiedział. – Trzeba zawęzić sprawę do prostego wyboru. Przekonać ich, że sami go dokonują.

Coral ścisnęła mnie za ramię.

– Ruszajmy – poprosiła.

– Jak chcecie – ustąpił Znak. – Powiedz, gdzie chcesz się udać, a przeniosę tam was wszystkich.

– Nie wszystkich – zaprotestował Luke. – Tylko ich.

– Nie rozumiem. A co z tobą? Wyjął sztylet i rozciął sobie rękę. Podeszedł i stanął obok mnie, również wysuwając dłoń ponad Wzorzec.

– Jeśli wyruszymy, na miejsce może dotrzeć troje z nas – stwierdził. – A może nawet mniej. Zostanę i dotrzymam ci towarzystwa, póki nie dostarczysz moich przyjaciół na miejsce.

– Skąd będziesz wiedział, że należycie wywiązałem się z zadania?

– Dobre pytanie. Merle, masz swoje Atuty?

– Tak.

Wyjąłem je i pokazałem mu.

– Wciąż jest tam moja karta?

– Była, kiedy ostatnio sprawdzałem.

– Więc poszukaj i wyjmij ją. Zanim wyruszysz, przemyśl następne posunięcie. Utrzymuj kontakt, póki go nie wykonasz.

– Ale co z tobą, Luke? Nie możesz tu siedzieć przez wieczność, jako krwawe zagrożenie Porządku. To tylko chwilowy pat. Prędzej czy później musisz zrezygnować, a wtedy...

– Czy nadal masz w talii te obce karty?

– O które ci chodzi?

– Nazwałeś je kiedyś Atutami Zguby. Przerzuciłem karty. Te, o które pytał, w większości były na końcu.

– Tak – potwierdziłem. – Piękna robota. Nie pozbyłbym się ich.

– Naprawdę tak myślisz?

– Tak. Zbierz parę obrazków tej klasy, a załatwię ci wystawę w Amberze.

– Mówisz poważnie? Czy tylko dlatego, że... Znak Wzorca wydał niski warkot.

– Łatwo być krytykiem – mruknął Luke. – No dobrze. Wyjmij wszystkie Atuty Zguby. Wyjąłem.

– Potasuj je trochę. Odwrócone, jeśli można.

– Gotowe.

– Rozłóż je.

Pochylił się, wybrał jedną z kart.

– W porządku – rzekł. – Wchodzę do gry. Kiedy będziesz gotów, powiedz Znakowi, gdzie ma cię przenieść. Bądź w kontakcie. Wzorcu, też mam ochotę na herbatę z lodem.

Oszroniona szklanka pojawiła się przy jego prawej stopie. Pochylił się, podniósł ją, wypił trochę.

– Dzięki.

– Luke – odezwała się Nayda. – Nie rozumiem tego. Co się z tobą stanie?

– Nic wielkiego – stwierdził. – Nie płacz po mnie, lady demonie. Zobaczymy się później. Spojrzał na mnie unosząc brew.

– Wyślij nas do Jidrash – poleciłem. – Na otwarty teren pomiędzy pałacem a kościołem.

Trzymałem Atut Luke'a w wilgotnej lewej dłoni, obok brzęczącego nisko spikarda. Poczułem chłód karty.

– Słyszałeś – powiedział Luke.

Świat skręcił się i rozkręcił w rześki, wietrzny poranek w Jidrash. Przez Atut obserwowałem Luke'a. Otwierałem kolejne kanały pierścienia.

– Dalt, mogę cię tu zostawić – poinformowałem. – Ciebie też, Naydo.

– Nie – zaprotestował mężczyzna.

– Zaczekaj chwilę! – zawołała Nayda.

– Oboje znikacie ze sceny – wyjaśniłem. – Żadnej ze stron nie jesteście do niczego potrzebni. Ale ja muszę przenieść Coral w jakieś bezpieczne miejsce. Siebie też.

– Ty jesteś ośrodkiem akcji – oświadczyła Nayda. – Pomagając tobie, mogę pomóc Luke'owi. Zabierz mnie ze sobą.

– Jestem tego samego zdania – dodał Dalt. – Nadal jestem Luke'owi coś winien.

– Zgoda – odparłem. – Hej, Luke! Słyszałeś to?

– Tak – potwierdził. – W takim razie lepiej bierz się do rzeczy. O cholera! Rozlałem...

Jego Atut poczerniał.

Nie czekałem na anioły zemsty, języki płomieni, błyskawice ani rozwierającą się ziemię. Usunąłem nas poza jurysdykcję Wzorca... i to naprawdę szybko.

Leżałem na zielonej trawie pod drzewem. Obok przepływały pasma mgły, a Wzorzec taty migotał w dole. Jurt z mieczem na kolanach siedział po turecku na masce samochodu. Corwina nie było widać.

– Co się stało? – zapytał Jurt.

– Jestem rozbity, padnięty i wykończony. Mam zamiar tu leżeć i gapić się na mgłę, dopóki umysł mi nie odpłynie – odpowiedziałem. – Poznaj Coral, Naydę i Dalta. Wysłuchaj ich historii, Jurt, i opowiedz im swoją. Nie budźcie mnie nawet na koniec świata, chyba że miałby naprawdę dobre efekty specjalne.

Następnie przystąpiłem do spełniania obietnicy, do wtóru cichnącej gitary i dalekiego głosu Sary K. Trawa była cudownie miękka. Mgła wirowała w myślach, gasnących w ciemności.

I wtedy... i wtedy... wtedy...

Szedłem. Szedłem, płynąłem niemal po kalifornijskim centrum handlowym, gdzie często bywałem. Grupki dzieciaków, pary z niemowlakami w wózkach, kobiety z paczkami, mijają, słowa zagłuszone muzyką z głośnika sklepu z płytami. Doniczkowe oazy za szkłem, smakowite zapachy, obietnice plakatów o wyprzedaży.

Szedłem. Obok drogerii. Obok sklepu z obuwem. Obok sklepu ze słodyczami...

Wąski korytarz z lewej. Nigdy dotąd go nie zauważyłem. Muszę skręcić...

Dziwne, że był tu dywan... i świece w wysokich lichtarzach, świecznikach i kandelabrach stojących na wąskich skrzyniach. Ściany migotały od... Odwróciłem się.

Z tyłu niczego nie było. Zniknęło centrum handlowe. Korytarz kończył się ślepą ścianą. Wisiał na niej nieduży gobelin, przedstawiający dziewięć wpatrzonych we mnie postaci. Wzruszyłem ramionami i znów się odwróciłem.

– Coś jeszcze pozostało z twojego zaklęcia, wujku – zauważyłem. – No cóż, bierzmy się do pracy.

Szedłem. Teraz w ciszy. Przed siebie. Do miejsca, gdzie lśniły lustra. Byłem tam już kiedyś, przypominałem sobie, dawno temu... jego lokalizacja nie była przypisana do zamku Amber. Było tutaj, na czubku pamięci... moje młodsze ja przechodziło tedy i to niesamotnie... lecz wiedziałem, że ceną tego przypomnienia byłaby utrata kontroli w tym miejscu. Niechętnie uwolniłem obraz i zwróciłem spojrzenie na nieduże owalne lustro po lewej stronie.

Uśmiechnąłem się. Tak samo moje odbicie. Pokazałem język i w zamian otrzymałem podobne pozdrowienie.

Ruszyłem dalej. Dopiero po kilku krokach uświadomiłem sobie, że odbicie przedstawiało mnie w demonicznej formie, gdy w rzeczywistości przybrałem ludzką.

Po prawej stronie zabrzmiało ciche chrząknięcie. Odwróciłem się tam i spojrzałem na mojego brata Mandora w czarno obramowanym lusterku.

– Drogi chłopcze – odezwał się. – Król umarł. Niech żyje twoja oświecona osoba, gdy tylko wstąpisz na tron. Lepiej się pospiesz, by wrócić na koronację na Krańcu Świata, z oblubienicą Klejnotu albo bez niej.

– Napotkałem pewne problemy – odpowiedziałem.

– Nic wartego rozwiązywania akurat teraz. O wiele ważniejsza jest twoja obecność w Dworcach.

– Nie. Ważniejsi są moi przyjaciele.

Lekki uśmiech przemknął po jego wargach.

– Znajdziesz idealną możliwość, aby ich chronić – odparł. – I czynić, co zechcesz, z wrogami.

– Wrócę – zapewniłem. – Niedługo. Ale nie po to, żeby przyjąć koronę.

– Jak sobie życzysz, Merlinie. Pragniemy przede wszystkim twojej obecności.

– Niczego nie obiecuję – zastrzegłem.

Zaśmiał się i lustro opustoszało. Odwróciłem się. Poszedłem dalej. Znowu śmiech. Z lewej. Moja matka. Obserwowała mnie z wyraźnym rozbawieniem z czerwonej ramy rzeźbionej w kwiaty.

– Szukaj go w Otchłani! – zawołała. – Szukaj go w Otchłani!

Minąłem ją, a śmiech trwał jeszcze przez chwilę za moimi plecami.

– Psst!

Po prawej: długie, wąskie zwierciadło w zielonych ramach.

– Merlinie – powiedziała. – Szukałam, ale świetlny Ghosst nie sstanął mi na drodze.

– Dziękuję ci, Glait. Rozglądaj się nadal.

– Tak. Musimy usiąść razem nocą w ciepłym miejscu, pić mleko i wspominać stare czasy.

– Byłoby miło. Tak, musimy. Jeśli nie pożre nas coś większego.

– Sssss!

Czyżby to śmiech?

– Powodzenia w łowach, Glait.

– Istotnie. Sss! ...I dalej.

– Synu Amberu, nosicielu spikarda...

To z mrocznej niszy po lewej.

Przystanąłem i spojrzałem. Rama była biała, szkło szare. W nim człowiek, którego nigdy nie spotkałem. Koszulę nosił czarną i rozpiętą pod szyją, na to brązową, skórzaną kamizelkę. Włosy miał jasne, oczy... może zielone.

– Słucham?

– Spikard został ukryty w Amberze – oświadczył – żebyś ty go znalazł. Ma ogromną moc. Cięży też na nim kilka zaklęć, które zmuszą jego nosiciela, by w określonych sytuacjach zachował się w określony sposób.

– Podejrzewałem to. Co ma robić?

– Poprzednio należał do Swayvilla, króla Chaosu. Zmusi wybranego następcę tronu do pewnych zachowań i do uległości wobec sugestii pewnych osób.

– To znaczy?

– Kobiety, która śmiała się i wołała: "Szukaj go w Otchłani!" Mężczyzny w czerni, który pragnie twego powrotu.

– Dara i Mandor! To oni rzucili czary na pierścień?

– Właśnie tak. A mężczyzna podłożył go, byś ty go znalazł.

– Nie chciałbym teraz z niego rezygnować – wyznałem. – Czy istnieje sposób odwrócenia tych zaklęć?

– Naturalnie. Ale nie powinieneś się tym martwić.

– Dlaczego nie?

– Pierścień, który nosisz, nie jest tym, o którym mówiłem.

– Nie rozumiem.

– Zrozumiesz. Nie obawiaj się.

– A kim ty jesteś, panie?

– Mam na imię Delwin. Być może nigdy nie spotkamy się twarzą w twarz... Chyba że zostaną uwolnione pewne pradawne potęgi.

Podniósł rękę. Zobaczyłem, że on również nosi spikard.

– Dotknij swoim pierścieniem mojego – rozkazał. – Wtedy można mu polecić, by przeniósł cię do mnie.

Uniosłem dłoń i przysunąłem ją do powierzchni szkła. Kiedy pierścień zdawały się dotykać, nastąpił świetlny błysk i Delwin zniknął.

Opuściłem rękę. Ruszyłem dalej. Odruchowo zatrzymałem się przed skrzynią i otworzyłem wieko.

Spojrzałem. Wnętrze nie należało do tego świata. Skrzynia zawierała miniaturową reprodukcję kaplicy mojego ojca: maleńkie barwne kafelki, takie same płonące świece, a na ołtarzu nawet



Grayswandir jak dla lalki.

– Odpowiedź leży przed tobą, przyjacielu – zabrzmiał gardłowy głos, znajomy, a jednocześnie obcy.

Uniosłem wzrok ku zwierciadłu w lawendowej ramie. Nie zauważyłem, że wisi nad skrzynią. Dama w nim widoczna miała długie, czarne jak węgiel włosy i oczy tak ciemne, że nie mogłem poznać, gdzie kończą się Żrenice i zaczynają tęczówki. Bładość cery podkreślał może różowy cień do powiek i kolor warg. Te oczy...

– Rhanda! – zawołałem.

– Pamiętasz! Naprawdę mnie pamiętasz!

– ...I dni gier w taniec kości – dokończyłem. – Dorosła i piękna. Niedawno o tobie myślałem.

– A ja poczułam przez sen muśnięcie twej uwagi, mój Merlinie. Przykro mi, że rozstaliśmy się tak nagle, ale rodzice...

– Rozumiem – zapewniłem ją, – Uznali, że jestem demonem albo wampirem.

– Tak. – Przez powierzchnię zwierciadła wyciągnęła bladą dłoń, chwyciła moją, pociągnęła do siebie. W lustrze przycisnęła ją do warg. Były zimne. – Woleli raczej, bym utrzymywała kontakty z synami i córkami mężczyzn i kobiet niż z kimś naszego rodzaju.

Pokazała w uśmiechu kły. W dzieciństwie nie były tak widoczne.

– Bogowie! Wyglądasz jak człowiek – stwierdziła. -

Odwiedź mnie kiedyś w Wildwood.

Pchnięty impulsem, pochyliłem się. Nasze usta zetknęły się w zwierciadle. Kimkolwiek była, kiedyś byliśmy przyjaciółmi.

– Odpowiedź – powtórzyła – leży przed tobą. Odwiedź mnie.

Lustro poczerwieniało i zniknęło. Kaplica w skrzyni pozostała nie zmieniona. Zamknąłem wieko i odwróciłem się.

Dalej. Lustra po lewej. Lustra po prawej. A w nich tylko ja. I nagle...

– No no, bratanku. Zagubiony?

– Jak zwykle.

– Nie powiem, że bym cię o to winił. Oczy miał kpiące i mądre, włosy rude jak jego siostra Fiona albo nieżyjący brat Brand. Albo Luke.

– Bleys – zdziwiłem się. – O co tu chodzi, do diabła?

– Mam pozostałą część wiadomości Delwina – odparł. Sięgnął do kieszeni, po czym wyciągnął rękę. – Trzymaj.

Sięgnąłem do lustra i odebrałem dar. To był drugi spikard, podobny do tego, który miałem na palcu.

– To ten, o którym mówił Delwin – wyjaśnił Bleys. – Nie wolno ci go wkładać. Przez chwilę przyglądałem się pierścieniowi.

– A co mam z nim zrobić? – spytałem.

– Schowaj do kieszeni. W odpowiednim czasie znajdziesz może jakieś zastosowanie.

– Skąd go masz?

– Zamieniłem, kiedy Mandor go podrzucił. Na ten, który masz teraz na palcu.

– A tak w ogóle, to ile ich jest?

– Dziewięć – rzekł.

– Pewnie wiesz o nich wszystko?

– Więcej niż większość ludzi.

– To chyba nietrudne. Przypuszczam, że nie masz pojęcia, gdzie przebywa teraz mój ojciec?

– Nie. Ale ty wiesz. Powiedziała ci twoja przyjaciółka, ta dama o krwistych gustach.

– Zagadki – mruknąłem.

– Zawsze lepsze niż brak jakiegokolwiek odpowiedzi – zauważył.

A potem zniknął, a ja poszedłem dalej. A po chwili to także zniknęło.

Dryfowałem. Wśród czerni. Dobrze... tak dobrze.

Iskra światła przebiła się przez moje rzęsy. Zamknąłem oczy. Ale przetoczył się grom i po chwili znowu zaczęło przeciekać światło.

Ciemne linie wśród brunatnych, ostrych grzbietów, lasów zarośniętych paprocią...

W chwilę później zdolność oceny percepcji przebudziła się i wskazała, że leżę na boku i wpatruję się w splekaną ziemię pomiędzy korzeniami drzewa tu i ówdzie widok urozmaicały kępki trawy.

Patrzyłem uparcie. Nagle błyskawica rozjaśniła obraz, a zaraz po niej zahuczał grom. Ziemia zdawała się dygotać. Słyszałem uderzenia kropli o liście drzewa, o maskę samochodu. Nadal obserwowałem największą szczelinę, przecinającą dolinę mojej uwagi.

...I uświadomiłem sobie, że wiem.

To była tępa wiedza przebudzenia. Źródła emocji ciągle jeszcze drzemały. W oddali słyszałem znajome głosy prowadzące cichą rozmowę. Słyszałem też brzęk sztućców o porcelanę. Za chwilę żołądek dojdzie do siebie i przyłączy się do nich. Na razie przyjemnie było leżeć otulony płaszczem, słuchać deszczu i wiedzieć...

Powróciłem do mojego miniaturowego świata i jego mrocznego kanionu...

Grunt zadygotał znowu, tym razem bez akompaniamentu błyskawicy ani grzmotu. I drżał ciągle. Irytowało mnie to, gdyż niepokoiło moich przyjaciół i krewnych, skłaniało ich, by podnosili głosy w tonacji podobnej do lęku. A także poruszało we mnie drzemiący kalifornijski odruch w chwili, gdy chciałem tylko leżeć i rozkoszować się świeżo zdobytą wiedzą.

– Merlinie, obudziłeś się?

– Tak. – Usiadłem, szybko przetarłem oczy i przejechałem palcami po włosach.

To upiór mojego ojca klęknął obok i właśnie potrząsnął mnie za ramie.

– Wygląda na to, że mamy problem – oświadczył. – O potencjalnie ekstremalnych skutkach.

Stojący za nim Jurt kilka razy kiwnął głową. Grunt zadrżał znowu, wokół spadały liście i gałązki, podskakiwały kamyczki, unosił się kurz, mgły były poruszone. Od strony grubego, białoczerwonego obrusu, wokół którego siedzieli Luke, Dalt, Coral i Nayda, usłyszałem pękające szkło.

Odrzuciłem płaszcz i wstałem. Zauważyłem, że w czasie snu ktoś zdjął mi buty. Wciągnąłem je z powrotem. Nastąpił kolejny wstrząs i musiałem się oprzeć o drzewo.

– To jest ten problem? – spytałem. – Czy coś większego ma zamiar go zjeść? Spojrzał na mnie zdziwiony.

– Kiedy wyrysowałem ten Wzorzec – powiedział – nie mogłem wiedzieć, że okolica jest niepewna. Ani że któregoś dnia zdarzy się coś takiego. Jeśli Wzorzec pęknie od tych wstrząsów, już po nas... i to nie tylko w najprostszym znaczeniu. Jak rozumiem, ten twój spikard może korzystać z gigantycznych źródeł energii. Czy zdołałbyś z jego pomocą rozładować te naprężenia?

– Nie wiem – odpowiedziałem szczerze. – Nigdy niczego takiego nie próbowałem.

– Sprawdź szybko. Zgoda?

Ale ja już wirowałem myślami wokół kolców, dotknięciem budząc je do życia. Potem odszukałem ten najsilniejszy, pociągnąłem z niego, wypełniłem energią ciało i ducha. Silnik zapalił i pracował teraz na jałowym biegu, a ja siedziałem za kierownicą. Wrzuciłem bieg, wyciągając linię siły ze spikarda w dół, pod ziemię.

Sięgałem tam przez długi czas, szukając przy tym odpowiedniej metafory dla subiektywnego

określenia tego, co mógłbym odkryć.

...Brnę z plaży do oceanu... fale łaskoczą mnie w brzuch, w pierś... palcami wyczuwam kamienie, pasma wodorostów... Czasem kamień odwraca się, zsuwa, uderza o drugi, ześlizguje... Oczy nie widziały dna. Ale skały i jakiś wrak dostrzegałem w ich położeniu i ruchu tak wyraźnie, jakby dno było oświetlone.

Po omacku, w dół, poprzez warstwy, jeden palec jak promień latarki biegnie po skalnych powierzchniach, bada nacisk jednych na drugie, izostatyczne pocałunki podziemnych gór, orogeniczne erogennie powolnego ruchu, ciało pieszczące minerały w najciemniejszych z sekretnych miejsc...

Uskok! Skała się zsuwa, moje ciało za nią...

Nurkuję po nią, podążając osuwającym się tunelem. Pędzę przed siebie, emitując żar, roztrzaskując skałę, wybijając nowe przejścia, dalej, dalej... Nadchodzi tędy. Przebijam kamienny mur, następny. Następny. Nie byłem pewien, że to właściwy sposób, by je odsunąć, ale jedyny, jaki znałem i mogłem wypróbować. Tędy! Tędy, do diabła! Uruchomiłem jeszcze dwa kanały, trzeci... czwarty...

Pod ziemią wystąpiła lekka wibracja. Otworzyłem jeszcze jeden kanał. W mojej metaforze skały ustabilizowały się pod wodami. Po chwili ustały wibracje gruntu.

Powróciłem do miejsca, gdzie po raz pierwszy dostrzegłem uskok. Teraz było stabilne, choć naprężenie nie zniknęło. Wyczuć je, wyczuć starannie. Opisać wektor. I podążyć za nim. Do punktu początkowego. Ale nie. Ten punkt jest tylko sumą wektorów. Prześledzić je.

I znowu. Kolejne złożenia. Zbadać. Sięgnąć do następnych kanałów. Trzeba opisać całkowity rozkład naprężeń, złożony jak system nerwowy. Muszę zachować w umyśle drzewo rozgałęzień.

Kolejna warstwa. Może to nierealne. Może w topograficznych rozwidleniach oceniam nieskończoność. Stop klatka. Uprościć zagadnienie. Zignorować gałęzie rzędów powyżej trzeciego. Prześledzić do następnego rozwidlenia. Są pętle – dobrze. Zaczyna oddziaływać płyta. Lepiej.

Spróbować kolejnego skoku. Nic z tego. Za wielki obraz, by go ogarnąć. Odrzucić trzeci rząd.

Tak.

Ogólne linie wykreślone. Przeliczone wektory transmisji... aż do płyty... prawie. Wchłonięty nacisk jest niższy niż całkowity nacisk przyłożony. Dlaczego? Dodatkowy punkt wejścia wzdłuż drugiego wektora, kierującego do tej doliny rozrywające siły.

– Merlinie! Dobrze się czujesz?

– Dajcie mi spokój – słyszę własny głos.

Wydłużyć zatem źródło wejściowe, wycucia, charakterystyki transmisji...

Czy to Logrus widzę przed sobą?

Otworzyłem jeszcze trzy kanały, skoncentrowałem się na tym obszarze, zacząłem go podgrzewać.

Po chwili pękały już skały, później zaczęły się topić. Moja świeżo wyprodukowana magma popłynęła wzdłuż linii uskoków. W punkcie, skąd brała początek pobudzająca siła, powstał pusty obszar...

Do tyłu.

Wycofałem swoje sondy, zamknąłem spikard.

– Co zrobiłeś? – zapytał.

– Znalazłem miejsce, gdzie Logrus sterował naprężeniami skał – wyjaśniłem. – Usunąłem je. Teraz jest tam mała grotka. Jeśli się zawali, może jeszcze bardziej zmniejszyć napięcie.

– Czyli ustabilizowałeś je?

– Przynajmniej na razie. Nie znam ograniczeń Logrusu, ale musi teraz poszukać innej drogi. Potem musi ją wypróbować. A śledzenie posunięć Wzorca spowolni jego działania.

– Czyli zyskałeś dla nas nieco czasu. Oczywiście, w następnej kolejności może nas zaatakować

Wzorzec.

– Możliwe – przyznałem. – Sprowadziłem tu wszystkich, bo myślałem, że będą bezpieczni od obu

Potę.

– Najwyraźniej zysk wart był ryzyka.

– No dobrze – mruknąłem. – Pora chyba dać im kilka innych powodów do zmartwienia.

– Na przykład?

Spojrzałem na niego: upiór Wzorca mojego ojca, strażnik tego miejsca.

– Wiem, gdzie znajduje się twój oryginał z krwi i kości – oświadczyłem. – I zamierzam go uwolnić.

Nagle zajaśniała błyskawica. Podmuch wiatru wzniosł opadłe liście, poruszył mgłę.

– Muszę ci towarzyszyć – rzekł.

– Po co?

– To chyba jasne. Jestem nim osobiście zainteresowany.

– Zgoda.

Gromy huczały dookoła, a kolejne uderzenie wichury rozerwało ścianę mgły. Jurt zbliżył się do nas.

– Myślę, że się zaczęło – powiedział.

– Co? – zapytałem.

– Starcie Potęg. Przez długi czas Wzorzec miał przewagę. Ale kiedy Luke go uszkodził, a ty porwałeś oblubienicę Klejnotu, musiał stać się słabszy... w stosunku do Logrusu... niż był od wieków. Wobec tego Logrus postanowił zaatakować. Zatrzymał się tylko na moment, żeby w przelocie spróbować uszkodzić ten Wzorzec.

– Chyba że Logrus chciał nas wypróbować – zauważyłem. – A to po prostu burza.

Kiedy mówiłem, zaczął padać lekki deszcz.

– Przybyłem tutaj, bo sądziłem, że w przypadku konfliktu żaden z nich nie tknie tego miejsca – podjął Jurt. – Przyjąłem, że na uderzenie w tym kierunku nie zechcą tracić potrzebnej do ataku energii.

– To rozumowanie może wciąż być poprawne – zauważyłem.

– Chociaż raz chciałbym się znaleźć po stronie zwycięzców – oświadczył. – Nie jestem pewien, czy obchodzi mnie dobro i zło. To dyskusyjne wartości. Chciałbym dla odmiany trafić do facetów, którzy wygrywają. Co przewidujesz, Merlinie? Co zamierzasz?

– Corwin i ja wyruszamy do Dworców, żeby uwolnić mojego ojca – wyjaśniłem. – Potem rozwiążemy to, co wymaga rozwiązania, i będziemy żyli długo i szczęśliwie. Wiesz, jak to idzie.

Pokręcił głową.

– Nigdy nie umiem odgadnąć, czy jesteś durniem czy też twoja pewność siebie ma jakieś podstawy. Za każdym razem, kiedy uznawałem cię za durnia, płaciłem za to. – Zerknął na mroczne niebo, otarł z czoła krople deszczu. – Nie wiem, co robić... ale ty wciąż możesz zostać królem Chaosu.

– Nie.

– ...I cieszyć się bliskimi kontaktami z Logrusem i Wzorcem.

– Jeśli nawet, to ja tego nie pojmuję.

– Nieważne – stwierdził. – Jestem z tobą. Podszedłem do pozostałych, objąłem Coral.

– Muszę wrócić do Dworców – powiedziałem. – Pilnuj Wzorca. Wrócimy.

Trzy jaskrawe błyski rozświetliły niebo. Wiatr potrząsnął drzewem.

Odwróciłem się i stworzyłem w powietrzu drzwi. Upiór Corwina i ja przestąpiliśmy próg.



# Rozdział 12

I tak powróciłem do Dworców Chaosu, wstępując tu przez zakrzywioną przestrzeń galerii rzeźb Sawalla.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał mój upiór-ojciec.

– To coś w rodzaju muzeum – wyjaśniłem. – Wybrałem je, bo oświetlenie jest tu marne i można znaleźć dość kryjówek.

Przyjrzał się niektórym eksponatom, a także ich ułożeniu na ścianach i suficie.

– Piekielne miejsce, żeby w nim toczyć walkę – zauważył.

– Chyba tak.

– Tutaj dorastałeś, co?

– Tak.

– Jak było?

– Właściwie nie wiem. Nie mam z czym porównywać. Miewałem szczęśliwe chwile, sam albo z przyjaciółmi, miewałem przykre. Jak każde dziecko.

– A to miejsce...?

– To Linie Sawall. Żałuję, że nie mamy czasu, żeby pokazać ci całość, przeprowadzić przez wszystkie drogi.

– Może kiedyś.

– Może.

Ruszyłem. Miałem nadzieje, że pojawi się Ghostwheel albo Kergma. Nic z tego.

Wreszcie skręciliśmy w korytarz, który doprowadził nas do komnaty arrasów, skąd droga wiodła do sali, gdzie zmierzałem. Drzwi komnaty wychodziły bowiem na przejście mijające galerię metalowych drzew. Zanim jednak wyszliśmy, usłyszałem jakieś głosy. Czekaliśmy więc w komnacie – gdzie stał szkielet Dżabbersmoka pomalowany na pomarańczowo, niebiesko i żółto, wczesny okres psychodeliczny – aż przejdą rozmawiający. W jednym z nich natychmiast rozpoznałem swojego brata Mandora. Drugiego nie zdołałem zidentyfikować jedynie na podstawie głosu, ale gdy nas mijali, zobaczyłem lorda Bancesa z Amblerash, Najwyższego Kapłana Węża, Który Jest Manifestacją Logrusu (żeby choć raz zacytować jego pełny tytuł). W marnej powieści z pewnością przystanęliby przed drzwiami, a ja podsłuchałbym ich rozmowę i dowiedział się wszystkiego, co chciałem wiedzieć na dowolny temat. Zwolnili przechodząc.

– A więc tak się to dokona? – zapytał Bances.

– Tak – odparł Mandor. – Już niedługo.

A potem oddalili się i nie usłyszałem już ani słowa. Nasłuchiwałem ich kroków, póki nie ucichły. Potem odczekałem jeszcze chwilę. Przysiągłbym, że jakiś cichy głos nakazuje mi: "Idź. Idź za nimi".

– Słyszałeś coś? – szepnąłem.

– Nie.

Wyszliśmy więc na korytarz i skręciliśmy w prawo, w kierunku przeciwnym do tego, który wybrali Bances z Mandorem. I natychmiast poczułem ciepło trochę poniżej lewego biodra.

– Myślisz, że przebywa gdzieś tutaj? – spytał upiór Corwina. – Jako więzień Dary?

– Tak i nie – odpowiedziałem. – Au!

Miałem wrażenie, że rozżarzony węgiel spadł mi na udo. Wbiłem dłoń w kieszeń i wsunąłem się do najbliższej niszy, którą dzieliłem z jakąś zmumifikowaną damą w bursztynowym sarkofagu.

Zrozumiałem, co to jest, już w chwili, gdy zaciskałem na nim palce. Obudziło to całą serię filozoficznych spekulacji, których rozważać w tej chwili nie miałem ani czasu, ani ochoty.

Potraktowałem je zatem w sposób uświęcony tradycją: odłożyłem na później.

To spikard wyjąłem z kieszeni i teraz leżał ciepły na mojej dłoni. Prawie natychmiast maleńka iskierka przeskoczyła od niego do tego, który miałem na palcu.

Nastąpił bezgłośny kontakt, ciąg obrazów, idei, uczuć ponagających, bym odszukał Mandora i oddał mu się do dyspozycji w celu przygotowania mojej koronacji na króla Chaosu. Rozumiałem teraz, dlaczego Bleys zakazał mi go nosić. Bez pośrednictwa mojego spikarda, sugestie tamtego byłyby nie do odparcia. Wykorzystałem własny pierścień, żeby uciszyć tamten i wznieść wokół niego cienką izolującą skorupę.

– Masz dwa takie paskudztwa! – zauważył upiór Corwina.

Przytaknąłem.

– Wiesz może o nich coś, czego ja nie wiem? – zapytałem. – To znaczy właściwie cokolwiek.

Pokręcił głową.

– Tylko tyle, że podobno są wczesnymi obiektami mocy. Pochodzą z czasów, kiedy wszechświat był jeszcze całkiem mętny, a krainy Cienia nie tak wyraźnie określone. Kiedy nadszedł czas, ich posiadacze zasnęli albo rozplynęli się czy cokolwiek, co robią takie postacie, natomiast spikardy zostały usunięte, ukryte lub przekształcone czy cokolwiek, co dzieje się z takimi przedmiotami po zakończeniu opowieści. Istnieje wiele jej wersji, ma się rozumieć. Jak zawsze. Ale sprowadzenie do Dworców dwóch spikardów z pewnością ściągnie na ciebie uwagę, nie wspominając już o tym, że ich obecność na tym biegunie istnienia zwiększy potęgę Chaosu.

– O rany! Polecę, żeby ten, który noszę, też się ukrył.

– Nie sądzę, żeby to się udało. Chociaż nie jestem pewien. Myślę, że musi utrzymywać stały kontakt ze wszystkimi Źródłami energii, a taka ciągła transmisja musi zdradzać jego obecność.

– W takim razie rozkażę, żeby nastroił się na możliwie niski poziom.

Kiwnął głową.

– Konkretny rozkaz na pewno nie zaszkodzi – stwierdził. – Chociaż prawdopodobnie robi to automatycznie.

Schowałem drugi pierścień do kieszeni, wysunąłem się z niszy i ruszyłem korytarzem.

Zwolniłem, kiedy zdawało mi się, że docieramy do właściwego miejsca. Myliłem się jednak. Metalowego lasu nie było. Minęliśmy więc tę sekcję. Po chwili znaleźliśmy się w znajomym punkcie – z przeciwnej strony poprzedzającym metalowy las.

Już odwracając się, wiedziałem. Wiedziałem, co zaszło. Kiedy dotarliśmy do właściwej sali, zatrzymałem się i patrzyłem.

– Co to jest? – zapytał mój upiorny ojciec.

– Wygląda jak wystawa wszelkich typów ostrej broni i narzędzi, jakie wydał z siebie Chaos – stwierdziłem. – Jak pewnie zauważyłeś, wszystkie są ustawione ostrzami w górę.

– I co? – zdziwił się.

– To jest to miejsce – odparłem. – Miejsce, gdzie mieliśmy się wspinać na metalowe drzewo.

– Merle – rzekł. – Może ta okolica wywiera jakiś szkodliwy wpływ na moje procesy myślowe. Albo twoje. Nic z tego nie rozumiałem.

– To pod sufitem. – Wskazałem ręką. – Znam przybliżone położenie... chyba. Teraz wygląda tu trochę inaczej...

– Co tam jest, synu?

– Przejście... obszar przeskoku, podobny do tego, przez który weszliśmy do sali ze szkieletem Dżabbersmoka. Ale ten przeniósłby nas do twojej kaplicy.

– I tam zmierzaliśmy?

– Tak.

Potarł dłonią brodę.

– Wiesz, zauważyłem kilka dość wysokich obiektów na wystawach, które minęliśmy – stwierdził.

– I nie wszystkie były z metalu albo kamienia. Moglibyśmy przeciągnąć tu z korytarza ten słup totemiczny czy cokolwiek to było, usunąć parę ostrych eksponatów, ustawić go...

– Nie – przerwałem mu. – Dara najwyraźniej odkryła, że ktoś tu był. Pewnie ostatnim razem, kiedy niemal mnie przyłapała. Dlatego zmieniła tu wystrój. Są tylko dwa sposoby wejścia na górę: przynieść tu coś nieporęcznego, jak proponujesz, i usunąć sporą część tych szpikulców. Albo użyć spikarda i przefrunąć na miejsce. Pierwsze rozwiązanie potrwa za długo i prawdopodobnie odkryją nas przy pracy. Drugie wymaga tak wielkich energii, że bez wątpienia uruchomi wszystkie magiczne alarmy, jakie zainstalowała w okolicy. Chwycił mnie pod rękę i wyciągnął z sali.

– Musimy porozmawiać – oświadczył, prowadząc do alkowy, gdzie stała ławka. Usiadł i skrzyżował ręce.

– Muszę wiedzieć, co tu się, u licha, dzieje – rzekł. – Nie mogę ci pomagać, dopóki mi nie wytłumaczysz. Jaki jest związek między Corwinem i jego kaplicą?

– Domyśliłem się chyba, o co chodziło mamie, kiedy mi powiedziała: "Szukaj go w Otchłani" – wyjaśniłem. – Na podłodze kaplicy jest mozaika ze stylizowanymi wizerunkami Amberu i Dworców. Na krańcu połówki Dworców przedstawiono Otchłań. Kiedy byłem w kaplicy, nawet się tam nie zbliżyłem. Mogę się założyć, że jest tam przejście, a na jego drugim końcu znajduje się więzienie Corwina. Kiwał głową, kiedy mówiłem.

– Czyli zamierzałeś przejść i go uwolnić? – zapytał.

– Zgadza się.

– Powiedz, czy te przejścia muszą działać w obie strony?

– No nie... Aha, rozumiem, o co ci chodzi.

– Czy mógłbyś dokładniej opisać mi tę kaplicę? Opowiedziałem mu wszystko, co zapamiętałem.

– Intryguje mnie ten magiczny krąg na podłodze – oświadczył. – To może być środek komunikacji z nim, bez ryzyka przebywania w jego obecności. Może jakiś typ przekaźnika obrazu.

– Niewykluczone, że będę musiał długo tam majstrować... chyba że będę miał szczęście. Proponuję, żeby przelewitować, wejść tam, skorzystać z przejścia przy Otchłani, dotrzeć do niego, uwolnić i wynieść się stamtąd jak najszybciej. Żadnych subtelności. Żadnej finezji. Jeśli cokolwiek zachowa się inaczej, niż oczekujemy, przebijemy się z pomocą spikarda. Musimy działać szybko, bo jak tylko zaczniemy, oni będą wiedzieć.

Przez długą chwilę spoglądał w przestrzeń, jakby się nad czymś mocno zastanawiał.

Wreszcie zapytał:

– Czy coś mogłoby przypadkowo uruchomić alarm?

– Hm... Przypuszczam, że jakiś błądzący magiczny strumień z prawdziwej Otchłani. Czasami je wypłuwa.

– Co mogłoby wskazywać na takie zjawisko?

– Magiczny depozyt albo transformacja.

– Potrafiłbyś je podrobić?

– Chyba tak. Ale w jakim celu? Przyjdą, żeby zbadać sprawę, nie znajdą Corwina i przekonają się, że to tylko sztuczka. Szkoda wysiłku.

Zachichotał.

– Ale oni go znajdą – powiedział. – Ja zajmę jego miejsce.

– Nie mogę ci na to pozwolić!



– To mój wybór – stwierdził. – A on będzie potrzebował czasu, jeśli ma powstrzymać Mandora i Darę przed rozwinięciem konfliktu Potęg poza wszystko, co wydarzyło się w dniach Skazy Wzorca.

Westchnąłem.

– To jedyne rozwiązanie – dodał.

– Chyba masz rację.

Rozprostowałem ręce, przeciągnął się i wstał.

– Bierzmy się do roboty – rzucił.

Musiałem opracować zaklęcie, czego ostatnio nie robiłem... No, może pół zaklęcia, tę połowę dotyczącą efektów, ponieważ miałem spikard, żeby je zasilać. Potem ciąłem nim łan ostrzy, zmieniając fragmenty kling w kwiaty, zespolone z nimi na poziomie molekularnym. Poczulem mrowienie i wiedziałem, że to psychiczny czujnik zareagował na moją działalność i raportuje ją w centrali.

Wtedy przywołałem więcej energii i uniosłem nas w powietrze. Poczulem ssanie przejścia trafiłem prawie idealnie. Pozwoliłem, by nas przeniosło.

Gwizdnął cicho, rozglądając się po kaplicy.

– Podziwiał – powiedziałem. – Tak traktuje się boga.

– Tak... więźnia własnego kościoła. Przeszedł przez pokój, rozpiął pas z mieczem i zamienił go na ten z ołtarza.

– Dobra kopia – ocenił. – Ale nawet Worzec nie potrafi stworzyć drugiego Grayswandira.

– Myślałem, że na ostrzu wyryty jest fragment Wzorca.

– A może odwrotnie.

– Nie rozumiem.

– Spytaj o to drugiego Corwina – poradził. – Ma to związek z czymś, o czym niedawno rozmawialiśmy. Wręczył mi morderczy zestaw: broń, pochwę, pas.

– Będzie miło, jeśli mu to oddasz – powiedział. Zapiąłem sprzączkę i przerzuciłem sobie pas przez głowę i ramię.

– Oddam – obiecałem. – Ruszajmy już.

Skierowałem się na drugi koniec kaplicy. W pobliżu wizerunku Otchłani na podłodze poczułem łatwo rozpoznawalny ciąg przejścia.

– Eureka! – zawołałem, uruchamiając kanały spikarda. – Chodź. Zrobiłem krok, a przejście zabrało mnie stamtąd.

Wylądowaliśmy w celi jakieś pięć na pięć metrów. Pośrodku stał drewniany filar, na kamienną podłogę ktoś rzucił trochę słomy. Dwie ściany były drewniane, dwie z kamienia. W drewnianych tkwiły drzwi z desek, w jednej z kamiennych ścian drzwi metalowe, z dziurką od klucza po lewej stronie. Na gwoździu wbitym w filar wisiał klucz odpowiednich rozmiarów.

Zdjąłem go i szybko zajrzałem za drewniane drzwi po prawej stronie. Znalazłem tam dużą beczkę wody, chochlę, talerze, kubki i rozmaite utensylia. Po przeciwnej stronie za drzwiami leżały koce i stosy paczek, zawierających chyba papier toaletowy.

Wreszcie zastukałem kluczem do metalowych drzwi. Żadnej odpowiedzi. Wsunąłem klucz w zamek i poczułem, że mój towarzysz chwyta mnie za ramię.

– Lepiej ja to zrobię – powiedział. – Myślę tak jak on. Tak będzie bezpieczniej.

Musiałem uznać mądrość tej rady. Odstąpiłem na bok.

– Corwinie! – krzyknął. – Przyszliśmy cię uwolnić! Twój syn, Merlin, i ja, twój sobowtór! Nie rzucaj się na mnie, kiedy otworzę drzwi, dobrze? Będziemy stali nieruchomo, żebyś mógł się przyrzec.

– Otwieraj – dobiegł głos z celi. Zrobił to i obaj stanęliśmy w progu.

– Coś podobnego – stwierdził głos, który w końcu sobie przypomniałem. – Wyglądacie jak prawdziwi.

– Bo jesteśmy – odparł upiór. – I jak zwykle w takich chwilach, lepiej się pospiesz.

– Jasne. – Powolne kroki w celi. Kiedy się wynurzył, lewą dłonią osłaniał oczy. – Nie macie przypadkiem okularów? Światło mnie razi.

– A niech to! – mruknąłem. Nie pomyślałem o tym. – Nie, a Logrus może zauważyć, jeśli po nie poślę.

– Później, później. Będę mrużył oczy i potykał się.

Ale wynośmy się stąd. Jego upiór wszedł do celi.

– A teraz zrób mnie brodatym, chudym i brudnym. Wydłuż włosy i zmień ubranie na jakieś łachmany – polecił. – A potem zamknij mnie.

– O co chodzi? – spytał mój ojciec.

– Twój upiór na jakiś czas zastąpi cię w celi.

– To wasz plan – stwierdził Corwin. – Rób, co ci każe. – Tak też zrobiłem. Odwrócił się i wyciągnął rękę. – Dzięki, kolego.

– Na razie.

Zamknąłem drzwi i przekręciłem klucz. Zawiesiłem go na kołku i podprowadziłem Corwina do przejścia. Wciągnęło nas.

Opuścił rękę, kiedy znaleźliśmy się w kaplicy. Widocznie mógł już patrzeć w półmroku. Odsunął się ode mnie i podszedł do ołtarza.

– Lepiej już chodźmy, tato.

Zaśmiał się, wziął płonąca świecę i zapalił od niej inną, która zgasła chyba od jakiegoś podmuchu.

– Sikałem na własny grób – oznajmił. – Nie mogę sobie odmówić przyjemności zapalenia świecy w moim własnym kościele.

Nie patrząc, wyciągnął do mnie lewą rękę.

– Daj Grayswandira – rzucił. Zsunąłem miecz i podałem mu. Rozpiął klamrę, zapiął pas, poluzował klingę w pochwie.

– Dobrze. Co teraz? – zapytał.

Zastanawiałem się. Jeśli Dara wiedziała, że ostatnim razem wyszedłem przez ścianę... bardzo prawdopodobne, biorąc wszystko pod uwagę... to mogła założyć w ścianach jakieś pułapki. Z drugiej strony, gdybyśmy wyszli tą samą drogą, którą tu wszedłem, możemy spotkać kogoś, kto odpowiedział na alarm.

Do diabła!

– Chodźmy. – Uruchomiłem spikard, gotów przerzucić nas stąd, gdy tylko pojawi się intruz. – Będzie trudno, bo musimy lewitować.

Chwyciłem go pod ramię i razem zbliżyliśmy się do przejścia. Gdy nas wciągnęło, otuliłem nas energią i uniosłem ponad polem ostrzy i kwiatów.

W korytarzu słyszałem czyjeś kroki. Wir zabrał nas stamtąd w całkiem inne miejsce.

Zaprowadziłem go do apartamentu Jurta. Nikt chyba nie szukałby tu człowieka, który ciągle siedzi w celi. Wiedziałem też, że Jurt chwilowo nie korzysta z mieszkania.

Corwin wyciągnął się na łóżku i spojrzał na mnie spod zmrużonych powiek.

– A tak przy okazji – powiedział. – Dziękuję.

– Zawsze do usług.

– Dobrze znasz to miejsce? – zapytał.

– Nie zmieniło się chyba aż tak bardzo – stwierdziłem.

– To może obrobisz dla mnie lodówkę, a ja tymczasem wypożyczę nożyczki i brzytwę twojego brata. Muszę się ogolić i przyciąć włosy.

– Na co masz ochotę?

– Mięso, chleb, ser, wino, może kawałek ciasta. Wszystko jedno, byle było świeże i dużo. A potem masz mi sporo do opowiedzenia.

– Chyba tak – przyznałem.

Ruszyłem przez znajome korytarze i przejścia, po których chodziłem jako chłopiec. W kuchni paliło się tylko kilka świec, ognie były wygaszone. Nie spotkałem nikogo.

Ogołociłem spiżarnię, ustawiając na tacy rozmaite zamówione potrawy. Przypadkiem trafiłem też na trochę owoców. Niemal upuściłem butelkę wina, gdy od strony wejścia usłyszałem czyjś zdumiony okrzyk.

To była Julia w błękitnej sukni.

– Merlin! Podszedłem do niej.

– Winien ci jestem przeprosiny – powiedziałem. – Jestem gotów je złożyć.

– Słyszałam, że wróciłeś. Słyszałam, że masz zostać królem.

– To zabawne, ale ja też o tym słyszałem.

– Gdybym ciągle była na ciebie zła, okazałabym brak patriotyzmu.

– Nie chciałem cię skrzywdzić – zapewniłem. – Fizycznie ani w żaden inny sposób.

I nagle obejmowaliśmy się. Trwało to długo. Wreszcie powiedziała:

– Jurt mówił, że jesteście teraz przyjaciółmi.

– W pewnym sensie jesteśmy. Pocałowałem ją.

– Gdybym wróciła do ciebie – stwierdziła – on pewnie znowu próbowałby cię zabić.

– Wiem. Tym razem konsekwencje mogą być katastrofalne.

– Dokąd teraz idziesz?

– Mam ważną sprawę, która zajmie mi kilka godzin.

– Może zajrzysz do mnie, kiedy ją zakończysz? Mamy sobie wiele do opowiedzenia. Mieszkam w miejscu zwanym Komnatą Wisterii. Wiesz, gdzie to jest?

– Tak – powiedziałem. – To szaleństwo.

– Zobaczymy się później?

– Może.

Następnego dnia wybrałem się do Krawędzi. Słyszałem, że nurkowie Otchłani – ci, którzy szukają za Krawędzią artefaktów stworzenia – po raz pierwszy w tym pokoleniu zawiesili swoją działalność. Pytani, opowiadali o groźnych zjawiskach w głębinach: wiry, ściany ognia, wybuchy nowo powstałej materii.

Siedząc w ustronnym miejscu i spoglądając w dół, użyłem swojego spikarda do zbadania tego, który trzymałem w kieszeni. Kiedy tylko usunąłem ekran, pod jakim go ukryłem, od nowa zaczął swoją litanię: "Idź do Mandora. Pozwól się koronować. Spotkaj się z bratem. Spotkaj się z matką. Rozpocznij przygotowania". Zamknąłem go znowu i schowałem. Jeśli szybko czegoś nie zrobię, zaczną podejrzewać, że wyrwałem się spod kontroli pierścienia. Mam się tym przejmować?

Mogę po prostu zniknąć, wyjechać z ojcem i pomóc mu podczas walki, jaka może w końcu wybuchnąć o jego Wzorzec. Mógłbym nawet schować tam oba spikardy, wzmacniając moce ochronne. Bez trudu powróciłbym do własnej magii. Ale... Moje problemy rozgrywały się tutaj. Zostałem wychowany i uwarunkowany, by zostać idealną królewską marionetką pod kontrolą matki i być może Mandora. Kochałem Amber, ale kochałem też Dworce. Ucieczka do Amberu, choć zapewni

bezpieczeństwo, nie rozwiąże moich problemów, podobnie jak odejście z ojcem. Albo powrót do cienia-Ziemi, na którym też mi zależało. Z Coral albo bez niej. Nie. Problem istniał tutaj... i we mnie.

Przywołałem dróżkę, by zaniósła mnie do przejścia prowadzącego z powrotem do Linii Sawall. Po drodze myślałem o tym, co muszę zrobić. I uświadomiłem sobie, że się boję. Jeśli sprawy zajdą tak daleko, jak według wszelkiego prawdopodobieństwa mogą zajść, istnieje spora szansa, że zginę. Albo też będę musiał zabić kogoś, kogo wcale nie chcę zabijać.

Tak czy tak, uznałem, muszę znaleźć jakieś rozwiązanie. Inaczej nigdy nie zaznam spokoju na tym biegunie mojego istnienia.

Idąc brzegiem fioletowego strumienia pod zielonym słońcem na perłowym niebie, przywołałem fioletowo-szarego ptaka. Usiadł mi na rękę. Zamierzałem wysłać go do Amberu z wiadomością dla Randoma. Ale choć się starałem, w żaden sposób nie mogłem ułożyć krótkiego listu. Zbyt wiele spraw zależało od innych spraw. Ze śmiechem wypuściłem ptaka i skoczyłem z brzegu, gdzie tuż nad wodą trafiłem w kolejne przejście.

W Sawall wróciłem do sali rzeźb. Wiedziałem już wtedy, co należy zrobić i jak się do tego zabrać. Stałem, jak stałem wtedy... jak dawno temu...? spoglądając na masywne struktury, na figury proste i złożone.

– Ghost – powiedziałem. – Jesteś tutaj?

Żadnej reakcji.

– Ghost! – powtórzyłem głośniejszym głosem. – Słyszysz mnie?

Nic.

Sięgnąłem po Atuty, wyszukałem ten, który namalowałem kiedyś dla Ghostwheela – jasny krąg.

Przyjrzałem mu się w skupieniu, ale stygł powoli... To zrozumiałe, jeśli pamiętać o dziwnych obszarach przestrzeni, do jakich dawała dostęp ta sala. A także irytujące.

Uniosłem spikard. Użycie go tutaj, na poziomie, który zamierzyłem, byłoby jak uruchomienie alarmu przeciwwłamaniowego. Amen.

By zwiększyć czułość karty, dotknąłem jej pojedynczą, delikatną linią siły. Nadal patrzyłem skupiony.

Znowu nic.

Wprowadziłem wyższą moc. Nastąpiło wyraźne oziębienie. Ale wciąż bez kontaktu.

– Ghost – rzuciłem przez zaciśnięte zęby. – To ważne. Odezwij się.

Żadnej odpowiedzi. Wzmocniłem przepływ energii. Karta zaczęła się jarzyć, przesłaniały ją kryształowy lodu. Rozległy się ciche trzaski.

– Ghost – powtórzyłem.

Pojawiło się słabe wrażenie obecności, a ja wlałem w Atut więcej mocy. Wibrował mi w dłoni, lecz pochwyciłem go w pajęczynę sił i utrzymywałem w całości. Wyglądał jak mały witraż. Ciągle sięgałem przez niego myślą.

– Tato! Mam kłopoty! – usłyszałem wreszcie.

– Gdzie jesteś? Co się dzieje?! – zawołałem.

– Podążyłem za tą istotą, którą tu spotkałem. Ścigałem ją... to. To niemal matematyczna abstrakcja. Nazywa się Kergma. Tutaj wpadłem w złącze między parzyście i nieparzyście wymiarową przestrzenią. Krążę po spirali. Aż do tej chwili świetnie się bawiliśmy.

– Dobrze znam Kergmę. To żartowniś. Wyczuwam twoją przestrzenną lokalizację. Za chwilę pošle serię wyładowań. Powinny wyhamować ruch wirowy. Daj znać, gdyby wystąpiły jakieś problemy. Kiedy tylko zdołasz, wyatutuj się stamtąd, zawiadom mnie i przechodź tutaj.

Uruchomiłem spikard i rozpocząłem hamowanie. Po chwili nadpłynęła wiadomość:

– Chyba mogę już uciec.

– No to jazda.

I nagle pojawił się Ghost, wirując koło mnie niczym magiczny krąg.

– Dziękuję, tato. Jestem ci bardzo wdzięczy. Gdybym mógł jakoś...

– Możesz – wtrąciłem.

– Co takiego?

– Zmniejsz się i schowaj gdzieś przy mnie.

– Może być znowu nadgarstek?

– Pewnie.

Uczynił to.

– Po co? – zapytał.

– Mogę potrzebować sojusznika.

– Przeciw komu?

– Przeciw wszystkiemu. To czas demonstracji siły.

– Nie podoba mi się to.

– W takim razie odejdz. Nie będę miał pretensji.

– Nie mogę tego zrobić.

– Posłuchaj, Ghost – powiedziałem. – Nastąpiła eskalacja i teraz trzeba określić granicę zaangażowania.

Gdyby...

Z prawej strony zamigotało powietrze. Wiedziałem, co to oznacza.

– Później – rzuciłem. – Nie odzywaj się.

Pojawiło się przejście, a w nim wieża zielonego blasku. Oczy, uszy, nos, usta i wargi niby morskie fale cyklicznie zmieniały barwę. Dawno nie widziałem tak udanej demonicznej formy. I oczywiście poznałem rysy twarzy.

– Merlinie – odezwał się. – Wyczułem, że używasz tu spikarda.

– Spodziewałem się tego – odparłem. – Jestem do twych usług, Mandorze.

– Naprawdę?

– Pod każdym względem, bracie.

– Nie wyłączając pewnej kwestii dotyczącej sukcesji?

– Tej w szczególności.

– Doskonale! A co właściwie tu robisz?

– Szukałem czegoś, co mi zginęło.

– To może poczekać, Merlinie. Mamy teraz dużo pracy.

– Tak, to prawda.

– Przybierz więc bardziej elegancką postać i chodź ze mną. Musimy omówić działania, jakie podejmiesz po wstąpieniu na tron: które z rodów należy zdusić, kogo skazać na wygnanie...

– Muszę natychmiast skontaktować się z Darą.

– Lepiej od razu omówmy zasadnicze kwestie. Chodź! Przemień się i ruszajmy.

– Nie wiesz może, gdzie ona teraz jest?

– Chyba w Gantu. Ale z nią porozumiemy się później.

– A może przypadkiem masz pod ręką jej Atut?

– Obawiam się, że nie. Myślałem, że nosisz własną talię.

– Tak. Ale jej Atut zniszczyłem niechcący pewnej nocy, kiedy się upiłem.

– Nieważne – stwierdził. – Jak już powiedziałem, zobaczymy się z nią później.

Podczas rozmowy zacząłem otwierać kolejne kanały spikarda. Pochwyciłem Mandora w ośrodek spirali mocy. Dostrzegłem w nim procedurę transformacji i bez trudu ją odwróciłem. Zgasłem zieleń i przekształciłem wieżę w postać mężczyzny o białych włosach, odzianego w biel i czerń. Był chyba bardzo zagniewany.

– Merlinie! – zawołał. – Dlaczego mnie przemieniłeś?

– Ten obiekt mnie fascynuje. – Machnąłem spikardem. – Po prostu chciałem sprawdzić, czy to możliwe.

– Teraz, kiedy się przekonałeś – warknął – zechciej łaskawie mnie uwolnić. Muszę zmienić się z powrotem. A ty też znajdź sobie jakąś bardziej odpowiednią formę.

– Chwileczkę – rzuciłem, gdy spróbował rozpuścić się i odpłynąć. – Jesteś mi potrzebny właśnie taki.

Przytrzymałem go, choć się wyrywał, i wykreśliłem w powietrzu ognisty prostokąt. Seria szybkich gestów wypełniła go wizerunkiem mojej matki.

– Merlinie, co ty robisz?

Zahamowałem czar przeniesienia, którego chciał użyć do ucieczki.

– Pora na konferencję – oznajmiłem. – Wytrzymaj jeszcze trochę.

Nie koncentrowałem się na tym zaimprovizowanym Atucie, zawieszonym przede mną w powietrzu, ale wręcz zaatakowałem go ładunkiem, jaki krążył w moim ciele i w przestrzeni wokół mnie.

I nagle Dara stanęła w stworzonej przeze mnie ramie: wysoka, czarna jak węgiel, z oczami z zielonego płomienia.

– Merlinie! – krzyknęła. – Co się dzieje?

Nie słyszałem jeszcze, żeby ktoś zabierał się do tego w ten sposób, ale podtrzymałem kontakt, zapragnąłem jej obecności i zdmuchnąłem ramę. Stanęła przede mną, wysoka na ponad dwa metry i pulsująca gniewem.

– Co to ma znaczyć? – spytała. Pochwyciłem ją jak Mandora i zmniejszyłem do ludzkiej skali.

– Demokracja – wyjaśniłem. – Na chwilę wyglądajmy wszyscy tak samo.

– To nie jest zabawne – oznajmiła i zaczęła przekształcać się z powrotem.

Uniemożliwiłem jej to.

– Nie jest – zgodziłem się. – Ale to ja zwołałem zebranie i odbędzie się na moich warunkach.

– No dobrze. – Wzruszyła ramionami. – Jakaż to pilna sprawa?

– Sukcesja.

– To już załatwione. Tron jest twój.

– A czyje rozkazy mam wypełniać? – Podniosłem lewą rękę w nadziei, że nie potrafią odróżnić jednego spikarda od drugiego. – Ten obiekt daje wielką moc. Ale za jej użycie trzeba płacić wysoką cenę. Cięży na nim zakłęcie kontroli nad jego posiadaczem.

– Należał do Swayvilla – rzekł Mandor. – Przekazałem ci go, żeby cię przyzwyczaić do poczucia jego obecności. Owszem, jest za to cena: posiadacz musi się do niego dostosować.

– Stoczyłem walkę i teraz całkowicie nad nim panuję – skłamałem. – Jednak zasadniczy problem nie ma kosmicznej skali. Były tam nakazy, które sami zainstalowaliście.

– Nie zaprzeczam – przyznał. – Ale istniały po temu ważne powody. Nie chciałeś zasiąść na tronie. Uznałem, że należy dodać element zachęty.

Pokręciłem głową.

– To nie wszystko. Było tego więcej. Zakłęcie miało mnie uczynić waszym sługą.

– To konieczne. Długo cię nie było. Nie orientujesz się na tutejszej scenie politycznej. Nie

możliśmy pozwolić, żebyś po prostu przejął ster i pożegłował, gdzie zechcesz. Nie w tych czasach, kiedy pomyłki mogą kosztować bardzo drogo. Ród musiał zapewnić sobie pewne środki kontroli. Ale tylko do chwili, gdy twoja edukacja dobiegnie końca.

– Pozwól, że zwątpię w twoje słowa, bracie – rzekłem.

Zerknął na Darę, która skinęła głową.

– On mówi prawdę – zapewniła. – I nie widzę niczego naganego w tej chwilowej kontroli, sprawowanej do czasu, kiedy opanujesz sztukę rządzenia. Zbyt wielka jest stawka, by ryzykować.

– To było zakłęcie niewolnicze – oświadczyłem. – Miało mnie zmusić, żebym objął tron i wykonywał rozkazy.

Mandor oblizał wargi. Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem, że zdradza oznaki zdenerwowania. Wzbudził tym moją ostrożność... choć po chwili uświadomiłem sobie, że w ten sposób chciał odwrócić uwagę. To spowodowało, że pilnowałem jego... a atak, naturalnie, nadszedł od strony Dary.

Ogarnęła mnie fala żaru. Natychmiast odwróciłem się i spróbowałem wznieść barierę. Czar nie powinien zrobić mi krzywdy, miał raczej łagodzić, uspokajać. Zacisnąłem zęby, usiłując nie dopuścić go do siebie.

– Mamo... – syknąłem.

– Musimy przywrócić kontrolę – stwierdziła chłodno, zwracając się raczej do Mandora niż do mnie.

– Dlaczego? – spytałem. – Przecież się zgodziłem.

– Tron to za mało – odparła. – Nie ufam ci, a zaufanie jest rzeczą niezbędną.

– Nigdy mi nie ufałaś – stwierdziłem, odpychając resztki zaklęcia.

– Nieprawda – zaprzeczyła. – To kwestia techniczna, nie osobista.

– Wszystko jedno. Nie wchodzę w taki interes.

Mandor rzucił na mnie czar paraliżu. Przygotowany, odepchnąłem go bez trudu. Prawie natychmiast Dara uderzyła złożonym zaklęciem, w którym rozpoznałem Burzę Zamieszania. Nie miałem zamiaru walczyć na magię z oboma naraz. Dobry czarodziej ma zawieszoną pięć, może sześć poważnych zaklęć. Rozsądne ich używanie na ogół gwarantuje rozwiązanie każdej nieprzyjemnej sytuacji. Podczas magicznego pojedynku strategia ich wykorzystywania jest kluczowym elementem starcia.

Gdy przeciwnicy stoją jeszcze na nogach po wyczerpaniu rezerw, pozostaje tylko walka na czystą energię. Ten, który panuje nad większą jej ilością, zwykle zostaje zwycięzcą.

Podniosłem parasol przeciwko Burzy Zamieszania, odbiłem Astralną Maczugę Mandora, wytrzymałem jakoś mamy Rozbicie Ducha, zachowałem zmysły po Mandorowej Czarnej Studni. Moje podstawowe zaklęcia już dawno utraciły moc, a odkąd zacząłem wykorzystywać spikard, nie zawiesiłem sobie żadnych nowych. Już teraz musiałem polegać na czystej mocy. Na szczęście spikard oddawał mi jej do dyspozycji więcej, niż kiedykolwiek miałem. Wystarczyło tylko zmusić ich, by zużyli swoje zaklęcia, a wtedy nie będzie już miejsca na sztuczki. Zmęcę ich, zaleję.

Mandor precyzyjnie przycisnął jedno przez osłonę i drasnął mnie Elektrycznym Jeżozwierzem. Zgniotłem go ścianą mocy, rozbiłem w układ wirujących dysków, które rozpięzły się na wszystkie strony. Dara przemieniła się w płynny płomień zwijała się, falowała, kreśliła koła i ósemki, nacierała i cofała się, rzucając na orbitę wokół mnie bańki euforii i cierpienia. Próbowałem odpychać je, dmuchając huraganem. Roztrzaskałem porcelanową wazę, przechylałem wieże, grupy rodzinne, lśniące figury geometryczne. Mandor zmienił się w piasek, przesypał przez konstrukcję, na którą upadł, stał się złotym dywanem i podpełznął w moją stronę.

Nie zwracałem uwagi na zniszczenia i nadal atakowałem ich strumieniami czystej mocy. Cisnąłem dywan w płomień, po czym zrzuciłem na nich dryfującą fontannę. Gasząc płomyki na ubraniu i włosach, sięgnąłem myślą do zdrętwiałych miejsc w lewym ramieniu i nodze. Rozpadłem się i zebrałem na powrót, gdy opanowałem Dary zakłęcie Rozplatania. Rozbiłem Diamentowy Bąbel Mandora i wchłonałem Łańcuchy Uwolnienia. Trzykrotnie zmieniałem postać na bardziej wygodną, jednak za każdym razem powracałem do ludzkiej. Nie spociałem się tak od czasu moich końcowych egzaminów u Suhuya.

Jednak to do mnie należała przewaga. Jedyłą ich szansą było zaskoczenie i nie wykorzystali jej. Otworzyłem wszystkie kanały spikarda, co potrafiło wzbudzić lęk nawet Wzorca... chociaż zaraz przypomniałem sobie, że wtedy tylko padłem nieprzytomny. Schwytałem Mandora w stożek sił, który obdarł go do nagiego szkieletu i odbudował w mgnieniu oka. Darę trudniej było przygwoździć. Kiedy uderzyłem całą mocą, odpowiedziała zakłęciem Oślepienia. Tylko to ocaliło ją przed zamianą w posąg, co zamierzałem uczynić. Zamiast tego pozostawiłem ją w śmiertelnej postaci i narzuciłem zwolnione tempo ruchów.

Potrząsnąłem głową i przetarłem powieki. Kolorowe światła tańczyły mi przed oczami.

– Moje gratulacje. – Te słowa zajęły jej mniej więcej dziesięć sekund. – Jesteś lepszy, niż myślałam.

– I jeszcze nie skończyłem – uprzedziłem, oddychając głęboko. – Pora uczynić wam to, co wy mi chcieliście uczynić.

Zacząłem tworzyć czar, który zapewniłby mi władzę nad nimi. I wtedy zauważyłem jej kpiący, powolny uśmiešek.

– Sądziłam... że sami... sobie... z tobą... poradzimy – rzekła, a powietrze przed nią zamigotało. – Myliłam... się.

Między nami uformował się Znak Logrusu. Natychmiast jej twarz stała się bardziej ożywiona.

Wtedy poczułem na sobie jego straszliwą uwagę. Kiedy przemówił, zmienna tonacja głosu szarpała moje nerwy.

– Zostałem wezwany – oznajmił – aby rozprawić się z twoim nieposłuszeństwem, człowieku, który masz być królem.

Rozległ się trzask, gdy runął domek z luster. Zerknąłem w tamtą stronę. Podobnie Dara. I Mandor, wstający właśnie na nogi.

Błyszczące tafle wzniosły się w powietrze i popłynęły ku nam. Okrążyły nas, w nieskończoność odbijając naszą grupę pod wszelkimi możliwymi kątami. A w każdym odbiciu otaczał nas świetlny krąg. Nie potrafiłem wykryć jego rzeczywistego Źródła.

– Ja stoję przy Merlinie – zabrzmiał nie wiadomo skąd głos Ghostwheela.

– Konstruktor! – stwierdził Znak Logrusu. – Przeszkodziłeś mi raz w Amberze!

– Przeszkodziłem też Wzorcowi – przypomniał Ghost. – To wyrównuje rachunek.

– Czego chcesz teraz?

– Ręce z dala od Merlina. Będzie tu rządził, nie tylko królował. Żadnych warunków.

Ghost zaczął przygasać i rozjaśniać się na przemian.

Uaktywniłem spikard i otworzyłem wszystkie kanały w nadziei, że zlokalizuję go i udostępnię energię pierścienia. Ale jakoś nie mogłem nawiązać kontaktu.

– To niepotrzebne, tato – oświadczył. – Sam potrafię czerpać ze Źródeł w Cieniu.

– A czego żadasz dla siebie, konstruktorze? – zapytał Znak.

– Chcę ochraniać tego, który się o mnie troszczy.

– Mogę ci ofiarować kosmiczną wielkość.



– Już raz próbowałeś. Wtedy też odmówiłem. Pamiętasz?

– Pamiętam. I nie zapomnę. – Zygzak błyskawicy wystrzelił ze zmiennej figury Znak do jednego z kręgów światła. Gdy się zetknęły, wytrysnął oślepiający płomień. A kiedy odzyskałem wzrok, przekonałem się, że nie nastąpiły żadne zmiany. – Dobrze – rzekł Znak. – Zjawiłeś się przygotowany. Nie pora, bym tracił energię na twoją destrukcję. Nie wtedy, gdy tamten czeka na mój błąd.

– Lady Chaosu – zwrócił się do Dary. – Musisz wypełnić żądania Merlina. Jeśli źle będzie sprawował władzę, swymi działaniami sam siebie zniszczy. Jeśli będzie rozważny, bez żadnej ingerencji osiągniesz to, czego pragnęłaś.

Wyraz jej twarzy świadczył, że nie wierzy własnym uszom.

– Chcesz ustąpić przed synem Amberu i jego zabawką?

– Musimy dać mu to, czego chce – potwierdził. – Na razie... Na razie.

Powietrze zawyło, kiedy zniknął. Na twarzy Mandora pojawił się odbijany w nieskończoność lekki uśmiešek.

– To nie do wiary – stwierdziła, zmieniając się w kota o twarzy kwiatu, a potem w drzewo zielonego płomienia.

– Uwierzysz czy nie – stwierdził Mandor – on wygrał.

Drzewo rozbłysło jesienią i zniknęło. Mandor skinął mi głową.

– Mam tylko nadzieję, że wiesz, co robisz – powiedział.

– Wiem, co robię.

– Możesz to rozumieć, jak zechcesz... ale gdybyś potrzebował rady, chętnie pomogę.

– Dzięki.

– Może porozmawiamy o tym przy obiedzie?

– Nie w tej chwili.

Wzruszył ramionami i stał się błękitnym wirem.

– No to do zobaczenia – rozległ się jego głos i wir odpłynął.

– Dzięki, Ghost – rzuciłem. – Twoje wycucie czasu zdecydowanie się poprawia.

– Chaos ma słabą lewą flankę – odpowiedział.

Znalazłem świeże ubranie w kolorach srebra, czerni, szarości i bieli. Zaniósłem je do apartamentów Jurta. Miałem wiele do opowiadania.

Podróżowaliśmy rzadko używanymi przejściami, wędrowaliśmy przez Ciebie, aż wreszcie dotarliśmy do pola ostatniej bitwy w wojnie Skazy Wzorca. Długie lata uleczyły ziemię, zacierając wszystkie ślady dawnych wydarzeń. Przez długą chwilę Corwin w milczeniu obserwował okolicę.

Wreszcie zwrócił się do mnie:

– Trzeba będzie sporo pracy, żeby wszystko uporządkować, osiągnąć jakąś trwałą równowagę i zadbać o jej stabilność.

– Tak.

– Sądzisz, że potrafisz utrzymać pokój na tym końcu świata?

– Zamierzam – odparłem. – Będę się starał, jak najlepiej potrafię.

– To wszystko, co może zrobić każdy z nas – stwierdził. – No dobrze. Oczywiście, Random musi się dowiedzieć, co zaszło. Nie wiem, jak przyjmie to, że zostałeś jego głównym przeciwnikiem, ale to przynajmniej jakaś odmiana.

– Przekaż mu pozdrowienia. I Billowi Rothowi. Pokiwał głową.

– I powodzenia – dodałem.

– Nadal istnieją sekrety ukryte w sekretach – stwierdził. – Dam ci znać, jeśli się czegoś dowiem. Podszedł i uściśnął mnie. A potem...

– Podkreć ten pierścień i odeślij mnie do Amberu.

– Już jest podkrecony – stwierdziłem. – Żegnaj.

– ...I witaj – odpowiedział z drugiego końca tęczy. Odwróciłem się wtedy i ruszyłem w długą drogę do Chaosu.

# SPIS TREŚCI:

[Strona tytułowa](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

# Spis treści

[Strona tytułowa. 1](#)

[Rozdział 1. 2](#)

[Rozdział 2. 11](#)

[Rozdział 3. 24](#)

[Rozdział 4. 32](#)

[Rozdział 5. 43](#)

[Rozdział 6. 53](#)

[Rozdział 7. 63](#)

[Rozdział 8. 73](#)

[Rozdział 9. 83](#)

[Rozdział 10. 93](#)

[Rozdział 11. 103](#)

[Rozdział 12. 112](#)